





POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

Tom jedenasty.



BOLESZCZYCE.

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA SZCZODREGO.

PRZEZ

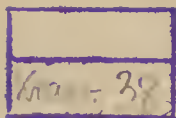
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.

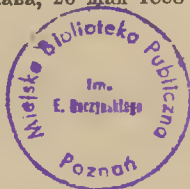
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1 8 8 8.



Дозволено Ценаурою.

Варшава, 26 Мая 1888 года.



13542

Ukraińskiemu Słownikowi

JÓZEFOWI BOHDANOWI ZALESKIEMU

ZE CZCIĄ SERDECZNĄ

posyła

D. 3 Maja 1877.

Drezno.

AUTOR.



I.

Było to na wiosnę 1079 roku.

Drzewa się już rozwijać zaczynały, gdzieniegdzie dąb głuchy stał tylko jeszcze z pączkami nabrzękłemi, niedowierzając wczesnemu w tym roku ciepłu, słońcu i pogodzie. Do koła szumiała i woniała Niepołomska puszcza, wśród niej na zielonej łące, u strumienia, przy którym złociły się gęsto rozkwitłe łotocie. w cieniu drzew kilku, które występowały z lasu, siedzieli i leżeli na ziemi odpoczywający podróżni czy myśliwcy. — Czeladź ich przy małym ogniu grzała sobie strawę i przypiekała mięsiwo; panowie na pagórku zasiadłszy, gwarzyli między sobą po cichu. Było ich pięciu ludzi. średniego wieku, raczej młodych niż starych, a po odzieży i twarzy łącznie rozpoznać mógł każdy, że do możliwych należeli rodów. Patrzyło im z oczów, że rozkazywać byli nawykli, a choć do lasu przystrajać się nie potrzebowali, wszystko co na sobie mieli dowodziło dostatku i zamięłowania w pewnej wytworności.

Pod samym dębem starym, który stał w pośrodku, z rękami w tył zarzuconemi siedział z odkrytą głową, lat średnich mężczyzna przystojnej twarzy, butnego wyrazu, z jasną, bujną brodą, która mu się szeroko na piersi rozkładała. — Rumiany, zdrów, z oczyma niebieskiemi, nosem orlim, na ustach miał uśmieszek, pogardliwy zarazem, wesóły i dumny.

Odziany w kaftan skórzany, wyszywany barwisto, na którym drugi, lżejszy wisiał wolno porozpinany, odjął był miecz, złożywszy go na boku, i czapką przykrył; piersi miał na pół odsłonięte, włos porozrzucany.— Widać, że mu błogo było tak wygodnie wyciągniętemu, na suchej ziemi, mchu i darni, nżywać wczasu w cieniu. Umieścił się też jak mógł najlepiej, nie wiele troszcząc, jak to będzie wyglądać.

Obok niego siedzący, młodszy z twarzy, a rysami doń podobni, równie byli porozpierzani wygodnie, rozkładali się ze swobodą—jedni na pół leżąc, drndzy na rękach głowy złożywszy.

Ubiory wszystkich były krojem i barwami do siebie podobne, z cienkich tkanin, kaftany jednym szyte wzorem, obówie misternie pookowywane, szłyki lekkie futrzane jednego kształtu i szerści.

Po za niemi i około nich porozrzucane były łowieckie i rycerskie przybory, łuki, lekkie oszczepy, ostremi zakończone żelazcami, miecze małe i noże w bogatych oprawach. I te znać z jednego wychodziły skarbcu, bo wszystkie były prawie jednakie.

To co o stroju i zbroi powiedzieć było można o ludziach, spojrzawszy na twarze; widać było, że z jednego pochodzili rodu, bo choć w obliczach tych wyraz był nieco odmienny, choć wiek różny, rysy mieli dziwnie do siebie podobne.— Orle ich nosy, ciemniejszych nieco, lub świetlejszych odcieni włosy jasne, usta miesiste, pociągłe twarze, wysokie czoła, wszyscy mieli jednego kroju.— W ruchach też ich było pokrewieństwo, w mowie dźwięki brzmiały tonem jednym.

Była to jedna krew, w różnych rozkwitnienia stanach—jeden typ urozmaicony odmianami, jakie do nieskończoności umie mu nadawać natura.

Siedzący pod dębem, był widocznie najstarszym z braci, i zdawał się też rej wieść między niemi.

Słońce się już było ku zachodowi skłaniać zaczęło, ale promienie jego mocno jeszcze dogrzewały; gro-

madka też odpoczywająca nie myślała się ruszać z wygodnej zaciszy, i chłodem a cieniem lasu się rozkoszowała. Pomiędzy niemi stały rogowe kubki podróżne ponalewane miodem i naczynia z wodą, którą ludzie z niedalekiego zaczerpnęli źródła. Niedaleko od nich na łące, pasły się bujną trawą wiosenną, konie żaywne z sierścią lśniącą, grzywami długimi, suchemi nóżkami, nieco dzikie. — Niekiedy podnosiły głowy, jakby się rozpatrzeć chciały, a te które się napasły, zaczepiały się do zabawy i walki wyzywając. Wesole to były stworzenia, jak panowie co pod dębami spoczywali.

Ludzie nie spuszczały ich z oka, na uboczu siedząc przy dogasającym ognisku, otoczeni zgrają psów, z których jedne leżały, drugie resztek jadła szukały do koła. Na berłach wbitych w ziemię, widać było osadzone tazy zakapturzone i spętane ptaki.

Szum wiatru, rżenie koni, skowyczenie psie, i swary, cichy szept czeladzi, przerywały tylko milczenie. Młoda owa drużyna siedziała, jakby odpoczywając po znużeniu, ust nawet leniąc się otworzyć. Czasem który sięgnął do kubka z miodem lub naczynia z wodą, napił się, otarł usta i legł znowu, pół drzemiąc, na pół czuwając. — Spoglądali na cienie od słońca, jakby wyczekiwali nadchodzącego wieczora.

Choć rażno a butnie wyglądali myśliwcy, nie można było powiedzieć, aby się na ich twarzach odbijało wesele; rycerska ochota była w spojrzeniu, lecz z niepokojem pewnym zmieszana.

Niekiedy wzrok starszego utkwiał w dali nieruchomy, a myśl się widocznie zabłąkała też daleko od puszczy i doliny. Drudzy dumali również nad wiek poważnie i tęskno.

— A co! czasby może do powrotu? — odezwał się ziewając ten co u dębu siedział, a któremu imię Borzywój było.

— Czegóż się tak spieszyć mamy! — odparł drugi-wyciągnięty na ziemi, szczypiąc trawę i wyrrywając

drobne kwiatki, któremi był otoczony. — Zwano go Zbilutem. a chłopak był piękny, rumiany i włos miał obfity, złocisty, który mu spadał na ramiona. — Czego się spieszyć mamy? nie nie pędzi, a tu jak u Boga za piecem cicho i wygodnie—człek choć spocznie.

— Pewnie—odezwał się trzeci—łowcy też teraz, żal się Boże. nie potem; słońce piecze jak śród lata, zwierz chudy, skóra z niego na licha się nie zdała. darmo się ganiać po lesie.

Ten. który to mówił, Dobrogost mu było imię, do starszych należał i twarz miał zmęczoną, a wyraz jej posępną.

Pozostali nawet się nie odzywali, gdy Borzywój z pod dębu dodał:

— Na służbę do pana przecie warto pospieszyć. aby mu tam tęskno, ani gniewno nie było, żeby którego nie zażądał...

— E! — odparł jeden z tych co milczeli, zwany Odolajem — jest komu nas zastąpić. W lesie człek trochę odetchnie, gdy na zamku we dnie i w nocy spoczynku nie ma.

— Kiedy ci się tak odpoczywać chce — przerwał dotąd milczący Ziema — jedź doma do pana rodzica, albo do Jakuszowic do dziada — jeżeli stary ślepiec cię przyjmie—a nie było ci się zaciągać na dwór królewski. Kiedyś grzyb to leż w kosz. o miłym spokoju nie ma co i prawić.

Rozśmiał się drudzy.

— To prawda—rzekł Odolaj —że u nas o pokoju ni myśleć, ni pytać. a jednakbym ci Wawelu na Jakuszowice nie mieniał, ani na Zborów... W Jakuszowicach u dziada ledwiebym się zdał ślepemu na parobka, w Zborowie ojcu na nic. a na Wawelu, u boku pana służąc. choć w pocie czoła. człowiek się czegoś kiedyś dochrapie...

Borzywój się rozśmiał niemal pogardliwie.

— A co my wiemy czego się dosłużemy i kiedy — rzekł. — Albo się dobieje który bardzo wiele. albo go-

rzej niż nic, boć to u nas wojna nieustanna, a co najpewniejsza w niej, to guzy. Niech Bóg da królowi panu wszystko dobre, pan dla swoich i obcych szczodry jako żaden, ale w inną godzinę srogi, zapamiętały, i tak mu łatwo dać skarb, jak głowę zdjąć.

— A no — rzekł Ziemia królem ci jest. to mu przystało. Najgorszy bodaj taki co ni ciepły, ni zimny, bo człowiek przy nim zagnije i roześni się. — Wojennemu rzemiosłu trzeba raz wraz jak w łaźni, to ukropu, to zimnej wody.

— Pewnie — rzekł pierwszy — król musi w dłoni wszystko dzierżeć a krzepko. gdyby cugli popuścił ludziom, rozniesliby go na cztery wiatry. A co było za Mieszka, gdy król szalał a baba musiała rządzić?

— Jemu też na sile nie zbywa — odezwał się Borzywój. — Od Bolka Wielkiego pana u nas takiego, jako ten nie bywało... Drży przed nim co żyje i co żywe słuchać go musi...

— Oj! oj. — przerwał Zbilut — nie tak to wszyscy mu się korzą, a bardzo słuchają. Podczas gdyśmy w Kijowie goscili, dużo się wyprzęgło i wiele do roboty zostało, póki znowu się w ład wprowadzi. Ho! ho!

— Wszystko się to zrobi powoli. czekaj — dodał Borzywój — początek już jest, przyjdzie koniec.

I ja nie wątpię — rzekł Zbilut — gdyby tylko z rycerstwem było do czynienia, z ziemianą i z żonkami ich, co sobie pobułały, gdy im się na mężów czekać sprzykrzyło — dawnoby już koniec temu był — ale się biskup wdał... a to już bieda, kiedy z szablami trzeba pod próg kościelny, i z tym panem do boju, który ma za oręż łaskę krzywą, co jej nie odbić mieczem a na głowie mitrę jak królik jaki. W kościele on też królem.

Namarszczył się Borzywój i westchnął.

— Bodaj żeby i wszędzie po całej ziemi oni królami być nie chcieli, a królów za namiestników swych nie trzymali. — A no z biskupem jednym radaby może

łaciejsza była — mówił Dobrogost — choć i to człek twardy i uparty — gorzej. że poza nim stoi dużo władyków i rycerstwa, którzy wolą księdza w rękę całować, niż królowi się pokłonić... Tym w gębie wędzidło nie smakuje, jużci im lepiej z rąk biskupów panować, niż królewskie spełniać rozkazanie..

— Kiedys też z niemi się przyjdzie rozprawić — rzekł Ziema — do tego się gotuje i musi dojść. Próżno ich biskup zasłania... a i z tym biskupem.

Rozmowa ta chmurami twarze powlokła.

— Co tam o tem naprzód prawić! — odezwał się po chwili Borzywój na pół ziewając. Kto wie, co się stać może, my jedno znać powinniśmy. — Wszyscy, jako tu stojemy. Boleszczyce jesteście. Przezowano nas tak drużynę pańską, jakby na urągowisko, dla tego, że przy królu Bolesławie stoimy — my się chwalimy tem imieniem. żeśmy Boleszczyce, prawi śludzy jego! Znajmyż to, że gdy skinie, my za nim w ogień czy w wodę!

— W ogień i wodę! — zawołali wszyscy — a Zbi-lut dodał śmiejąc się:

— A jak na Biskupa skinie!

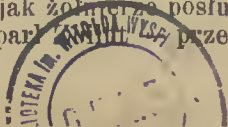
— To co? — odparł Borzywój — my swej woli nie mamy, tylko jego, ja pójdę kędy powie.

Drudzy zmilczeli patrząc po sobie.

— Ei! — cicho przebaknął Ziema — gdyby się jednak z biskupem mir złożył, lepiejby było. — Bodaj księdza nie zaczepiać. Mają oni takie siły i moc, której żaden król nie ma. Prawda, że król żelazny i mężny, ano i ten twardy, kamienny, bo czuje po za sobą nietylko władyków, ale anioły i świętych!!

— O świętych i aniołach co my tam wiemy, prości ludzie — rzekł Borzywój — dosyć tego, że ma za sobą duchowieństwo i biskupów naszych, i tych co w Rzymie są i gdzieindziej! Wszyscy się oni za ręce trzymają. Nawet proboszcze, którym teraz żenić się zakazują, muszą iść jak żołnierze posłuszni.

— To co — odparł Ziema — przecie ich tam lik



nie tak straszny, a ludzie do boju nie wprawni... Ja mówię, przyjść do tego musi, że się z nimi wyrąbać będzie trzeba... I, czem prędzej tem lepiej. — Cóż to jest? król co na Rusi zwycięzcą był, na Węgrzech panem, wszędzie gdzie doszedł, rozkazywał, żebym w domu panem nie był?? Za się!!

— Czekał! — rozśmiał się Borzywój. — Nie znasz chyba Bolka, będzie on i doma panem — byle czas miał... Myśmy od początku jego panowania gośćmi w domu, nie było się czasu rozpatrzyć. Królowa albo namiestnicy siły nie mieli, wszystko się rozlało i rozpuściło... Teraz gdy król sam na swoich śmieciach, zrobimy porządek, zrobimy!

Zbilut w zart to obrócił.

— Naprzód około żonek trzeba zrobić porządek... niech nam król zda to na ręce...

— Cha! cha! — rozśmiał się Ziema — tybys naprzód poszedł ład zaprowadzać u Krysty, u samego króla, ty jakiś!!

— A no! jeszczeby się tu kto znalazł może, coby się tego samego podjął! — mruknął Borzywój. Tymczasem cień się długi wyciągnął, do koni!

— Do koni!

Wszyscy zwolna ze swych legowisk się ruszać poczęli, skinąwszy na ludzi, którzy zrywali się szybko biegnąc na łąkę, gdy odjazdu znak dano a psy za nimi pobiegły, wesoło się przeganiając, aby pasące się pochwytać wierzchowce. Te, choć popętanę uciekać nie mogły, rwały się i skakały.

W milczeniu młodzież przypasywała mieczyki. Każdy broń swą rozpoznając brał z kupy, głowę nakrywał, kaftan zapinał. Niektórzy kubki dopijając, chowali je do worków u pasa.

Gotowano się tak do odjazdu, gdy po drodze, co nieopodal wybita szeroko szła lasem ku Krakowu, za-tętniało zdala. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, z kąd głos przychocił, schylając się, aby pod gałęzmi zobaczyć przybywających... Liście jeszcze

nie puściły były wszystkie, więc z za nich drogę dobrze widać było.

Milczeli pospieszając przypasywać miecze i łuki mieć w pogotowiu, choć żadnego nieprzyjaciela obawiać się nie mieli powodu.

Tentent zbliżając się, poczynął mieszać z gwarłą rozmową kilku jezdnych...

Borzywój, który naprzód najdalej się wysunął, dał znak ręką braciom, i odwróciwszy się szepnął ku nim.

— Mściśław z Bużenina!!

To mówiąc rozśmiał się szydersko.

— Czyby go nie pozdrowić — boć to zasłużony człek! — złośliwie, z przekąsem rzekł Zbilut do braci.

— Od nas, Boleszczyców poznałby się na drwinach — odezwał się drugi — dać mu pokój. — Ma on i bez tego zgryzoty dość.

Wszyscy ciekawie zaglądali, chcąc się przypatrzyć zapowiedzianemu.

Droga szła tak blisko od ognia i miejsca, na którem stali Boleszczycy, iż pominąć ich, nie widząc — nie było podobna.

Wszyscy jeszcze podsunęli się o kilka kroków naprzód i stanęli niemal wyzywająco. W boki się po-brali, twarze nastroili butno a szydersko, czapki pokładli na głowy przewiesiwszy je na ucho. — Strasznie zaczepnie i zwadliwie im z oczów patrzyło.

Wtem na drodze orszak jezdnych się pokazał. Przodem ich jechało trzech; rycerz lekko zbrojny, ciennych już, siwiejących nieco włosów, twarzy rozniewanej, pochmurnej, smutnej — mąż w czerni wyglądający na kapłana i młode pachole wesole, zręczne, z wesołemi oczyma.

Za niemi szło ludzi zbrojnych sześciu, wiozących broń i w sakwach zapasy podrózne.

Ten, który się dowodzić zdawał, nazwany Mściśławem z Bużenina, choć wyraz jego rysów gniewny stan duszy małował — w innych ludziach obudziłby ra-

czej politowanie niż szyderstwo, tak z oczów i czoła głęboki w nim panował smutek.

Gdy nadjeżdżającym pokazali się ci, co nad drogą stali, zachnął się nieco Mścisław, brwi zmarszczył, usta mu się zatrzęsły, ręka zdawała się szukać czegoś; oczyma powiódł po ludziach swych. ale wnet, jakby ochłonawszy, koniowi popuścił cugli, nderzył go. pospieszał. — Mijając wszakże Boleszczyców, wejrzenie groźne. śmiałe skierował ku nim, jakby chciał dowieść, że się ich nie lęka...

Ręką się wziął w bok i tak ich mijał, jakby żadnego nie znał.

Ani Boleszczyce. ani ów podróżny, którego oni Mścisławem z Bużenia nazwali, cicho między sobą żarty zeń strojąc jawne — nie myśleli się pozdrowiać. — Oczyma się mierzyli. ścigali z pogardą i gniewem, lecz ni z jednej, ni z drugiej strony wzrok sobie nie chciał ustąpić.

Widać było, że mało co brakło, by się nie rzucili na siebie.

Pan z Bużenia konia zrazu popędził. potem namyśliwszy się, strzymał go umyślnie, stępią minął jadąc Boleszczyców i czeladź ich, która z końmi nadciągnęła — Dopiero gdy cała gromadka o kilka kroków odjechała, a Mścisława plecy tylko już widać było, w kupce stojących nad drogą. parsknęły śmiechy głośne, dojmujące. szyderskie.

Zdawało się, że Boleszczyce z niemi wybuchli naumyślnie, popisując się z hałaśliwą wesołością, zanosili się rozlegającymi śmiechami, jedni po drugich, i co który ustał, poczynął inny, a reszta mu wtórowała.

Jeźdźcy odjechawszy nieco gościńcem, stanęli, jakby się namyślali, czy mają upomnieć o zniewagę; słychać było głos mężki gniewny, i drugi duchownego, który hamował i uspakajał. Boleszczyce stali nie ulęknieni, niewzruszeni, brali się tylko do mieczyków, poglądając po sobie, lecz po chwilce, tentent koni

powolny oznajmił, że jeźdźcy dalej ciągnęli w milczeniu.

— Nieboszczyk mąż pięknej Krysty! On sam! poznałem go zdala! — odezwał się Borzywój. — On sam!

— On! on! — potwierdzili inni — ale jakże zastarzał.

— Słyszę teraz żonę dopiero kochać strasznie począł, gdy mu ją król wziął — mówił Dobrogost — rady sobie po niej dać nie może...

— A tybyś lepszy był, gdybyś ją miał i wzięto ci ją?? — rzekł Zbilut.

Zapytany nie odpowiedział.

— Zważaliście — rzekł Borzywój — wszakci księdzka z sobą miał! Ani ruszy teraz bez nich. — Ten co z nim jechał, przy biskupie jest w Krakowie. Mściśław też teraz u biskupa pierwszy sługa, popycha go gdzie zechce.

— Jać bo mówiłem — powtórzył Zbilut — komuby taką żonkę wzięto, ten szukając ratunku, nie z biskupem a z djabełmbym gotów się pokumać!

Ofuknął nań Borzywój oglądając się.

— Cichobys był, w drodze pod noc takie lichu wspominać!

— Sam sobie winien — głupi człek — dodał Ziema — nie przyszłoby do tego. żeby rozum miał...

— Cóżby mu rozum pomógł? — odezwał się drugi.

— Nie zaszkodziłby — mówił Dobrogost. — Tyś na to nie patrzył jak my, a gadasz, myśmy świadkami byli, wiemy jak sprawa szła; — nam nie tobie sądzić o tem. — Tyś jeszcze podówczas, czy w Jakuszowicach, czy w Zborowie za łaniami latał...

— A nauczcież miłościwie, jak to było? — rzekł młodszy — ciekawym.

— Naprzód głupi człek — mówił starszy — że taką śliczną, młodą żonkę, wystroiwszy jak łątkę, przywiozł na okaz na dwór królowej, jakby mu pilno się

nią pochwalić było.—Doma ją trzymać winien był za zasuwą i nie pokazywać nawet rodzonemu bratu...

Toćto śliczność jest, jakiej drugiej niema.

— Prawda! — potwierdził Zbilut gorąco — dziś na zamku ona królową, i gdzie się pokaże, królowa... Człękby za nią w ogień i w wodę skoczyć gotów!

— Król też nie mnich — mówił pierwszy — aby sobie oczy zakrywał, gdy mu hoże liczko wpadnie do oka... Jak ją raz zobaczył, spokoju nie miał, póki znowu jej nie widział. Mnie dziw tylko, że ją pierwszego dnia puścili z zamku — Ile nas było wówczas, szeptaliśmy sobie — król ją weźmie. — A co za dziw? Królowa nie młoda, zajęta synkiem, a hożą taki nigdy nie była jak ta... Czy to królowi nie należy się najpiękniejsza w królestwie niewiasta, jak na wsi panu??

Mścisław zmiarkował od pierwszego razu, że król mu się coś do żony bardzo swatał, bo od niej cały dzień nie odstał. — A i Krysta nie była od tego; co król, to król, lepiej być królewską kochanką, niż ziemianina żoną. Wywiózł ją mąż do Bużenina, toć przecie nie za światem. Pojechalismy w tamtą stronę na łowy, dobrawszy taką porę, kiedy pana doma nie było. — Zmiarkowali zaraz wszyscy, o co królowi szło. Byłem z nim, gdy do dworu przyciągnął, musiała żona wyjść przeciw, bo gospodarza nie było... Król się nam obozem kazał rozłożyć w podwórzu, a sam do dworca szedł i został tam dzień jeden i drugi.—Drugiego dnia już wszyscy wiedzieli, że ją z sobą wywieziemy. Młodzintkie stworzenie dało się wziąć jak kuropatwa, kiedy jastrząb nad nią zawisnie. Płakałać niby i opierała się wrzekomo, a śmiała drukiem oczkiem i szła bez przymusu... Trzeciego dnia jechalismy do Krakowa, upolowawszy jeno Krystę, ale ta nam za najlepszą stała zwierzynę. Król ją na zamku we dworcu posadził osobnym i pilnuje jak oka w głowie.

Stał się dopiero srogi krzyk i wrzask a gwałt!

Jakby królowi nie wolno było mieć miłośnic? — jakby to ich Mieszkowi broniła Dubrawka, albo Bolko Chrobry nie chował ich we dworze, ile mu się chciało? — jakby to cesarze i panowie tego samego nie czynili co dnia?

— Tak — rzekł drugi cicho — niechby był brał jaką chciał, tylko nie ziemianinowi żonę. — Drudzy tego nie czynili.

— Kto tam wiel—ciągnął dalej opowiadający—bywało różnie, wrzawy takiej dla jednej niewiasty nie podnoszono. Biskupowi, co do króla zań miał, było to na rękę. Wziął się sam za tę sprawę i począł grozić...

Ale król się z niego i z gróźb tych śmieje — a Krysta na dworze została i siedzi.

— Czego bo od niego chcą i biskup i królowa — przerwał Ziema — albowy lepiej było, żeby królowę odprawił, a drugą sobie wziął natomiast? Przecie się matce Mieszkowej krzywda nie dzieje, bo jej wszyscy cześć oddają.

— Dość bo już tego mlewa, z którego tylko otręby—krzyknął Borzywój ruszając się. — Na konie czas siadać! — mała rzecz a gadanina bez miary. Biskup z tego straszne rzeczy robi, bo mu tak trzeba; przez Mściśława wszystkich władyków i ziemian burzy, że już żon i córek swych nie są bezpieczni. — Jak królowi doje, to co się dziś śmieje, burknie, nie daj Boże z nim wówczas rozprawy, nie daj!

— Gdyby Biskup nie był Biskupem—dodał Ziema cicho.

— Jakby to biskup nie był człowiekiem, jakomy?—odparł Borzywój.

— I tej ziemi ojczycem, a nie żadnym Włochem lub Francuzem, jak inni, bo do tamtych, co ich papież z Rzymu przysyła — król takiego prawa nie ma — rzekł Zbilut.

— Pewnie!—potwierdzili inni — teć ze Szczepanowa jest rodem.

Po chwili Zbilut w oczy starszemu spojrzawszy, szepnął mu ciszej:

— Nie godzi się to może panu bratu starszemu przymawiać, ani go drażnić — anobym rzekł, że sprawy królewskiej tak broni; bo i jemu Kryście w oczy zaglądaćby się chciał!! Ej! ej!

Borzywój namarszczył się i pięść mu ściśniętą pokazał.

— Milczałbyś ty, gołowaśie jakiś, co mleko masz pod nosem! Dam ja ci! dam!

Zbilut pokorną zrobił minę, głowę w ramiona schował, a z pode łba uśmiechał się do braci — tylko starszemu w oczy spojrzeć nie śmiał.

Drudzy też na starszego spoglądając, wszyscy się po troszę śmieli i poprychiwali.

Borzywój, choć tak srogą twarz był przybrał zrazu, sam też nieco usta krzywił i nic nie mówiąc, zabierał się do drogi.

Podawano konie, które czeladź już dawno w pogotowiu trzymała pokielznane i popodpinane.

Wszyscy ujmując się grzyw, skakali na nie rażno, choć im nikt ręki nie podawał. — Żwawe wierzchowce rwały się zaraz z miejsca, tak że je ledwie utrzymać było można.

Czeladź pościągawszy reszty sakw podróżnych i przyborów, natychmiast dosiadła swoich mierzynów, puszczając się za panami, tą samą drogą, którą jechał niedawno Mścisław z Bużenina, ale w stronę przeciwną.

Słońce, chociaż już dawno było z południa, jeszcze na niebie kawał przebieżdż miało do zachodu — ale już upał wiosenny się zmniejszył — chmurki je przycieniały i powietrze było do oddychania lżejsze.

Aż miło jechać było, i Boleszczyce nie spiesząc, przebywali skraje puszczy, pod sam jż wieczór wydobywając się z niej w żyzny kraj ku Krakowu. Tu też ruch na gościńcu zaczynał być znacniejszy coraz, spotykali więcej wozów, konnych i pieszych ludzi.

Wszystko to na widok jadących, którzy z czeladzią, psami i ptakami, całą szerokość drogi zajmowali, zdala już ustępowało przed nimi, zsuwało się na kraje, piesi stawali, kłaniając się do ziemi, bo w nich królewską drużynę poznawano.

Boleszczyce, jakby byli w swoim prawie, nie myśleli ustępować ani się ścisnąć dla nikogo — wozy nawet musiały przed nimi zjeżdżać na role. Psy uganiały się swobodnie za owcami w polu, a odpędzić ich nie śmieli pastusi... Była to królewska drużyna.

Ludzie i niewiasty niewolne, zdala na pole zbiegali, by się z nią nie spotykać.

Nad wieczorem już za lasem byli w otwartem miejscu, gdy zdala ukazał się naprzeciw nich jezdny orszak, który też zajmował drogę całą... Borzywój, gdy się nieco zbliżyli. wpatrzywszy się weń. oczyma dał znak swoim braciom i czeladzi, ażeby nie ustępowali.

Zdala widać już było ludzi konnych i zbrojnych, skromnie poodziewanych z cudzoziemska. — Liczba ich nie przechodziła gromadki Boleszczyców z ich czeladzią.

— To biskupi dwór i słudzy — odezwał się Borzywój półgłosem — ja ich znam, musi ktoś jechać z jego pobocznych, jeśli nie on sam. . dokąd? kto wie. A no, mniejsza o to. choćby i sam Biskup był, czego mamy mu ustępować! albo nie jesteśmy królewską drużyną?

— Nie ustąpić — zawołał Dobrogost.

— A no, nie! nie! — zaczęli powtarzać inni, mając się już do oręży. — Oczy się im zapalać zaczęły.

— Nie przepuścimy — powtarzali.

Dwa orszaki coraz się ku sobie zbliżały. Z drugiej też strony musiano poznać, z kim miano do czynienia; ludzie się nieco zatrzymali, zwalniając kroku, jakby dla narady, co począć mieli.

Tylko jeden przodem jadący na nic się nie zdawał uważać, wyprzedzając tych, co mu towarzyszyli.

W milczeniu, ściśnięci, ławą jechali Boleszczyce, oszczepy trzymając w rękę, ramię do ramienia, w bok się biorąc, i butę okazując straszliwą...

Jeden drugiemu oczyma odwagi dodawał — spoglądali na czeladź, aby ją utrzymać w porządku. Borzywój niby wódz zajął miejsce w posrodku i postępowali zwolna, ale tak, jakby na nieprzyjaciela uderzyć mieli.

Z tamtej strony ciszej, spokojniej szli ludzie, jakby pewni byli, że się im nic stać nie może. — Patrzeni przed się nieulęknieni wcale, nie okazując żadnego wrażenia.

W posrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego spokojny, nie świecił żadnymi ozdobnymi rzędami, ani wisiadły; na sukni też czarnej, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na' piersi nic więcej widać nie było. Twarz nie potrzebując oznak innych dostojności. znamionowała męża co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesionym wysoko.

Wejrzenie miał, które raz zwrócone na człowieka, zmuszało do poszanowania i trwogi nie żeby gniewne było, albo surowością zaprawne, ale majestat z niego promieniał i siła jakaś niewyciężona. Piękne rysy osłaniał pokój niewzruszony...

Jechał zwolna powstrzymując konia, jakby chciał dać czas do namysłu tym, co mu drogę zastępowali. — Czelaź otaczająca go, choć zbrojna, nie spieszyła z żadną oznaką, jakoby gościuiec sobie miała torować siłą; jak on sam, zdała się pewną, iż broni użyć nie będzie potrzebowała.

Borzywój mocno się nasrożywszy, gdy oko w oko stanął z jadącym naprzeciw, widocznie się zawahał, rzucił wejrzeniem gniewnem. lecz — stało się to sam

nie wiedział jak — ustąpił w bok, konia ściągnąwszy gwałtownie i szparko, tak, że na tylnych osadził się nogach. — Inni też zobaczywszy to, ruszyli nieco z miejsc, tak, że, dla orszaku biskupiego pozostał wolny wązki przesmyk, między dwoma kupkami, ściśniętych Boleszczyców, jakby go między siebie wziąć i osaczyć chcieli.

Nieulekniony biskup konia potrącił nogą i wjechał w tę gromadę zwolna, nie spiesząc wcale, ani się troszcząc o to, co się z ludźmi jego stanie. Ci za przykładem pana jechać środkiem chcieli, gdy, Biskupa przepuściwszy, Boleszczycy się ścisnęli groźnie i pozostała czeladź musiała, pana samego zostawiwszy, zjechać na bok z gościńca w pole. przyspieszając krokn, jakby uchodziła. — Młodszy Boleszczycy na widok nieładu, który powstał między orszakiem Biskupa, w głos szdyzić i śmiać się zaczęli.

Po twarzach ludzi towarzyszących Biskupowi. widać było złość i oburzenie, nikt się z nich jednak porwać pierwszy nie ważył na królewską drużynę, a Biskup wolnym krokiem przejechał przez: rozstępujących się, i głowy nawet nie zwrócił, aby zobaczyć, co się po za nim działo, tak się zdał pewnym, iż się ani jemu ni czeladzi nic złego stać nie może.

Tą powagą i wejrzeniem pełnem ufności w swą siłę. zmusił on królewską drużynę do cofnięcia się przed sobą. Borzywój i oni wszyscy ani wiedzieli jak się to stało, iż ustąpili. Sami na siebie gniewni byli, a czuli, że ich do tego skłoniła jakaś potęga, którą uczuli spotykając ten wzrok królewskim majestatem zbrojny.

Zaledwie się to stało, Boleszczycy ochłonąwszy obejrżeli się za siebie naśmiewając i szydząc, a w istocie chcąc pokryć wrażenie, którego doznali. niektórzy ręce zbrojne popodnosili do góry. — Biskup nie widział tego, gdyż wzroku nie zwrócił ku nim, towarzysze tylko ze szmerem oburzenia dognali go, obu-

rzeni i gniewni, ale wkrótce na zakręcie drogi znikł im z oczów poczet cały.

— Czegóżeś mu z drogi ustąpił! — zawołał Dobrogost do Borzywoja — byłoby mu stanąwszy zaprzec gościniec, a nie zjeżdżać w bok... niechby on był zmuszony cofać się przed nami, a nie my przed nim!

— Albo ja wiem, co się z moim koniem stało! — odparł Borzywój — uląkł się i w bok zachnął, nie pospiałem go strzymać... Zresztą Biskupem ci jest! a nie ustąpiłem się dla niego... tylko ..

— Tylko dla czego? — rozśmiał się Dobrogost.

— Aby ludzi mu wprawić w zamięszanie. — Na gościńcu się z nim rozprawiać nie nasza rzecz.

— Spojrzałeś ty mu w oczy? — odezwał się Zbilut.

— Cóż myślisz? — pewnie — wzrokubym się nie uląkł niczyjego! — wołał Borzywój.

— Ale srogo patrzy jakoś, aż mrozem ścina — wtrącił Ziema. — Ciarki po mnie poszły, gdy mijając go, oczy spotkałem.

Inni się nie przyznawali, starając pokryć wrażeńie żartami i szyderstwami. Oglądano się jeszcze, ale już tylko tuman kurzawy widać było za niemi.

Słońce zapadało wśród wesołych chmur, pomalowanych dziwnie czerwono, złocisto, pomarańczowo i fioletowo... W górze obłoczki, jakby fręzlami oszyte, rozpinały się po niebieskiem tle niebios. — Ptastwo uwijało się gromadami w powietrzu, zabierając popieszczenie do spoczynku — mrok już z drugiej strony niebios nadchodził.

Jechali jakiś czas w milczeniu posepnem.

— Wyznaj Borzywój — szepnął Ziema — i tyś go się uląkł jak ja! Ani ci się dziwię. Ten ci to sam, co Piotrowia z martwych wskrzesił na świadectwo, nie trudnoby mu więc było żywych martwami uczynić, gdyby chciał. — Ja wołałbym go ani widzieć, ni zaczepiać...

— Pewnie — szepnął starszy po długim prze-

stanku. — Jak mam przeciw sobie żelazo i strzały, wiem z kim walczę i co mi grozi, a z temi co niewidzialną siłą mogą zabić lub wskrzesić—jak tu wojować! Wolałbym, żeby i król z nim pokój zawarł, ale pono po czasie o tem myśleć. Biskup srodze rozjątrzony, odgraża się na pana, iż go precz wyżenie...

Wszyscy księża mówią teraz, że do tego doprowadzą króla, iż jak cesarz papieża niedawno, on biskupa w nogę będzie musiał całować.

— Cesarza ja nie znam — dodał pomilczawszy Borzywój — ale króla do tego zmusić — bodaj ciężko będzie.

Spojrzeli po sobie głowami potrząsając Boleszczyce i westchnęli.

— Co o cesarzu prawią, że mu papież nogę na karku postawił — przebaknął Zbilut — to tam baśnie być muszą, które klechy roznoszą. aby straszyć świeckich ludzi.

— Nie bajki.—zaprzeczył Borzywój—słyszałem o tem od króla nieraz. Śmiał się z cesarza mówiąc:

— Gdyby ja cesarzem był, rychlejby koronę postradał, niż cześć moją.

Gwarzyli tak jeszcze jadąc, gdy się w dali na boku od gościńca pokazał dworzec znaczny. ostrokolami i drzewy otoczony. Na wyjaśnionych niebiosach drzewa i zabudowania ciemną się masą malowały, wśród której otwarte okna i drzwi silnie oświecone błyskały jak ogniska, w podwórzu zaś smolne stosy i beczki pozapalane, łuną szeroką okolicę zalewały... Zdawa widać było jakby gorejące drzew wierzchołki i unoszące się w górę krwawe od płomieni dymy, iskrami natykane.

— Hej! hej! — zawołał wesoło Dobrogost — wszak ci to chyba się król tu zabawia. na swym wiejskim dworze, bo któżby inny!

Ruszyli wszyscy ochoczo pokrzykując...

— Król nasz! króll!... dobrze się nam go spotkało! A no żywiej!

Kłusem puściła się cała gromadka, przyspieszwszy kroku.

Im się bardziej zbliżali, tem światło większą luną na nich biło; wrzawę, śpiewy, gęśle słyhać było coraz donośniejsze.

— Król bez wątpienia... powtarzano.

— I wesolo tam około pana naszego — mówili — w dobry czas ku wieczery przybывamy. Ani chybi też z królem Krysta być musi, a kto rad się jej uśmiecha. choć w oczy jej zajrzy...

Z wesołemi śmiechy i okrzyki, Boleszczyce się ku wrotom zbliżyli, gdzie czeladź stała liczna — dalej konie powiązane do żłobów stojących w dziedzińcu rzędami — Inne czeladź w rękach oprowadzała.

Przez okna, których otwarte okiennice na oścież stały, w środku widać było pochodniami oświecone izby, z których wesole śpiewy i brzęczenie muzyki dochodziło.

Zaledwie Boleszczyce w dziedziniec wjechali. zewsząd ich pół-głosami witać poczęto. — Tu też dla czeladzi prawdziwie królewską ucztę zastawiono. Beczki stały gęsto, kubki i czerpaki przy nich. chleb leżał stosami, sery bieleły na słomianych matach i woń piezonego mięsiwa rozchodziła się do koła.

Drzwi i okna oblegała czeladź i dwór strojny i zbrojny bogato, ludzie orężni w pięknych sukniach.

Tuż pod złocistem okryciem aż do ziemi spadającym, dwóch ludzi zwolna przeprowadzało piękną klacz ulubioną królewską, którą Orlicą zwano. Około niej z wielką pieczę i troskliwością kręcili się ludzie chleb jej z rąk podając, to podstawując napój — ale ona obojgiem gardzić się zdawała.

Niewielkiej miary, siwo jabłkowita, z połyskującą sukienką, czarnemi kopyty, nozdrzami różowemi rozdartemi, czarnemi wielkimi oczyma, długą grzywą jedwabną i ogonem jak kosa zaplecionym wstęgami złotemi — królewska faworyta zdawała się wiedzieć do kogo należała. Szła dumnie nie dając się pociągnąć,

zatrzymując ludzi. podnosząc głowę czasem i rżeniem zdając się okazywać niepokój i znudzenie.

Gdy się ten głos ozwał w dziedzińcu, naówczas konie, które u żłobów stały, rwały się, rżały, mieszały i całe podwórze rozlegało temi końskimi rozmowory, które śpiewy i gędbę głużyły...

Orlicę jak królowę tego stada, otaczał dwór jej własny, miała nawet namiot osobny. w którym spocząc mogła gdy chciała na świeżo podesłanej słomie. wśród kublów z wodą, naczyń z owsem i wonnego siana.

Boleszczyce witani wesoło, pozsiadali z koni, pościągali suknie. pozapinali kaftany, pooddawali części uzbrojenia czeladzi. i wprzód nim weszli do środka, przez okna starali się przypatrzeć obrazowi, który ztąd wewnątrz dworu przedstawiało.

W izbie długiej, niskiej, a niezbyt szerokiej, którą stojący przy ścianach pachółkowie oświecali,—widać było ustawiony stół długi, okryty obrusami szytymi na rusi wzorzysto, zastawiony naczyniami srebrnymi i złotymi. Konwie, dzbany. kubki, misy. wszystko było z tych kruszców grubo kute i świeciło a lśniło się w ogniu blasku. Mnogość tych naczyń prawdziwie królewska, dziwiła ciekawy tłum, który cisnąc się do okien, przypatrywał pańskiej biesiedzie.

Nie odpychano gawiedzi, bo król łaskaw był dla prostych ludzi, niekiedy aż do zbytku, tak, że ziemianie i rycerstwo za złe mu mieli, iż więcej niemi się opiekował. niż temi, co z nim i za niego krew przelewali.—Widać było ze swobodnych śmiechów i ruchów tych gromad, że się tu czuły jakby u siebie, i wcale królewskiego dworu, jego ciwunów i sotników nie lękały.

Na szerokiej z poręczem ławie, obwieszanej suknem bogato, siedział na podwyższeniu lat średnich mężczyzna. ciemnych oczów, włosa i brody, którą nieco postrzyżoną nosił. w sukni z jedwabiu złotem szytej, ze sznury i kutasy złotemi, bramowanej bogato.

Na szyi miał gruby łańcuch, pas na biodrach szeroki i mieczyk przy nim kamieniami sadzouy. — Na głowie przechylony siedział szłyk szkarłatny z futerkiem. — Nogi miał obcisło suknem okryte, z niechcenia założone, jedna na drugą, ozute butami czerwonemi ze złotemi skówkami na nosach... Siedział rozparty wygodnie, rękę jedną na poręczy trzymając, drugą wgnąwszy ku pięknej niewieście, którą miał obok siebie.

Twarz jego, choć zmęczona, piękną jeszcze była, nadewszystko dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełną. — Króla w nim znać było zdała, nienawykłego ustępować nikomu. Gorzały ogniem jakimś wewnętrznym rozplamienione. żywo biegające oczy — usta wydatne, wydęte były i mięsiste, policzki okrywały rumieńce silne, czoło miał wyniosłe. nos orli z nozdrzami rozdętymi... Po twarzy widać było gdzieś niedzie krwią wzdęte żyły, zdające się skórę podnosić, jakby im pod nią ciasno było. Z królewską dumą na twarzy tej łączyły się królewska ludzi pogarda i pycha niezmierzona. Młode i zdrowe lice, życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciskając na niem ślady burz, przez które przeszło zwyciężko.

Oczy czarne czasami zmrużał dziwnie, niekiedy usta oddymał, srożył się i marszczył, na chwilę prawie spokoju nie dając obliczu swemu. Biegały po niem prądy różne i widome dla wszystkich. bo się z niem ukrywać nie chciał i nie potrzebował.

Gniewy, radość, szyderstwo, oburzenie, zniecierpliwienie, przelatywały jak chmury po niebiosach, mieniały się, nikły, wracały, tak, że kto chciał czytał w tej twarzy na oścież stojącej. co się działo w duszy pana.

A twarz to była, jak kwietniowych dni niebo zmienna. błękitem naprzemiany, obłokami czarnemi, chmurkami białemi, oponami szaremi. słońcem wesołym i złocistym malowana, której poranek nie ręczył

za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody... Piotru mógł z niej uderzyć niespodziany, a w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity...

Od dziecka niemal pan, żołnierz. wódz, zwycięzca; co rozdawał trony — był nienęknionym i nie rozumiał może, iżby dlań co niepodobnem być mogło.

Niewiasta siedząca przy nim, piękna i młoda, na twarzyczce niemal dziecinnej, miała wyraz zalotności wyzywającej, śmiałej, nie wstydzącej się wcale, naiwnej.

Białej płci, z małym rumieńcem, nieco błada, czarnymi wielkimi, wesołemi oczyma z pod ciemnych łuków brwi, patrzała w króla jak w tęczę. Małeńkie jej usteczka uśmiechały mu się lubieżnie, a w uśmiechu białe pasek ząbków śnieżnych przeglądał. — Ciemny włos rozpuszczony miała na ramiona, które się od niego bielsze jeszcze wydawały.

Niebieska sukienka ze złotem szyciem, ciasno obejmująca kształty ciała, pokryta była drugą szkarłatną w fałdach bogatych osłaniającą ją, od niechcenia rzuconą... Na piersiach, głowie, ramionach, rękach, u pasa, złote ozdoby świeciły i wyglądały, gdzie tylko się mogły umieścić. — Strojną była do zbytku, chciała być piękną i wyglądać po królewsku, choć na to się tak bardzo stroić nie potrzebowała. — Młodość jej była pełną uroku, świeżość wdzięku, który gasił wszelką urodę niewieścią, coby z nią chciała wystąpić do walki.

Król jedną ręką spierał się na białem jej ramieniu i z rozkoszą patrzył w czarne jej oczy, rozjaśnione weselem dziecinne. Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu na co patrzała, mężczyznom co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnej, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani uczucia innego nad to roztrzęsione wesele nie widać w niej było. Smutnemu panu ten śmiech perłowy musiał serce zastygłe rozgrzewać.

Tuż za tą królewską parą stało kilka niewiast

młodych, pięknych, strojnych, wesołych także, szepczących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po mężczyznach, którzy króla otaczali.

Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani i jej wdzięczną twarzyczkę, jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niej wydawały się tak gminne, pospolite, jakby z innego pochodziły świata.

Ich srom nawet był od jej zalotności bezwstydniejszy.

Dwór męzki, który króla otaczał, składał się z samych młodych i rycerskich postaci. Niektóre z nich ledwie się zdawały wychodzić z dzieciństwa i puszek ledwie się im na brodzie i na policzkach wysypywać zaczynał. Wszyscy oni błyszczeli od złota i bławatów, przepysznie strojni — i znać lubujący się w wytwornej odzieży — wszyscy mieli twarze wesołe, usta uśmiechnięte, trochę pańskiej dumy na licu i buty dworaczey.

Ani jednej siwej głowy, ni jednego starca poważniejszego w całym tem okoleniu nie było. — Król się wydawał najstarszym ze wszystkich i najbardziej uwiędłym.

Wszyscy stojący około pana, czekali, patrzali rozkazu i skinienia, zdając się chcieć odgadnąć z oczów króla, jakiej może zapragnąć usługi. — Nawet mieniąc wejrzenia z niewiastami, co ich oczyma i ruchami wyzywały na psoty, młodzież ta ciągle ku panu jednym okiem spoglądała.

Jak żadnej starej, tak też i posępnej nie widać było twarzy. — Królowało wesele, pan smutku w tych godzinach nie lubił.

Na ławie w głębi siedziała gędzba, pobrzakując w struny, a gdy się ozwała, niewiasty za królem stojące, nucić poczynają z cicha. Śpiew ich zrazu nieśmiały, wzmagał się potem coraz silniej, łączyły się z nim głosy nowe, i pieśń wesoła swawolna, przery-

wana śmiechami, przebrzmiewała po komnacie, wylewając się na podwórze, gdzie jej zdala wtórowano.

Śpiewające dziewczuchy, gdy przyszło coś zbyt surowego w pieśni, zakrywały sobie oczy, odwracały głowy, osłaniały się rękami, zarzucały fartuszkami, ale śpiewały ochoczo.

W chwilę potem opadały ręce, odgarniano zasłony, błyskały oczy śmiechu pełne i usta różowe.

Piękna czarnobrewa swobodnie się opierając na poręczu siedzenia, przechylała się w takt pieśni, kołysała, jakby giętką kibić i kształty toczzone chcąc ukazać. Czasem podnosiła rączki białe, klaskała w nie zlekka, to spuszczała na kolana, niekiedy szybkim, ukradkowym wejrzeniem przelatywała po izbie i twarzach, po drodze zawadzając swawolnie o gorące oczy młodzieży.

Każdy, na którego padł wzr. k ten czarodziejki, mimowolnie drgnął, jakby go kto mieczem przebił, ale nim pogonił za nim, już on gdzieś odleciał daleko — król na nią tylko patrzył, czasem usta zwilżył trochę w złotym kubku, który stał przed nim i znowu go stawiał przed sobą zamyślony. Dwór czatujący na pańskie wejrzenia, dzisiaj go nie mógł pochwycić.

Boleszczyce popatrzywszy przez okna, poszepawszy w progu, pośmiawszy się z przyjaciółni u wnijścia, wreszcie się do izby skierowali. Rozstąpiły się im strażę, zaczęli głośno witać znajomi — usuwali się wszyscy. Szmer się stał, król odwrócił głowę, brew zrazn zmarszczył, lecz obaczywszy swą wierną drużynę, uśmiechał się im znak dając, aby szli do napitku i jadła.

Za królewskim wzrokiem poszły oczy czarnobrewy, spotkały się z wejrzeniami, które ich już szukały; zarumieniła się mocno, niby zadąsana odwróciła szybko głowę, wnet spojrzała powtórnie i pokraśniała mocniej jeszcze... Borzywój i Zbilut szczególniej ści-gali ją wzrokiem zuchwałym. — Wszedłszy Boleszczyce stanęli nieco zdala między swemi.

Król w chwilę skinął, aby się zbliżyli. Podszedł Borzywój jako starszy.

— Cóż tam wasze łowy? — zapytał król obojętnym głosem.

— O mało się nam bardzo nie udały — odezwał się Borzywój — bośmy spotkali na drodze straszną zwierzynę.

— A cóżeście z nią poczęli? — rzekł król — zabiliście?

— A! nie — mówił starszy z Boleszczyców — nie wiedzieć jak się to stało. Stado poszło w rozsypkę, a zwierz nas rozpędził.

Król spoglądał ciągle nie wiele wagi przywiązując do opowiadania, jakby o czem innem myślał, w tem Zbilut podszedłszy, dodał za brata.

— Nie udały się nam łowy, miłościwy panie. bo biskup Stanko drogę nam przejechał.

Posłyszawszy to imię, król się zachnął i zmarszczył nie nie odpowiadając. — Nawet w żarcie wspomnienie o biskupie przykrem mu było.

— Dziś bo zgoła szczęścia nie było w lesie — mówił dalej Borzywój oczyma strzelając ku pięknej czarnobrewie — wszak ci to i pana z Bużenina spotkałiśmy na gościńcu w lesie.

Twarz niewiasty oblała się cała krwią. pokraśniały nawet białe ramiona, odwróciła głowę, przeleżała, jakby na padalca nastąpiła.

— Byłóż go tu zabrać z sobą — przemówił król obojętnie a szydersko — niechby się napił i poweselał, bo zły, słyszę, chodzi i gniewny.

— O! jechał smętny jak post — odezwał się Borzywój — kędy? Bóg wiedzieć raczy i z księdzem, jakby się na śmierć gotował.

Król usta odął, uśmiechnął się wzgardliwie i odwrócił żywo do siedzącej przy sobie. — Boleszczyców już jakby nie widząc, zapomniawszy o nich...

Ci też, wyczekawszy mało, ustąpili z przed króla, wmięszali między dwór, a młodszy po za niewia-

sty wszedłszy, gzić się z niemi i zaczepiać je ostro-
żnie zaczęli... towarzyszki czarnobrewej nie zdały się
im tego brać za złe, srożyły się wprawdzie, ale w tak
dziwny sposób, jakby wyzywać chciały. Ręce co inne-
go, oczy co innego mówiły, co innego usta. Król
choć słyszał chichotania i szept, wcale się nie odwró-
cił nawet, bo znać tak zawsze bywało...

Czarnobrewa tylko spozierała surowo nie na swe
niewiasty, ale na tych niewiernych, co na inne twarze
w jej obecności patrzeć mogli.

Parę razy wzrok jej pobiegł za Borzywojem
i Zbilutem, na każdego z nich spoglądając inaczej.
Śledzić się zdawał pierwszego, drugiego szukać nie-
spokojnie, jednego obawiać, drugiego pożądać, jak
dziecię zabawki...

Wszystko w niej było aż do zalotności dzie-
cinem.

Właśnie się krótka rozmowa Boleszczyców z kró-
lem skończyła, gdy gęslarze, którzy byli umilkli tro-
chę i spoczywali, brzęknęli w struny, szmer ucichł,
piosnka cicho i nieśmiało poczęła się odzywać jakby
z dali.

Stara to była pieśń miłosna :

Stanę się, stanę siwym kaczorem...

.

Niewiasty jakby urokiem jej porwane, rozśpie-
wały się na dobre, zapomniały o wszystkim, prześci-
gały głosami, i pieśń rozlegała znówu po izbie,
w podwórzu, kołysząc jak fala. aż póki z ostatnią nie
umarła zwrotką.

Westchnęła czarnobrewa — może się jej dawne
jakie przypomniały czasy, inne głowy pospuszczały.
Niewiadomo co pieśń niesie, za słowami jej kryje się
tyle widm i upiorów.

Długo tak w noc król śpiewać kazał i przysłu-
chiwał pieśniom, w oczy patrzył pięknej Kryście, to

z nią żartował, to się zasepił i na służbę gniewał, to śmiał do rozpuku, a za nim tłumy, nie wiedząc czego się śmiały — aż po północy gęslarze na ławie, przy miodzie się pospali. król i czarnobrewa gdzieś znikli, dwór się, gdzie kto mógł i chciał do snu rozłożył i zwolna we dworcu ucichło. W podwórcach tylko u koni czaty chodziły i u drzwi pańskich mieniali się ludzie, by ich miał król na zawołanie.

Bywało tak czasem, któż mógł przewidzieć? że się Bolesław zerwał wśród nocy i rozkazał na łowy, na Wawel, na wojnę, na drugi państwa koniec, gdzie się myśli pańskiej pobiedz zachciało. Czasem obozem leżał miesiąc, niekiedy spoczynku nie dał jednej nocy — przebiegały w nim zachcenia różne, których hamować nie chciał i nie umiał. Tak samo dobrym był i okrutnym, szyderskim i litościwym bez miary. Ci, co z nim żyli, w oczy mu patrzali, nigdy powiedzieć nie mogli, co wieczór, noc i poranek przyniesie. Na wszystko gotowi być musieli.

II.

Gdy Bolesław zabawiał się tak na królewskim dworcu, o kilka mil ztamtąd ściągало się po cichu rycerstwo, zwołane na radę przez Mściława z Bużenina i innych ziemian, którzy od króla odeszli. Na ten zbór jechał i Biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego Boleszczyce z małym orszakiem na drodze spotkali.

Zwołano radę jakby ów stary wiec, który wprzód dy wiciami rozsyłanemi gromadzono, ale potajemnie i cicho. Teraz już starych tych obyczajów porzucono

wiele. nie godziły się już one z nowym ładem i składem.—Gromady nie miały głosu jak bywało. Od czasów Mieszka panowali knezie a królowie; oni sami tylko zwoływać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano i przypuszczono, kogo pan zażądał.

Pod żelazną dłoń Chrobrego, ziemianie i rycerstwo starych swych praw wyrzec się i zapomnieć musieli, nikt do nich odwołać się nie śmiał, choć żyły jeszcze w starych ludzi pamięci. Gdy potem Mieszko Bolesławów syn z Ryksą objęli rządy, podniosła nieco głowę dawna swoboda słowiańska, ale się to nieładem, burzą i zniszczeniem skończyło. Za Kazimierza wrócił dawny królewski porządek i posłuszeństwo, a gdy rządy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał.

Od początku niemal panowania, wojował bezustanku, rycerstwo wodził za sobą to do Węgier, to na Ruś, spoczywać mu niedając. Ziemian innych znać nie chciał, oprócz tych co mu służyli. — Głowy podnosić zbyt wysoko nie pozwolił nikomu.

Urodzony z matki rusinki Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, z Rusią związany ciągłemi wojny i brataniem, Bolko jak wojak krajem rządził, jak wódz i pan, a u siebie doma tak chciał mieć jak w zawojowanym kraju, i jak bywało na kijowskiej Rusi.

Musiało mu służyć na skinienie wojsko, ziemianie, lud, nawet duchowieństwo, które on sam sadzał na biskupich stolicach i chciał je mieć sobie posłusznem. Wolał przeto polskich mieć biskupów, niż Włochów i Francuzów, których mu z Rzymu stręczono.

Z duchowieństwem szło opornie; czuło się ono nadto silnie związanem z całą potęgą kościoła na Zachodzie—by mu ulegać miało nie broniąc swej niezależności, gdy gdzieindziej albo władzę ze świeckimi dzieliło lub nad niemi brało górę.

Była to w całej Europie chwila przełomu, która

o losach kościoła stanowić miała, — mieli on, wedle wyrażenia Hildebranda, być słońcem, a królowie i panujący księżycami, czyli przy słońcu cesarskiem, jak skromny stanąć satelita.

Cesarstwo wprowadzie wassalów mnogich liczyło, siły wielkie, ale czemże one były obok potęgi duchowienstwa, rozsianego po świecie całym, skupionej w ognisku z którego płynęły rozkazy; dzierżącego w rękę najpotężniejszy oręż klątwy i wyłączenia ze społeczności, równającej się śmierci i nad samą nawet śmierć straszniejszej.

Piętnastu biskupów polskich otaczało tron Bolesława Szczodrego, w czasie koronacji jego w Gnieźnie; — byli to jakby piętnastu wojewodowie potężnego zastępu, który władzy królewskiej albo mógł iść w pomoc, lub z nią walczyć.

Bolko ani znać od nich nic innego nie chciał nad posłuszeństwo i poddanie się rozkazom. Spotykał opór bierny, choć mu się otwarcie jeszcze sprzeciwić nie śmiano, czuł że tu miłości nie miał — zastraszyć nawet nie potrafił.

On też na czele rycerstwa swojego nie lękał się żadnej wojny.

Tymczasem duchowienstwu wypadki w pomoc przywiodły część tej siły którą król za swoją rachował.

Mściśław z Bużenina, którego młodą żonę wziął Bolesław z mężowskiego domu, wrzał chęcią zemsty przeciw niemu, mieli też i inni ziemianie niechęci powody; zwołano więc w pewnem uroczysku niedostępnem, zwanem „dziewiczy łąn“ wiec, który miał stanowić, jak sobie dalej poczynać miano.

Był to początek zmowy przeciw królowi, który wielu już dorobił się nieprzyjaciół w domu.

Mściśław nie naznaczył na ów zbór miejsca, ani we dworze, ni we wsi, ani na oczach ludzi, bo wiedział że to by się prędko doniosło do uszu króla, który pospolity lud miał za sobą. — Obawiano się zdrady,

naprowadzenia i napasci — bo choć ziemianie i część rycerstwa na króla sarkają, zniechęconą będąc do niego — miał on z sobą drużynę swoją, swych Boleszczyców i żołnierzy, którzyby zań życie dali i poszli choćby na rodzonych braci.

Obesłali się więc starsi, nproszeni przez Mściława, głowy rodów znaczniejszych: Toporczycy, Śreniawy, Doliwy, Lisy i inni, po cichu a ostrożnie, na dzień ów stawić mając na dziewiczym łanie w lesie, sami bez czeladzi, bo tej nieufano. — Jezdził pan z Bużenina sam od dworu do dworu i nie żałując trudu, aby na swem postawił.

On był duszą tego zboru przeciw królowi. a wiedząc iż i biskup krakowski mu był niechętnym — narzekając i bolejąc nad jego swawolą, — także go na radę zaprosił. Nie pierwszy to raz Mściśław się do niego udawał, znał go już dawniej Biskup, rodzinie też nie będąc obcy, więc gdy przybył na zbor go prosząc, miejsce i czas oznajmując, rzekł mu pasterz:

— Nie przystało mi, słudze Chrystusowemu i kapłanowi jego, potajemnie czynić zmywy, i kryć się z tem co czynię. Czyny moje i słowa jawne są, nie lękam się ich ani światu ni królowi na oczy postawić. Nie żądajcie więc po mnie tego abym z wami był.

Ale Mściśław, do rąk jego przypadłszy, całować je począł i błagać aby dla nich to uczynił i przybyć raczył, bez czego, jak powiadał, gorszy nieład i zaburzenie przypaść mogło.

A tak Biskup Stanko, po długiem namysle i pilném rozpytanin, gdy się przekonał, iż skuteczną być może bytność jego, przyjechał wreszcie obiecał, zapobiegając aby niesforne umysły rozjątrzonych ludzi, szkodliwego co nie postanowiły.

Pod wieczór dnia tego widok dziwny przedstawiała dolina wśród lasów, zwana „Dziewiczym łanem“ — oddalona od osad i wsi, odosobniona i w koło ścianą drzew i gąszczy objęta.

Była to łąka i pola część dość rozległa, zdawna odłogująca. — U stóp wzgórza na którym się rozposcierała, ku jednej ławie puszczy zlekka skłaniając, płynął strumień leśny po brzegach gdzieniedzie kamieniami usłany...

W samym środku pola onego stał odwieczny dąb rozłożysty. ogromny, tak jeszcze żywy i zdrow jakby kilkuset lat i niezliczonych burz i zim nie przeżył.

Niegdyś tu, wedle podań, odbywały się Sobótki. schadzały czasem wiecie, a nieopodal miało być cmentarzysko pogańskie i zgłiszczce. Pod lasem widać było zielonym darniem okrytą mogiłę, zwaną Knrową, od imienia wodza jakiegoś, który tu zginął przed wieki. Lud dotąd w pewne dni zbierał się nocami nad strumień, na uroczysko, pieśni śpiewał i obrzędy pogańskie odprawiał. Dla tego proboszcz wystawił tu był krzyż drewniany, na którym, jak dawniej u drzewach, zawieszano płachty chorych, a pod nim stawiano obiady.

Przed zachodem słońca, przybyło już pod dąb jezdnych kilku, a choć nikogo nie znaleźli, powoli się rozkładać zaczęli.

Pouieważ, dla bezpieczeństwa, nikt z sobą czeladzi nie prowadził, sami panowie około koni swych staranie mieć musieli. i sami też sobie posługiwali. Niektórzy, co synów i włódcie zabrali u radę, nią się wyręczać mogli. Wszyscy też naówczas nawykli byli do uajtwardszej pracy i nikt się od niej nie wymawiał, a chlubę z tego ciągnął, gdy sam sobie we wszystkim dawał radę.

Trzech Toporów, którzy tu przybyli pierwsi. bracia Starżowie, nie długo pozostali sami, zjawilo się wnet dwu innego rodu, a po nich pięciu Toporów, których Kołkami zwano. Witali się jedni, drudzy muiej zuani sobie. bliżej dopiero zapoznawali.

Wszyscy podesławszy opony z koni zdjęte na ziemi się porozkładali, bo jak czeladzi i wozów, tak

namiotów też nikt nie brał z sobą, trzeba było pod dębem się chronić...

Obojętna poczęła się rozmowa co i gdzie się w okolicach działo, jak stało we dworach, osobiwie tych, które jeszcze po kijowskiej wyprawie i swawoli służebnych, do ładu przyjsć nie mogły.

Posępní byli wszyscy i nie zbyt radzi wiecowi; nie małą bowiem rzeczą było na owe czasy, zjeżdżać się niechętnym i poróżnionym z królem, który o zdjęcie głowy z karku ziemianinowi nikogo nie pytał, nikogo się nie zwykł był radzić, a gdy ukarać postanowił, sądów nie zbierał, posyłał siepaczy swych i ścinać kazał, tak dobrze prostego człeka jak najmożniejszego władykę. —

Choć ze zgromadzonych tu, mało komu co na sercu nie leżało, nie spieszyli ze skargami i żalami, czekano aż się zbierze więcej ludzi i Mścisław zagai. Niektórzy zapewniali że i Biskupa z Krakowa spodziwiać się było można, lecz temu nie bardzo dawano wiarę. Znano go jako męża co otwarcie zawsze występować był nawykły, a po królu największą miał powagę.

Z każdą chwilą powiększał się ów zbór u staro-
rego dębu, i o słońca zachodzie już z pół seciny, po
większej części mężów statecznych i podżyłych na-
liczyć było można. Wielu z nich siwy włos okrywał,
a młódź ściągnięta starszym ku posłudze, nieco się
opodał trzymała. Po uzbrojeniu i szatach rozpoznać
było można zamożnych władyków i ziemian dostat-
nich, u niektórych nawet oręż i sprzęt złotem obfi-
cie połyskiwał. — Konie też, które młódź na łakę, splą-
tawszy puściła piękne były i dobrane, a pieszczono
znać chowane, jak u rycerzy zwyczajnie. Boć pieszy
człek naówczas nie wiele był wart, i wojak nie stąpił
bez konia.

Zebrani gwarzyli głosy stłumionemi, gdy na-
statek z lasu pokazał się Mścisław, duchownego pana
mając u boku, sam jeden z nim, bo czeladź swą i bra-

ta młodszego opodal zostawił. Obaczywszy go niektórzy zdala rękami witać poczęli, inni wołać ku niemu:

— Bywaj!

Mściśław żywo z konia zeskoczył, księdzu, którego wiódł z sobą pomagając, i oba wierzchowce, do gromady odpędziwszy, sam pospieszył do tych co nań oczekiwali.

Znani i nieznajomi mogli się teraz lepiej przypatrzeć dawno niewidzianemu panu z Bużenina, który po wzięciu mu żony, długo na świat oczów nie pokazywał. — Mąż to był lat średnich, czarno zarosły, zawczasu siwizną przypruszony, oczu bystrych, niskiego czoła, krępy i silny, w którym niepomiernej zaciętości, a zarazem żalu wielkiego, bolesci głębokiej wyraz uderzał.

Szedł zwolna, z pod gęstych brwi nachmurzonych rzucając wejrzenia niespokojne na tych co go witali, z dumą jakąś i wstydem niemal. Widok tylu ludzi przed którymi na srom swój się miał użalać, mieszał go i burzył razem. U boku jego idący bratanek, duchowny z Krakowa, przy nim się zdał wylekły i do zbytku pokorny, a spokojniejszy daleko. Szepcząc też coraz coś na ucho Mściśławowi starał się i jego ukoić.

Powstawali z darni leżący pod dębem aby witać przybyłego, który ze wzruszeniem znacznem jednych obejmował, drugich w twarze i ramiona całował, innych pokłonami pozdrawiał, rozglądając się ile już ich tam było. — Tymczasem nowi przybywali coraz. rosła liczba zebranych, i gwar w kółku, a jeszcze jakby oczekiwano na kogoś, i ku lasom spoglądano.

— No — ozwał się najstarszy z Toporów, my tu sobie sami sługami dziś być musimy, gdy nam na to zeszło że własnej czeladzi wierzyć nie można. — Niechże młodzi ognia naniecą, kołem siadajmy wszyscy, a zacznijmy radzić o sobie aby czasu nie tracić.

Tedy Mściśław, obejrzawszy się dokoła, odezwał

się głosem cichym, iż Biskupa Stanka ma nadzieję oglądać, życząc aby się z naradą wstrzymano aż przybędzie. Na to też inni godząc się, zamilkli wszyscy.

Nieco na oboczu, młodzi, których myśl weselsza nie opuszczała, choć starszych twarze posępne były, wzięli się ochoczo i swawolnie do naniecenia ognia. Wieczór był piękny i spokojny, ale rosa padała tak obfita, iż ognia rozpaścić nie przyszło łatwo. Namęczyli się dosyć nim go potrafili dobyć, a gdy z chrusta suchego i gałęzi płomień się ukazało, aż raźniej się zrobiło wszystkim. Ten i ów dobywać począł co przywiózł z sobą, bo każdy się po troszę opatrzył na drogę. Pokładzono na trawie co kto przywiózł, podobowano baryłki podróżne, wyciągnięto z sukien kubki, i wzajem się częstując, pokrzepiać zaczęto, przyczem wrzawa i rozmowy coraz się weselsze roznęgały...

Mścisław tylko z księdzem siadłszy na uboczu, sparł się na kolanach, i ani jadł ani pił, ani się zdawał słyszeć co się wkoło niego działo, tak był w myślach zatopiony — poglądał wciąż niespokojnie w tę stronę, z której się przybycia Biskupa spodziewał...

Nikt też zbolełego człowieka nie zaczynał słowem, nie drażnił wzrokiem, bo wszyscy nad nim litość mieli.

Mrok już padł był dobry, gdy z lasu ujrzano wyjeżdżających dwu mężów, a w jednym z nich poznano Biskupa Stanka, przeciw któremu, zerwawszy się z ziemi, pośpieszył zaraz Mścisław z brataukiem swym i kilka innemi.

Reszta zgromadzonych żywo wstawać i poruszać się zaczęła, gotując do wiecu, rzucając dlań jadło i rozmowy.

Młodzi podłożyli ognia, który jaśniej znowu gorzeć zaczął, oświecając jaskrawo dąb, dolinę, gromadę zebranych ziemian, i w dali pasące się konie.

Gdy tak stali w niemem oczekiwaniu wszyscy, ukazał się Biskup zwolna idący pieszo, z twarzą swą

poważną i pogodną, zamiast pozdrowienia błogosławiać krzyżem na wsze strony. Głowy wszystkich skłoniły się z poszanowaniem.

U boku jego zajęli miejsca dwaj duchowni, a tuż przy nich stanął Mścisław.

Była chwila milczenia, w czasie której Biskup stanąwszy, ze złożonemi rękami, zdawał się cichą odmawiać modlitwę.

Dokoła ściskając się i starając przybliżyć, stanęli ziemianie, a Biskup skinął na Mścisława. Pan z Bużenina pochylił głowę, potrzebował chwili by mu głos w piersi zastygły powrócić, tak gniew i przypomnienie krzywdy doznanej je ucisnęło. — Nareszcie stłumionym, cichym głosem ozwał się oczy podnosząc.

— Radzić nam o sobie potrzeba, miłościwi panowie — radzić samym, bo i my się bez opieki zostali, wydani na pastwę, jakby dzikiemu zwierzowi! Radzić nam trzeba, jeśli ginąć nie mamy.

Zatrzymał się nieco, szmer poszedł koło.

— Czas o sobie myśleć — dodał, — i głowę spuścił, bo znowu mu głosu zabrakło. Milczeli wszyscy, czekając co dalej mówić będzie. Mścisław, jakby się w nim gotowało i wrzało, bełkotał tylko, ręką po czoło wodząc spotniałem, w ziemię patrząc nie na ludzi. Żal brał widząc silnego człowieka, którego boleść niemym czyniła.

— Radźmy — rzekł stłumionym głosem, jeśli ginąć nie chcemy.

— Radźmyż! podchwycił ulitowawszy się nad nim Topor, na lasce z siekierą oparty — radźmy o sobie. (Wszyscy owi Topory, Starżowie i Kołki bez siekier nigdy nie stąpili).

— Sprawę moją znacie — odezwał się wreszcie Mścisław niepodnosząc oczów. — Srom mówić o niej, a no, gdy człeka zwierz okaleczy, ranę okazać musi, choćby sromotnie był okaleczony. Tak i ze mną. — Sromotnie okaleczony jestem przez tego, który mnie

od sromu bronić był powinien... Król. co opiekunem być miał, stał się rabusiem, żonę mi wziął...

W tem z boku mu któryś przerwał.

— Azali białogłowa lekka nie sama go ku temu wyzwala? Sam ci pokrewnym jej, mówił dalej. a bronić nie chcę i obwinę raczej. Któraby nie dozwoliła nie byłoby z nią tego co się z twoją Krystą stało.

Mściśław gniewnie odwrócił się ku mówiącemu, i rzucając się niemal na niego, zawołał.

— Azali nie wiecie co niewiasta każda jest? alboli która z nich rozum ma? Przeto gdy jedna z nich zgrzeszy, nie jej winą. a tego co ją przywiódł do grzechu — bo ona dzieckiem jest... Winien Król co miał więcej psiej chuci niż rozumu i sumienia.

Uderzył się Mściśław silnie w piersi.

— Wy ją winiecie. a ja jej nie winię! Słabą była i nierozumną, a ten co ją uwiódł, silny był i podły.

Żaszemrano dokoła, a potem milczenie się stało głucho.

W tem poruszył się jeden co stał w drugim rzędzie, mąż opalony, barczysty, wojak z postawy i twarzy; przedarł się naprzód dokoła, stał i mówić począł.

— Alboż to jedno co zrobił ten kat a nie król? alboli to jedno?

Pytajcie co się u mnie stało, co u innych wielu? Trzymał nas lat tyle w Kijowie u boku swego, a domy zbytki się działy. Po co i my tam siedzieli, aby mu za straż służyć, gdy szalał? I ja tak rzeknę jak Mściśław, nie niewiasty nasze były winne, bo to są dzieci, choćby i jak stare były. — Serce się nam rwało do domów i dzieci, trzymał nas bezlitośnie za górami, a domy sługi i pacholki, widząc że nas nie stało, gwałtem sobie żony nasze pobrali.

Toć wiecie cośmy potem zastali, gdy cierpliwości zabrakło...

Jak nas wieść doszła w Kijowie co się działo,

i ja i sotnia cała, nie pytając pana lecieliśmy na skrócenie karku. bronić tego co jak życie drogie.

Tu tłuszcza ta, własne nam wrota pozamykała, wiedzieli lotry z czem przybywamy. Do domów nam swoich szturmem się dobijać przyszło, siec, karać i wieszać gwałtowników.

A za kimże się król ujął?

Za nami?

Nie—za tłuszcza i gwałtownikami, za czeladzią naszą, a żonom którym niepoctywy gwałt zadano, szczenięta do piersi przystawiać kazał, i swoją klacz wodzić krzycząc, że ona więcej była warta niż te żony co się przemieszczały!!

Ścięto dziesięciu i więcej braci naszych, za to że samowolnie zbiegli z Kijowa, ja głowę musiałem ratować ucieczką, po lasach się tułam, bo i mnie miecz czeka!

Na żony nasze, na nas spadły gniewy, a niepoctywe sługi, a motłoch i czern niewinna, tej się nam tknąć nie godzi, choćby ludzi niewolnych!

Gdy tak coraz mocniej głos podnosił. dech mu zabiło, ustał—rękami w powietrzu rzucając, miotając się cały, potem za czoło chwycił się ręką jedną, za piersi drugą i jęknął boleśnie.

Patrzali nań wszyscy w milczeniu, żal było wójaka mężnego, który kryć i tułać się musiał...

Tuż wystąpił drugi, odarty jak on, w resztkach zszarzanego i oszarpanego pancerza.

— To co on mówił i ja potwierdzić mogę, odezwał się schrypłym głosem. — Królowi ziemianie i rycerstwo solą w oku, nasby się wszystkich rad zbyć, a z motłochu sobie dobrać drużynę. — Rusinami się otacza co mu pokłony biją, Pieczyngów przy sobie chowa i niewolników. My, cośmy na tej ziemi ojczyce dawni, u niegośmy i psa warci; krom tych co jak Boleszczyce i za katów mu służą i za druhów do wszelkiego plugawstwa.

Takli ma dłużej być? poginiemy wszyscy...

— Do dziś dnia — począł inny, którego głowę tylko z za stojących widać było i włosy najeżone, do dziś dnia nam żeśmy z Kijowa uszli i żonom naszym nie przebaczył. Ino się który ukaże, wołają nań, zbieg, włóczęga, na gałąź z nim, łeb mu ściąć.

A jakżeśmy nie mieli uchodzić z Kijowa, gdy nam dobro nasze czerń łupiła? Mnie, żonę i siostrę parobcy wzięli... Powiesiłem ich obu — tak należało. Baby nie winne nic...

Za tem począł się taki gwar, coraz podnoszących głosów, iż już nic posłyszeć nie było można, nikt nie hamował wrzawy, okrzyki namiętne wznosiły się ze stron wszystkich.

Nie rychło poczęto syczeć, lecz gdy jedni milkli, drudzy się wyrywali z żalami i skargami, którym końca nie było...

— Chodził Tomko Swadźba do króla, chcąc go przebłagać — rzekł ktoś z tłumu, do nóg mu padł z pokorą, a nie był winien więcej tylko że z Kijowa biegał i sześciu parobków co mu dom skazili. wieszać kazał. Ścięto go przeto bez litości...

— Nie przebaczy żadnemu! potwierdził inny.

Stary Topor podniósł do góry siekiere na znak iż mówić chciał. i uciszyło się jakoś powoli, zatem on zabrał głos.

— Nie tak bywało. rzekł za Mieszka starego i za Bolka Chrobrego. Królowie surowi bywali, ale sprawiedliwi, bez rady też swej nie czynili nic. Ziemianie do nich szli jak dzieci do ojca, we wszelkiej potrzebie. Ten znać innej nie chce tylko swoją wolę, swój miecz, my u niego z czernią za jedno stoimy. Władyka, żupan czy wojak, a rab i parobek u niego równo waży.

I zwrócił się ku przysłuchującemu Biskupowi.

— Ojcie miłościwy, odezwał się, wy znacie i wiecie. jak gdzieindziej na świecie się dzieje. wiecie co nas boli, wy nam radźcie co począć mamy.

Gdy ujrzeli wszyscy iż na Biskupa wskazał

i spodziewali się że przemówi, ucichło wszystko nagle; ciekawe głowy zwróciły się ku kapłanowi. Biskup stał poważny, zadumany, nie spiesząc ze słowem.

— Co mówicie, na co się użalacie, rzekł w końcu — jam też to widział i patrzę na to; lecz nim się co poczuje przeciw złemu, rozważi potrzeba, aby większego zła nie ściągnąć.

Pamiętają z was niektórzy, jak po Mieszku i Ryksie, gdy panów nie stało wygnanych, wszystka ta ziemia zniszczoną była i w popiół obróconą. — Lepiej więc, zaprawdę próbować czy się go do opamiętania nie przywiedzie, niżeli knować na jego obalenie.

Do ostatka cierpliwości wyczerpać potrzeba.

Rozśmiał się Mscisław cicho, ale mu znak dano, aby milczał. i cofnął się za Biskupa.

— Może też, da Bóg, kończył Biskup, krew ta bujna wojacza ostygnie w nim i uspokoi się. Gdyby gorszego nam co groziło, a król upamiętać się nie chciał, naówczas nie wam się porywać na niego i wojować z nim, ale nam—kościółowi wystąpić przyjdzie, któremu także krnąbrnie się stawia.

Po nad tą koroną, którą z Rzymu ma, od papieża, stoi Biskup rzymski, kościół i my słudzy jego... Kościół co korony rozdaje, co rozkazuje światu i prowadzi go, kościół słowem jednym więcej uczynić może niż wy mieczami waszemi i odgrózkami. Przed nim on nkorzyć się będzie musiał.

To mówiąc Biskup wskazał na ziemię, jakby dumną głowę ugiąć chciał ku niej.—Milczeli wszyscy. Biskup nie rzekł więcej, a Starża drugi poczał.

— Tak, miłościwy ojcze — ratujcie nas chrześcian przeciw poganom, których miłuje król. Ziemianie, rycerstwo, ojczyce starzy tutejsi, na woli jego jesteśmy jako pachołkowie. Bywała Rada przy królu, on jej znać nie chce. — Garściami złoto rzuca i nam i czerni, ale pocziwego słowa nie da; przystępu doń innego nie ma tylko na kolanach, głową bijąc pokło-

ny. Jednemu z nas życie wziąć, majątności odebrać, cześć zbawić—toć igraszka...

Zwrócił się do stojącego nie daleko, człowieka nie wielkiego wzrostu, palcem go wytykając.

— Waszych on lubi, Kaniowy n niego w łaskach, Boleszczyców z waszego rodu najwięcej... tak, waszych... waszych...

Kaniowa ów łysy, mały człeczek, napuszył się i ostro staął przeciw Starzy.

— Widzicie przecie że choć tej krwi co oni, tu z wami jestem, a nie tam z niemi! Więc nie wszystkie Kaniowy z nim. A że się znalazło kilku co mu dwornją, co przy nim wiszą, a co ród winien!

— Winien—przerwała Starża—ich tam najwięcej, waszych Mszczuja synów! Jaknszowieckich waszych krewniaków. Czemu tam nie ma moich, albo i drugih?

— Jako żywo, odparł rozjątrzony Kaniowa, nie sami tam nasi koło niego, są Śreniawy są Drużyny...

— A waszych najwięcej! powtórzył Topor gniewnie.

— Każdy za siebie odpowiada — odezwał się zwadę usmierzając Biskup—nie ród winien a ludzie.

Stary Kaniowa cofnął się gniewny, pomrukując i zapalczywe rzucając wejrzenia.

— Brat mój przecie Biskupem we Wrocławiu — krzyknął odchodząc, azali i jego winić będziecie?

— Winni ci wszyscy co królowi dopomagają do swawoli, mówił Topor. — Gdyby ich z sobą nie miał, sił by mu do znęcania się nad nami zabrakło; gdyby nie Kaniowy, Śreniawy i Drużyny owe, nie ważył by się.

— Nie byłoby ich, byłiby Rusini i Pieczyngi, coby nas gorzej jeszcze dusili, krzyknął z tłumu nieustępujący Kaniowa.

— Dusiliby a nie gorzej—zawrzał Topor. Z cu-

dzej ręki cierpieć niczem jest, od swoich to już ostatnia zguba.

— Ani oni winni, ni kto kolwiek inny, wtrącił Doliwa, który stał milczący, oszczepem się podparłszy—winien on, on sam... Jaki pan taki sługa. Sługa pana nie czyni, a pan sobie urabia służkę, jakiego mieć chce. Winien on...

— On winien! on! zaczęto powtarzać żywo dookoła.—On winien!

— Ukojcie się. ukojcie—przerwał Biskup.—Nie chronię go ani oczyszczam, do cierpliwości skłaniam tylko, azali się nie upamięta. Chodziłem doń raz, gdy z Kijowa przypadł gniewny, grożąc pomstą i śmiercią — chodziłem nadaremnie, pójdę jeszcze i chodzić nie przestanę... Nie usłuchali rady i napomnienia, będzili gorzej niż jest — ujrzemy co naówczas czynić mamy.

Tak Biskup starał się niespokojne, rozgorączkowane głowy i serca skłonić do cierpliwości i pomiarowania. Miasto ukojenia jednak, zgromadzenie w którym każdy się z żalem rozwodził, coraz więcej na jaw dobywając samowoli — podrażniło wszystkich i wzburzyło.

Gniew wybuchał gwałtowniej coraz, rosnąc gniewy pokrewnemi.

Mścisław, który ziemian zwoływał, stał ponuro patrząc pod nogi.

— Ojciez wielebny — rzekł w końcu — czyńcie i rozkazujcie jako wam się zda. Cierpielśmy dłużej. pocierpiemy jeszcze, lecz, gdyby się miłości waszej nie powiodło, a słowo nie skutkowało, my o sobie też myśleć musimy i pomyślemy.

Rzucił dokoła oczyma, szukając współników, rąk sporo wyciągnęło się ku niemu, kilka wejrzeń strzeliło, i z różnych stron poczęły się odzywać głosy.

— Pójdziemy z tobą!

— Ujmiemy się za ciebie...

Biskup tedy, widząc że noc już dość późna była,

bo przerywana rozmowa i głosy trwały długo, raz się odezwał jeszcze.

— Dla dobra waszego, proszę was, nie rwicie się za gorąco i nieopatrzenie. — Dajcie mi czynić, nie pożałuję zdrowia mi życia, a powinność kapłańską spełnić. Pójdę doń, prawdę mu niosąc, nie ulęknię się—usłyszysz ją z ust moich całą.

Namaszczon jestem jako on i—jemu równy, a potęgą tego kościoła, co mnie posyła, większą jest nad wszystkich królów potęgę.

Mówiąc to, Biskup spojrział z dumą i ufnością w siebie po zgromadzeniu, które głowy w milczeniu skłaniało.

Za czem słów jeszcze dodawszy nie wiele ku pokojowi i cierpliwości, szepnął Mscisławowi iż jechać pragnie.

Przeżegnawszy potem zgromadzonych, z których bliżsi ręce mu całowali, cofnął się Biskup z koła. Starszyczyna widząc że się do odjazdu zabiera, wyszła przeprowadzając go. A jak szedł Biskup, po bokach mając dwu duchownych i gromadę starszych za sobą, ku łące, gdzie już młodzież, przodem poskoczywszy, konia mu wiodła i ramię podać do siedzenia gotowała się.

Księżyc się podniósł nad lasy, noc była jasna, spokojna i widno prawie jak we dnie, gdyż do wiosennego poranku było nie daleko.

Szli tak przy Biskupie Topor, Starża, Doliwa, dwu Śreniawów i Belina stary, ku którym, gdy się od gwarne go oddalili tłumu, zwrócił się jeszcze raz Biskup.

— Nie godzi się słów niebacznych rzucać przed tłumem—rzekł—bo się one z ust do ust szeroko przed czasem rozchodzą i tętnią daleko...

Złe jest—lecz, gdyby lepiej już być nie mogło—co myślicie czynić?

Topor długo milczał zasępiony, ręką rzucił, głowę podniósł.

— Ojcie miły, odezwał się.—Dziadowie moi Piastom wierni byli a co im z tego przyszło? Co nam wszystkim z Piastów?

Ród to nasz własny, nie od dziś ich znamy,—albo się z nich rodzą bohaterzy lub znoski i potwory... A czemuśmy innego rodu panów szukać sobie nie mieli?

Śmiałe te wyrazy innym usta zamknęły, spoglądali na się z obawą, jakby myśli swe przeniknąć chcieli.

— Mieszko, mówił Topor — ostatni, na poły się niemcem uczynił. — Kazimierz też przez Niemców był chowany. Bolko się zrusił z tamtejszym obyczajem i chce nas prowadzić — albo my to sobie innego pana znaleźć nie możemy, jak to już bywało?

Biskup położył mu rękę na ramieniu, a Topor umilkł spoglądając mu w oczy. i

— Ze słowy temi nie sp eszcie — odezwał się, niebezpieczne one są, a zamieszanie wzniecić mogą.

— Dla tegom ich tam nie rzekł, ciągnął Topor, a mówię to, przed wami ojcie, bo wiem że u królowej Światawy i na dworze czeskim macie zachowanie. — Niech oni nas zabiorą, jako już byli raz zawojowali, niech nami rządzą tak jako Czechami. Siłę z niemi mieć będziemy większą, aby się oprzeć Cesarstwu.

Biskup tylko nań spojrział.

— Zawczesne to słowa — rzekł. Prawda to że siostrę króla naszego Światawę szanuję, a małżonka jej mam dla siebie życzliwym — ale daleko jeszcze do tego byśmy nowego pana i panowania szukać potrzebowali.—Nie czas jeszcze.

— Król się już nie poprawi, rychlej zepsuje, gdy go gniewy ogarną—dodał Doliwa.

Nie mówili więcej, Biskup szedł ku koniowi, którego dlań trzymano. podsadzili go starsi, ucałowali rękę, i powoli, zadumani do koła wrócili.

W kole. po oddaleniu się Biskupa, którego przytomność wybuch hamowała, gwar się wszczał coraz

burzliwszy, namiętnemi mowy na króla się rzucano. Narady jednak ogólnej nie było, gdy głowy zabrakło kupkami pociągali się jedni do drugich; starzy wojacy, ziemianie, młodzież, z osobna każdy. Mścisław błędził między nimi szukając sobie ludzi, którychby mógł też na stronę odciągnąć, bo miał na sercu niedolę własną.

Nawinął mu się Sokoł Dryja i Benko z Kurowa. oba starzy druhowie. Tych wziął z sobą na bok. Luni widząc że z narady nic już więcej nie urośnie, poczęli myśleć o powrocie do domów. dopóki by nie weszło słońce. Wielu też, zaraz po odjeździe Biskupa, po konie poszło, i nie żegnając tylko bliższych — precz ruszyło w lasy na różne strony.

Mścisław z Dryją i Benkiem. opodał nieco odszedłszy, na ziemi przysiadł. Obu ich nie widział od czasu jak mu porwano żonę, więc począł żale rozodzić.

— Cóż wy na tę moją nieszczęsną przygodę mówicie? odezwał się, ręce załamane na kolanach zakładając — co myślicie o niej i o mnie? Mało ten człowiek bab miał do wyboru, żeby mu moją jedyne wziąć było potrzeba?

— A co ci ma boleć już? odparł Dryja. Zapomnieć trzeba i wziąć inną.

— Nie mogę! nie mogę! krzyknął zrozpaczony Mścisław.—Plnąłbym na nią, gdyby mi nie siedziała tu, w głowie i za pazuchą... to dziecko było! Ona niewinna, a ja ją podziśdziem miłuję jak oczy moje...

— A co ci teraz po niej! rzekł Benko — co ci po niej!

— Jabo bez niej nie wyżyję! jęczał Mścisław. Niech się ludzie ze mnie wysmiewają kiedy chcą, byłem ją miał!!

— Człecz! poczał Dryja—toć mi wstyd za cię! Gdyby cię ona miłowała, nie poszłaby za nim...

— Gwałtem mi ją wziął! gwałtem! zakrzyczał rwąc się Mścisław. Ja to wiem i baby świadczą które

tam były. — Kłua się iż rzewnie płakała, gdy on śmiejąc się na koń ją sadził. — Ona! ona niewinna — biedniatko! Któż się takiemu drapieżkowi oprzeć potrafi!

— A ty mu też jej teraz nie wydrzesz — dokonczył Dryja.

Mściśław siedzącego przy sobie pochwycił za szyję, objął rękami i całować począł.

— Pomóście wy mi tylko! wydrę mu ją! Na to was tu ściągnąłem, abym o pomoc prosił. Swoje odebrać i od króla się godzi.

A! ja wiem, biedaczka tęsknić musi za domem i za mną jak za nią; ten ją w żelaznych trzyma okowach, ua oczach ciągle. Ale my mu ją wydrzeć możemy, chytrością czy siłą...

Dryja ramionami ruszył.

— Szalony z ciebie człek! odezwał się — jakim sposobem ze dworu ją mamy wziąć, gdy sam mówisz, że z oka jej nie spuszcza. Słysząc że ją przy sobie na zamku posadził, strażę dzień i noc chodzą!! Nadaremnieby człek karku nastawił i śmiechu tylko napytał.

Mściśław słuchać nawet nie chciał.

— Na zamek się wkraść, gdzie wchodzi kto chce, łatwo — zawołał gorąco. Ona, byle mnie zobaczyła, poleci za mną! Z dobrymi końmi w lasy łatwa ucieczka! a w puszczy nikt mnie nie wyszuka. Byłem się pokazał Kryście, porzuci wszystko, pomoże do ucieczki! — Na zamku samym zuajdę przyjaciół i pomocników.

Mówił coraz żywiej Mściśław, ciągle oczy zwracając to na jednego to na drugiego ze swych słuchaczy; ci milcząc, namysławiając się po sobie trwożliwie spoglądali, nie kwapiąc się z obietnicą pomocy. Rzekł w końcu Beńko.

— Miarkujno, król się do niej przywiązał, pewnie też i pilnować musi tego skarbu, ludzi dużo, oczów wiele, o zdrajcę nie trudno... Ciebie czy nas

pochwyć, głowę damy, a zaprawdę, czy warto, sądzi sam? Zdala to ci się łatwem zdaje!

— Jam wszystko wyważył — odezwał się Mściśław, ani chcąc słuchać towarzyszków. — Pochwyć nas nie mogą. Król jej przecie z sobą na łowy nie wozi, a gdy zamki objeżdża, zostawia ją w Krakowie. Dzień taki wybrać gdy go nie ma w domu, moja rzecz, ludzi kilkunastu i konie rącze.

— Królowej starej i młodszej dwór, choćby co widział, nie ruszy się, rad będzie gdy ją weźmiemy. — Byleście pomogli.

Mimo upartego dowodzenia Mściśława, że porwanie Krysty możliwe było i łatwe, Dryja i Beńko, głowami potrząsali, cmokali dziwnie, i ochoty w nich widać nie było. Nie śmieli wręcz odmawiać, a przyrzekać też nie chcieli.

Mściśław ciągle nalegał.

— Dryjo, bracie, tyś mi, pomnij, pobratymem poprzysiągł być, bądź ze nim w złej doli. Beńku, ty mnie ratowałeś nie raz, jam ci pomagał, nie odmawiaj mi gdy proszę. Nic nie pragnę tylko ją nazad dostać. — Byłem ją miał, nie znajdą mnie, nie wytropią. — Świat szeroki, będę wiedział dokąd uciekać i zajdę na Ruś.

— Człeczce, Bolko na Rusi jak we własnym domu! zawołał Dryja.

— To do Węgier.

— Tam ci on pan — przerwał Beńko.

— No, to do Czech, do Niemiec. Za świat! choćby do pogan na Pomorze — krzyczał Mściśław rzucając się — byłem ją miał!

— Hej! Hej! ozwał się Dryja głową kręcąc — co za dziw że król się w niej tak rozmiłował, kiedy oto ten jeszcze za nią szaleje. Urok na cię rzuciła, ziele ci dała pić.

— Kto ją wie! Czary nie czary! pić mi ziele dała! albo ja wiem? albo ja rozumiem! mówił Mściśław gorączkowo — jedno znam że mi się śni gdy śpię,

że we dnie mi się przed oczyma snuje, że głos jej w uszach słyszę, że chodzę jak skrecony.

Al wyście bo mojej Krysty nie znali!

— To mówiąc westchnął, zakrywając sobie oczy, a Beńko ramionami potrząsł i na Dryję popatrzał, jakby mówił.—Oszalał.

— Nie innego tylko to gusła są, odezwał się głośno.—Żeby nie wiem jaką była, człekby się w nią żaden tak jak ty nie wlepił. Pamiętam ja pierwszą żonę moją,—hej! co to była za krasa! Nikt jej nie zrównał! Kwiateczek był co się na niego człek dmuchnąć bał, aby nie zwiądlł zaraz... Miłowałem ci ją i jak żonę i jak dziecko, a jak mi przy pierwszym synu zmarła — choć mi na kilka dni jakby czarną nocą oczy zawlekło, tociem w trzy miesiące Tacianę wziął i tak pokochał jakby tamtej na świecie nie było...

Mścisław słuchając zżymał się ciągle.

— Co prawisz! przerwał—twoja pierwsza!! Ani ta ani żadna inna do Krysty się nie równa! Takiej jak ona drugiej nie było i nie ma jak świat szeroki. I oczy i głos i ruch i uśmiech—tylko by przy niej siedzieć, patrzeć na nią—albo umierać.

— Lubczyku mu dała i oszalał! szepnął Dryja. Czarownica baba!

— Zwijcie mnie szalonym, a przez miłosierdzie pomóżcie! wołał Mścisław,—nie, to się gdzie na gałęzi powieszę, albo z kamieniem u szyi pójdę do wody. Po co mi życie! Głowy dla mnie nastawiać nie potrzebujecie, podeprzyjcie zdaleka! osłońcie! Ludzi orężnych kilkunastu dosyć... Na Kleparzu, na Wąwole, na Stradomiu staniemy pod noc, gdzie ja mam gospodę pewną — ludzie też swoi, na zamku mi rękę dadzą... Pochwyciwszy ją, a wzięwszy między siebie, gdy się lasami ku Czechom rzucimy, żeby stu za nami puścił, ani wytropi, ani dogoni. Znajdą się tacy co mu fałszywą drogę skazą. Ja myślałem o wszystkim!

— A, no, a no—rzekł w końcu Dryja—jakby na pocieszenie biednego człowieka, gdy na pobratymstwo

zaklinasz, choćby karku nastawić przyszło, trudno od mawiać — myśl jeno wprzódty dobrze o sobie, bo czyja głowa najprędzej zapłaci, to twoja, jeżeli w ucieczce nłapią.

— Niech głowę moją bierz! krzyknął Mścislław—i ona mi już i życie nie miłe!!

To mówiąc pochylił się Mścislław ku nim. słowy serdecznemi usiłując ich nakłonić, aby mu pomocą byli, bo na czeladź się spuścić nie mógł. Beńko i Dryja milcząc słuchali, nie przeciwili mu się, mieli może nadzieję że rzecz sama spełznie na niczem. Wiadać mu było po nich, iż przez litość tylko przystawali na to, co po nich żądał. Mścislław, cały przejęty myślą odzyskania Krysty, gdy sądził że tych sobie pozyskał, począł innych ściągać z kupki pod dębem pozostałej. — Lecz tu już było nie wielu, kilkunastu tylko zmęczonych, opończami się osłoniwszy, na ziemi spało, dnia oczekując.

Udało się panu z Bużenina kilku najzaciętszych przeciw królowi, z tych co z pod Kijowa puciekali i przesladowani byli za zbiegowstwo, — nie już do stracenia nie mających—namówić z sobą. Tym w zamian dach swój zaofiarował, opiekę i pomoc wszelką. — Biedny człek w przekonaniu tem że mu Krysta jego sprzyjała, myślał tylko teraz o środkach, jakiemby jej oznajmił o sobie, aby w pierwszej chwili gdy się przed nią ukaże, z radości krzykiem ludzi nie ściągnęła. — Reszta mu się łatwą zdawała;—nie wątpił że, choć u króla pieszczona, na szyję mu się rzuci i zbieży z nim za kraj świata.

Dryja i Beńko, upewniwszy go że gdy wszystko będzie pogotowiu i oni z nim pójść nie odmówią, nad ranem koni dosiedli i do domów odjechali. — Inni też ręce mu dali na to, że go w ucieczce osłonią. Sam jeden pozostawszy, Mścislław się wreszcie znękanym na ziemi rozciągnął i usnął głęboko.

Dzień już był gorący i słońce wysoko, gdy się obudził. bo mu nad głowę kukulka śpiewała... Kon

jego sam jeden już się na łące wypasał, bo wszyscy towarzysze się rozjechali. Mściśław snił o pięknej Kryście, że ją królowi wydarłszy, gnał z nią w nad Łabiańskie lasy...

Zemsta, którą żył cały, rozbudziła go, — nie widział trudności, nie wierzył w przeszkody żadne, nie lękał się niebezpieczeństwa, dwojaka namiętność czyniła go ślepym i głuchym.

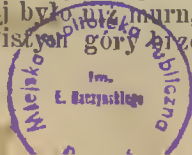
Potęga królewska, czujność straży, warowny zamek go nie nstraszał... W kilkanaście koni był pewien zwycięstwa i już mu się uśmiechało ono. Spojrzał na słońce i pobiegł, czasu nie tracąc po konia...

— Choćbym sam jeden się miał porwać — mówił w duchu, choćby mnie oni wszyscy porzucili i nie strzymali — pójdę sam! Z gardła mu ją wydrę! Nawinie mi się, tem gorzej, nie zleknę się go; a zabije mnie — niech krew niewinna padnie na jego głowę.

Tak marząc Mściśław konia pochwycił, dosiadł, i ściskając go a poganiając, jak szalony w puszcze i gąszcze się rzucił... Godziny jednej straconej żał mu było. — Krysta czekała na niego!

III.

Królewski gród na Wawelu, nie wiele się naówczas różnił od innych zamków po kraju rozsianych: mocny położeniem swem, wałami, ostrokoły, i palami, któremi był obwarowany. we środku wspaniałością się żadną nie odznaczał. Drewnianych dworców starzym obyczajem stawianych z przedsieniami w słupach rzeźbionych, więcej było niż murem, którego kawał tylko jeden, nad nrwistym góry brzegiem był wzniesio-



ny. Stajnie, szopy, dwory dla wojaków i drużyny wszystkie były z drzewa, a choć okraszone malowaniem, niskie, niepokazne stały porozrzucane, na dość wielkiej przestrzeni. Pomędzy niemi i letnich kleci, i ladajakich komor kryło się wiele.

Niedaleko od wrót kościołek nie wiele się też podnosił nad otaczające go wały; skromny był i ludu wiele nie mógł w sobie pomieścić. Pusto było około niego, natomiast w szopach, stajniach i dworach ludu się roilo mnóstwo—a wszystek ten lud, drużyna pańska, wojacy jezdni i piesi, czeladź, pacholtkowie, którzy się tu miescili, daleko świetniej niż same dworce wyglądali.

Dla obcych i swoich, dworu i gości pod dostatkiem było wszystkiego, czego zapagnęła dusza.

Butno też wyglądał dwór pański złożony z wszelkiego narodu. Było tam Polan i Mazurów i Rusinów i Ugrów i Pieczyngów i Jazygów i różnego plemienia mnogo. szczególnie młodzieży pięknej, dorodnej i silnej.

Niewiastami też roil się zamek, a i te rozmaicie wyglądały, jakby nie na jednej rodziły się ziemi i nie z jednej krwi pochodziły. Czarnobrewa i śniade, białe i złotowłose, kędzierzawe z czarnemi, niebieskiemi i siwemi oczyma, drobne i rozrosłe, z wesołemi śmiechy uwijały się wszędzie. Języków też przysłuchawszy się wiele rozróżnić było można, bo oprócz swojego, podobny do niego czeski (który tak wówczas niemal jak i polski brzmiał). ruski, węgierski, niemiecki nawet tu owdzie się odzywał.

Ruski przecie, około dworu starej królowej matki i młodej, co z sobą dużo ludzi przyprowadziła, najgęściej słyhać było. Król też sam często się, uawykłszy doń w Kijowie, nim odzywał, a Węgrów rad ich mową zaczepiał. Z Rusi król naściagał służby wszelakiej, a ta mu była najmilsza, bo na skinienie służyła ochoczo i zawsze z twarzą wesołą.

Lnbił Bolko ślepe posłuszeństwo, bo w zawojo-

wanych państwach goszcząc długo, przywykł do niego. Gy na Wawelu mieszkał, ten co i w Węgrzech się panem czuł i na Rusi jakby w domu; wszystko co żyło tchu jego słuchało, spoglądało trwożliwie, oprócz ulubieńców pana. Za to gdy go nie stało na grodzie, gawiedź się rozpuszczała dokazując okrutnie, i na królowę nie wiele zważając engli sobie popuszczała. Więc wrzawy i bitki powstawały ciągle, przy dostatku pokarmu i napoju, a z kobietami żarty, które czasem do późna w noc po zamku się rozlegały.

Gdzie się też i za grodem ludzie Bolesławowi pokazali samopas, strach biegł przed niemi, bo miary nie znali w niczem, a ulubieńcom wszystko uszło bezkarnie. Poskarżył się królowi skrzywdzony chłop, ubogi kmieć albo osadnik, ujął się za niego często i bez miłosierdzia ukarał — gdy władyka, ziemianin użalił na drużynę, wysmiał go i z niczem odprawił. Dwory też przed królewską drużyną zamykano, gdzie się kolwiek pokazała.

Władyków i ziemian możnych nie lubił król, jakby czuł, że i oni doń serca nie mieli. Odgrazał się na nich głośno, i dawał we znaki, gdy tylko mógł. Codzień ich mniej na dworze i na grodzie widać było. Miał który sprawę, wołał ją sam sobie rozsądzić mieczem, niż po sprawiedliwość iść do pana. Dla kogo dobrym był król to bez miary. Boleszczyce jego ze skarbcza brali co sami chcieli, ulubieńcy chodzili w złocie i złotem sypali. Król wcale o nie nie dbał. Lecz kto na taką łaskę chciał zasłużyć, musiał iść na stracone imie, nie oglądając na nic i nie opierając w niczem. Zabij! porwij! Czynić musieli co kazał. Zawahał mu się kto raz, lub odpowiedział słówkiem małym, już łaskę stracił. Bolesław nań ani spojrział więcej; precz ze dworu mógł iść kędy chciał, rad, że życie uniósł całe.

Przebaczenia u niego, posłuchu ani pomiarkowania nie było. Cóż dopiero, gdy kto mu się śmiał stawiać, chociażby równym mu królem był? Niezuiósł ani

przebaczył oporu, czując się tak silnym, jakby mu nikt zrównać i nie go złamać nie mogło.

Poprzednicy jego wszyscy, aż do pobożnego ojca, świątobliwie kościołowi służyli, on chciał kościół mieć na rozkazy. Duchownych też nie cenił, jak ojciec, dziad i pradziad, mieniąc ich urzędniki swoimi, których pod władzą chciał trzymać.

Dla tego i biskupów wolał mieć Polaków, niż Włochów i Francuzów, aby mu łatwiej posłusznymi byli i za panowania jego na gnieźnińskiej katedrze, na wrocławskiej i w Krakowie Polacy już siedzieli, choć z Rzymu na to krzywo patrzano.

Dnia tego na zamku czuć było jakieś przygotowania niezwyčajne. Król ze swemi Boleszczycami, drużyną i zwykłemi łowów i zabaw towarzyszami, wieczora poprzedzającego wrócił był do Krakowa, gdyż na ten dzień naznaczono składanie do skarbcu danin wszelkich i podatków od wszech stanów.

Odbywało się to zwykle z obrzędem uroczystym i okazałością, którą król lubił. Zjeżdżali powołani władcy, żupanowie, ziemianie, osadnicy, wszyscy co osobiscie dań do skarbu dawać byli obowiązani i przed tronem królewskim, u nóg jego ją składali. Bywało dawniej, że ci co się bogactwy pochłubić chcieli, nie tylko to co byli powinni, ale dwakroć i trzykroć więcej ofiarowali panu, aby sobie łaskę jego pozyskać. Kto nie mógł inaczej składać dań skórami, które powiązane półsorokami i sorokami, szły do skarbcu na podarki i odzież dworną.

Dnia tego na równinie u stóp Wawelu, wszystko już było do tej uroczystości przygotowanem, którą z powodu wojen i nieobecności królewskiej, przez lat kilka zaniedbywano.

Od rana widać było ciągnących zewsząd ku Krakowu i rozkładających się na łące u stóp góry jezdnych, pieszych i wozy.

Rozbite tu były namioty królewskie i siedzenie dla króla szkarłatnem suknem wysłane, na kilka sto-

pni wzniesione, nad którem na pozłocistych tykach wielką od słońca rozpięto oponę.

Lubił Bolesław okazałość pańską we wszystkim, a ile razy występował przed tłumy, zwykł się nią być otaczać, naśladując cesarzów niemieckich, z którymi się równym rad mienił.

Wkrótce po wschodzie słońca, na grodzie ruch znaczny się rozpoczął, a na łące między ludem szmer powstał, iż król nadjeżdża.

Z wrot zamkowych pokazał się też zaraz orszak jego wspaniały. Było się czemu przypatrzeć, bo i ci starce co czasy Bolesława Chrobrego pamiętali, wyznawali, że za jego szczęśliwych czasów, okazalszego nie widzieli dworu. Dobór ludzi, uroda młodzieży, strój ich i zbroja, prawdziwie były królewskie; ze wschodu i zachodu ściągnięte klejnoty, tkaniny, orężę pocztę przystrajały.

Przodem jechali ci co na rogach trąbiąc znać dawali pospolitemu ludowi, iż pan jedzie. aby mu z drogi ustępowano i cześć oddawano należną. Ci rogi mieli złożone i czapki bramowane złotem, opaskami. a było ich dwunastu, którzy z kolei po czterech w rogi dęli, coraz innemi głosy... Za nimi szedł poczet pieszych ludzi z toporami w rękach i tarczami, jak jeden odzianych z piórami u kołpaków, twarze ogorzałe, groźne i posępne. Tarcze, które na rękach nieśli rzemykami przytwierdzone, obciążnięte skórami, obite blachami, całe były złożone i kraszone oznakami różnemi. Ci byli z dalekiej północy ściągnięci i maleńkie ich oczy skośno z pod czoła patrzyły.

Po nich jechała czeladź pańska na koniach dziarskich, niebiesko odziana, pancerni wszyscy, konie na pół przykryte kropierzami. w rękach włócznie żelazem okute całe, błyszczące; na głowach też hełmy jasne z żelazami na nosy pospnszczanemi. Tu było Rusi najwięcej rumianej, zdrowej i swawolnie z po za hełmów poglądającej na ludzi... Niektórzy jadąc

włóczyniami straszili poblížszych i zamachiwali się na niewiasty, z kąd popłoch powstawał. Dalej następowała królewska drużyna i sam dwór pański, na podziw wspaniały, lecz każdy człek inaczej odziany wedle ochoty i możności, jeden nad drugiego piękniej i dostatniej.

Sadził się każdy, by towarzysza przesadził i wystąpił jak najokazalej.

Tu napatrzeć się było można wszelkiej zbroi, i starych, które przez Ruś z za morza przywożono, i nowych niemieckich, mieczów saskich, włóczni frankońskich, misternie u końców wyrzynanych, a w kutasach przystrojonych, i żelaznych hełmów różnego kształtu, ozdobionych piórami, kitami, skrzydły ptasimi i łańcuchami. Każdy swój oczyścił i wytarł, żeby się na słońcu błyszczał i świecił jak srebrny, u niektórych też żelazo blaszką ociągnięte złocistą, połyskiwało i gorzało, jakby się im łby paliły.

Wielu z nich mieli z ramion poprzewieszane skóry zwierząt suknem krasnem podszyte. U kilku na sztykach widać głowy było niedźwiedzie, rogi jelenie, dzioby ptasie.

Wszyscy się znać wysadzali na pasy i łańcuchy, bo te były i kamieniami gęsto natkane i malowane po grecku i na podziw pięknie rzeźbione. Na tych wisiały miecze i mieczyki z rękojeściami bogatemi i pochwy nabijanemi gwoźdźmi złotemi. Niektórzy u lewej nogi przypiętą mieli długą ostrogę złożoną, u innych wędzidła. nagłówki na koniach i czuby u nich złociste świeciły. Konie, które kropierzami pokrywano nie były, strojono w opony wzroczyste, szyte barwnie i wspaniale, tak, że im nie jedna niewiasta tej sukni pozazdrościła. Najwięcej tu było odzianych z ruska i grecka, wedle obyczaju przywiezionego z Kijowa. Ztamtąd też bogactw tych przyszło wiele.

Wśród tego orszaku jeden wioził chorągiew pańską szkarłatną z złotemi wisiadły i sznurami, na której godła różne i postacie szyte były...

Najprzedniejsi ulubieńcy w strojach najbogatszych, przed królem postępowali, który w małym po nich odstępie, jechał na swej klaczy siwej ulubionej, złotą kapą okrytej.

Swierzopa królewska, co z nim nie jedną odbyła wyprawę, wypasiona, z grzywą długą, szła zwolna, poważnie, jakby wiedziała, że pana dźwigała na sobie. Rząd cały na niej był od złota i szkarłatu, a nad głową czub się trząsał, kamieniami błyszczący.

Bolesław jechał, w bok się wzięwszy, z góry patrząc jakby nic widzieć nie chciał, nie kierując prawie koniem, gdyż u uzdy szli dwaj mali pachołkowie, oba miecze na ramionach niosąc ogromne.

Odziany był cały w bławat purpurowy, a na głowie czapkę miał, którą okalała szyta na niej korona królewska. Wzrok więcej niż pogardliwy i dumny, nie zdawał się nawet chcieć patrzeć na tłumy i o widzenie ich się nie troszczył. Nic się go nie zdawało obchodzić, myślał o czem innem, jadąc znudzony i obcy temu co miał przed sobą. U boku mały mieczyk tylko zwieszony był dla ozdoby. Niesiono za nim królewską tarczę złotą całą i jeden miecz jeszcze pasem obwinięty, a dalej następowali w szatach wytwornych futrami bramowanych dostojnicy dworu, urzędnicy przyboczni i panowie; z laskami w rękach, łańcuchami na szyjach, pasami na biodrach. Twarze ich, jak królewska surowe były i dumne.

Sędziwych starców prawie tu widać nie było, ani twarzy tych, na których radę widać rozumną i mezką powagę. Średnich lat ludzie, obliczów starzych, zdali się zastępować miejsca tych, którzy się stawić nie chcieli.

Na końcu biegła dworska gawiedź i służba pomniejsza, która za plecami starszyzny swawolić sobie pozwalała, popychała się, rozbiegała i skupiała... Ale i na niej widać było królewski dostatek, bo niektórzy jak panowie wyglądali i nie mniej od nich buty oka-

zywali, osobiwie względem bezbronnego tłumu, który brzegi drogi zalegał...

W zamku na górze, na wałach, za ogrodzeniami stały niewiasty rzędami, jedna koło drugiej, przypatrząc się pochodowi wspaniałego orszaku pańskiego, który ku namiotom zwolna, przy odgłosie trąb się posuwał. Niektóre w wiankach na głowach z włosami porozpuszczanemi, inne w białych namiotkach, w krasnych chustach, w bieliznie i kożuszkach bławatami okrytych, śmiały się, z góry sobie pokazując palcami młodzież, która ku nim zwabiona śmiechem, podnosiła głowy... Nie jeden kwiatek upadł tam z ręki i po wałach się potoczył, zawiązłszy w pół drogi.

Na dolinie pod Wawelem po za miejscem, które wbitemi żerdziami i sznurami oddzielone było, stały tłumy, bo co żyło w Krakowie na Stradomiu, Kleparzu, Piaskach, Bawole i we wsiach nawet okolicznych, na tę się uroczystość zgromadziło. W pierwszym rzędzie ciekawych, nawet duchownych rozpoznać było można, lecz ci osłaniali się, niechętnie naprzód wychodząc. Mnogo ziemian stało na koniach w bliskości, a ci, choć jadąc na dwór po pańsku okazać się pragnęli i strojni byli, gaśli w obec królewskiego dworu. Strój ich stare przypominał czasy, i oręż był nie dzisiejszy.

Twarze ich były jakby z innego świata, a wejścia, gdy się spotkały z drużyną królewską groźnie ku sobie strzelały. Bolesław nie spojrział nawet ku gromadom.

Ciągle poprzedzany grającemi na rogach, wjechał król na plac, wśród którego siedzenie dlań przygotowane było. Piesza służba, która u namiotów czekała, przybiegła konie od pana i starszyny odbierać; drużyna nie zsiadając z nich, dokoła się ustawiła w porządku. Starsi urzędnicy stali na przodzie i zabierali się wywoływać ziemie, powiaty i grody, które z kolei dań składać miały.

A że wszyscy ci ludzie nie pismienni byli i pa-

mięcią starczyć nie mogli. Skarbny królewski Ścibór, do boku swego wziął dnia tego nowicyusza, młodego kleryka, który na długim zwitku pargaminu spisane miał ziemie do wywoływania.

Król zasiadł miejsce swoje, a czy był znużony bezsennością, czy znudzony tym żywotem spokojnym domowym, do którego od młodości nie nawykął — ledwie usiadłszy podparł się na łokciu, nie patrząc już na to co się dziać miało, zadumał się czy zdrzemnął może. Siedział posągiem bez ruchu.

U stóp jego leżały rozesłane sukna, na których dań składano, tak, że na jednym futra i skóry, na drugim złoto i srebro kładziono.

Jechali naprzód bogatsi ziemianie, żupanowie z grodów znaczniejszych, potem władcy inne i bogaci kmiecie i rycerstwo. Za innych królów bywało zwyczajem, iż przy takich zjazdach, król nie tylko ugasać przybyłych, ale ich rozpytywał, rozmawiał i zabawiał się z niemi, żalów słuchał, rady dawał, często żartów dopuszczał i rad był, gdy śmiejące się widział twarze.

Bolko nie miał ochoty spojrzeć nawet na swych ziemian i rycerzy, z którymi od powrotu z Kijowa srodze się zdarł a powaśnił. I teraz choć mu pokłony bito, nie skinął nawet, ani dał poznać, że je przyjmował. Jeśli się ozwał słowem to do swoich młodych ulubieńców i orszaku.

W milczeniu więc składał każdy co przywiózł, a podkomorzowie pańscy zapraszali do namiotów, pod którymi na przybranych stołach zgotowane były mięsiwa, jadła różne. miód i piwo w beczkach i kadiach.

Kto chciał i jako chciał jadł i pił, lecz, jak król nie widział swych gości, tak oni stołu pańskiego znać nie chcieli. Znaczniejsza część przesunęła się tylko przed namiotami, i chleba w nich nie rozłamawszy, na swe miejsca powracała.

Cizba choć milczała, szmer od niej szedł głu-

chy — słyhać było chrzęst zbroi, koni rżenie, gwar stłumiony ludu i szelest opon, które lekki wiatr poruszał.

Około króla uroczyste panowało milczenie, dwór tylko pański, palcami sobie z po za tronu ukazując przybywających z daninami, urągał się im i wysmiewał bezwstydnie. Na niektórych też Bolko spoglądał z nkosą, gniewnie brwi czasem marszcząc, choć żadnemu nie odpowiedział na skłonienie, a od innych odwracał się widocznym wstrętem i wzgardą.

Z twarzy przybywających, nie tyle obawę co niechęć i gniew widać było. Szli wszyscy jak z obowiązku, niektórzy młodszym krewnym zastępować się nakazując, aby pokłonu nie bić i czoła nie uchylić. Dań jednak była obfita i wspaniała i na kupach gromadziło się srebro, złoto, pieniądze różne, kawały kruszcu porąbane.

Bolko prawie nie patrzył na to, nie wiele się zdając cenić co mu przynoszono. Więcej oczyma śledził tych co niesli, niż to co mu oddawano. Brzęk go czasem obudził z zamyślenia, w które znowu wpadał, mrużąc oczy i jakby do snu się zabierając.

Skarbnym głosem znużonym wywoływał ziemie i imiona, przez otwarte wrota wchodzili powołani, za niemi niesiono dań, i pokłon złożywszy, ustępowali ku namiotom...

Dziwny szmer przebiegł w tłumie i dworze, zwróciły się oczy wszystkich ku wnijsćcin, i ujrzano stojącego na koniu, w odzieży oszarpanej, ubranego nędznie, z potarganym na głowie włosem, Mścislawa z Bużenina. Oczekiwać się zdawał na kolej swą, ale mu tak z oczów patrzyło, jakby tu z czem innem przybył, i króla chciał w obec mnogich świadków o krzywdę swą pozywać.

Bolesław siedzący z głową zwieszoną nie widział go jeszcze; drudzy niespokojni poruszali się przez tłum ku niemu przedzierając, aby mu wystąpienie zu-

chwale odradzić. Mściśław stał, nie chcąc się dać z miejsca swojego poruszyć.

Nadbiegł doń Dryja, który zdala go zobaczył i za cugle konie mu pochwycił.

— Czego stoisz! co ty tu robisz! — zapytał.

— Albo mi to stać i patrzeć nie wolno? — z uśmiechem gniewnym odparł Mściśław.

— Cóżes to o wszystkim zabył i chcesz się z nim zadrzeć, aby ci prędzej głowę zdjęto? — rzekł Dryja.

— Jako żywo! — odpowiedział Mściśław — nie nie chcę więcej, tylko, aby się mnie odartemu napatrzył do syta, aby mnie miał przed oczyma, aby przeczytał z moich oczu, że mu zemstę poprzysiągłem. Wiem, że mu tym widokiem dzień struję... Chcę mu struć choć godzinę...

I nie dał się odwieść Mściśław, owszem przybliżył do szranków tak, aby król widzieć go musiał.

Stało się jak życzył, bo głowę podniósłszy Bolesław, zobaczył męża Krysty, i wlepił weń oczy gniewne. Oba wyzywająco patrzali na siebie, król wzrok odwrócił, lecz niepokoiło go to zjawisko, i coraz w tę stronę spoglądał. Mściśław odarty stał nieruchomie.

Wszyscy na niego i na króla patrzali na przemiany, drżąc, jak się skończy ta sprawa. Lecz wkrótce Bolesław, jakby chciał okazać, iż go Mściśław nie obchodzi wcale, na co innego wejrzenie odwrócił. Począł się wpatrywać w kleryka, którego Skarbný wziął z sobą do wywoływania i liczby.

Był to biedny wyrostek, żółty, chudy, wynędzniały, z twarzą długą, oczyma niespokojnemi, rękami długimi, które z pod szaty nazbyt obcisłej wystawały — niepozorny i wylekły. Pełnił swoją powinność poddając Skarbnemu nazwiska ziem i powiatów, ale oczy jego, co nigdy tyle złota nie widziały, chciwie biegały po kupach tych bogactw, coraz się powiększających. Widok skarbów, które u stóp jego

leżały zrzucone jak drzewo, mięszął go widocznie. Śmiał się do nich, poruszał, ciekawie wpatrując, zapominał się i ręce ku nim wyciągał, to za głowę się chwycił z podziwu i szalu; słowem, widok bogactw królewskich przytomność mu odbierał.

Skarbny widząc go tak rozgorączkowanym, parę razy za suknię pociągnął, aby się opamiętał, że przed obliczem króla stał. Nie to jednak nie pomagało.

Bolesława śmieszył ten kleryk biedny, jakby dla zabawienia go był tu ściągnięty. Oczów już z niego nie spuszczał, usta mu się do śmiechu krzywiły, a ramiona drgały, jakby go tłumił w sobie. Nagle z siedzenia zagrzemiał straszny głos pański:

— Klechol co ci jest?

Wszyscy się ruszyli, król wskazał ręką na kleryka. Strworzył się człek biedny, ale nie wierzył, aby o niego chodziło. Skarbny za ramię go pochwyciwszy, dał mu znak, iż król go pyta.

Naówczas wyrostek ów z trwogi prawie tracąc przytomność, padł na kolana drżący i rzekł składając ręce, zwrócony ku panu:

— Paniel nie jestem winien!

Rozśmiał się król z trwogi i zawołał powtórnie:

— Co ci jest, iż tak niespokojnym się stałeś?

— Miłościwy panie — począł zawahawszy się kleryk, który i teraz oczów nie spuszczał z kup złota. — Przebacz mi miłościwy panie, widok tych skarbów i twojego majestatu, omamił mnie, iż przytomność utraciłem... Porównywałem je z moją nędzą i ubóstwem, myślałem jakby z tem złotem szczęśliwym być można.

Bolesław rozśmiał się szydersko, sparty na ręku patrzył ciągle na wylękłego, klęczącego przed sobą klechę, wszyscy milczeli, czekając jak się to zakończy.

— Cóż? Klecho? chciałbyś mieć dużo tego złota! — zapytał król.

Uśmiechem jakimś rajskiego wesela, rozjaśniła

się twarz kleryka. Odpowiadać nie śmiał, oczy tylko chciwie, żarzące się pragnieniem wlepił w stos kruszczu nagromadzony u nóg pana.

— No! chcesz złota? mów! — zagrzemiał głos królewski.

— Cóż po chęci! królu wielki! — odparł kleryk głosem drżącym — co po chęci takiej, gdy osiąść nie mogę!

Rozśmiał się Bolesław.

— Bierz tego złota ile go udźwigniesz — rzekł szydersko — bierz, co uniesiesz to twoje.

Dwór i Boleszczyce stojący po za królem śmiechem wybuchli, potem patrzali wszyscy milczący i zdumieni — kleryk osłupiały niedowierzał.

— Bierz! a żywo! — zawołał król nakazująco — bierz!

Słyszając ponowiony rozkaz królewski, kleryk się rzucił jak oszalały, odgarnął naprzód poły wąskiej sukni, lecz wnet zważył, że w nie zabraćby mógł mało... Szybko więc na nic się już nie oglądając, suknię zdjął całą, pod którą mało-co podartej i brudnej widać było bielizny — rozpostarł ją na ziemi. ukląkł i garnąc począł do niej, co leżało pod ręką.

Chwytał i cisnął chciwie co mu się nastęrczało, gromadził gorączkowo, spoglądając tylko kiedy niekiedy ukradkiem na króla, który z pośpiechu i niezgrabności się wysmiewał.

Tłum stał w milczeniu, ziemianie mający isć z kolei oczekiwali, król okazując jawnie jak mało dbał o złoto, z pogardą patrzył, jak unie kleryk zabierał.

Na ostatek suknia uboga była już pełną wszelkiego kruszczu i pieniążków, kleryk co żywiej pęczał ją wiązać, schylił się i usiłował na plecy ująć to brzemie. Błady, zadyszany oblany potem, słysząc dokoła wybuchające śmiechy szyderskie, obawiał się może, aby król nie odwołał darowizny i spieszył z pochwytem zdobywszy. Z wielkim wysiłkiem udało mu się

pochwyciwszy, ogromne brzemień owo zarzucić na plecy, ale natychmiast ugiął się wpół pod niezmierną jego wagą i zachwiał. Kroku dalej postąpić nie mogąc, siłił się daremnie. Widać było jak się śłaniał, ugiął, naprężył. — krok postąpił naprzód, twarz mu straszliwie pobladła, potem pokraśniała nagle, krew buchnęła ustami — i padł twarzą na ziemię złamany brzemieniem.

Milczenie straszne panowało czas jakiś. Myślano że się podniesie, drgnięcie tylko widać było, ręce mu się ścisnęły i — ciało poruszać przestało. Król wzgardliwie patrzył, nie mówiąc nic.

Dwóch z czeladzi pobiegło na dany znak ku leżącemu, jeden z nich ujął go za głowę, drugi podniósł kłeryka... Oczy mu stały słupem, martwy był i wybladły, twarz miał trupią. Nie żył.

— Miłościwy królu — odezwał się Skarbny — człek ten nie żyje — co uczynić z nim?

— Ukarany za chciwość! — rozśmiał się Bolko z tronu. Bogdaj jak on wszyscy chciwcy przepadli! Cisnąć trupa do Wisły, razem z tem złotem co go zabiło! Pogrzebn nie warte ciało — a co król raz dał tego nie odbiera.

Precz ze ścierwem *).

Doniosły, namiętny głos króla daleko słychać było; w milczeniu, ze zgrozą słuchano wyroku.

Czterech pachołków podeszło natychmiast spełnić rozkaz, zabierają zwłoki i węzeł co je przydusił. Wśród milczenia tego z tłumu podniósł się głos jakiś:

— Królu, niesprawiedliwe są sądy twoje, — nie chciwość go zabiła, ale miłość; albowiem rodziców ma w nędzy, dwóch braci czeka okupu w niewoli, biedak nie dla siebie skarbów tych pragnął, ale dla tych, których miłował więcej niż siebie...

Czy król posłyszał i zrozumiał te wyrazy? wie-

*) Gallus.

dzieć było trudno, gdyż w rogi zatrałbiono i znowu da-
lej powiaty wywoływać zaczęto, a Bolko nawet nie
odwrócił głowy...

Trup, któremu do szyi przywiązano złoto, po-
szedł z niem na dno Wisły.

Wypadek ten, który na chwilę przerwał uroczy-
stość, uczynił na tłumach wrażenie wielkie. Wspania-
łość króla, nieopatrzność chciwość biednego człowieka,
sprawiedliwość bożą, nielitościwy wyrok pana, ów
głos sądzący sędziego — wszyscy brali do serca, zdu-
miewali się i trwożyli. Twarze oblokła powaga, smu-
tek, bojaźń, tylko król obojętności swej nie zmienił.
Spojrzał ku miejscu gdzie stał Mścisław i znalazł go
tam nieruchomego z oczyma w siebie wlepionemi.

W chwilę potem znikł z tłumu Mścisław...

Drogą do zamku wiodącą, która teraz pustą by-
ła, bo nawet strażę od bram poszły się przypatrywać
złotemu widowisku, — szedł wkrótce potem mężczyzna
prostą odziany sukmaną, w czapce chłopskiej, z kijem
w rękę. Na czoło miał nasunięte włosy ciemne i czap-
kę, a kołnierz odłożony tak, iż mu twarzy mało co wi-
dać było. Czarny zarost dobywał się tylko i dwoje
oczu połyskujących. Szedł, oglądając się bacznie, kro-
kiem wolnym jakby się czegoś lękał, choć do króla
małemu ludowi i sukmanom zawsze przystęp był wol-
ny, a od kijowskiej wyprawy jeszcze swobodniejszy
niż kiedy.

Ci co widzieli na łące Mścislawa na koniu, przy-
patrującego się królowi uparcie, mierzącego go zu-
chwałami oczyma, po sukni i postawie w tym wieśnia-
ku domyslećby się mogli męża Krysty. On to był
w istocie. Po wyniesieniu zwłok kleryka wysunął się,
konia rzucił gdzieś i pieszo starał się wkraść do
zamku. Szedł ostrożnie, niekiedy głowę podnosząc,
przyglądając się bacznie niewiastom, które dotąd po
nad palami i ostrokołami stały gromadnie na górze.

Tak doszedł do wrót samych, a że mu nikt nie
stanął do zamku na przeszkodzie, wkroczył przez bra-

mę, wciąż rozpatrując i zazierając we wszystkie kąty. Gdy się znalazł na płaszczyźnie, kędy dworce pańskie stały, a gdzie teraz pusto było, bo ledwo część psiarzy, sokolników i stajennych parobków na zamku została, zdawał się wahać dokąd dalej ma kroczyć. Obejrzał się raz jeszcze i szedł ku dalszym budowlom, które od królewskiego i królowych dworca łatwo rozpoznać było. Wyglądał przebrany w tę siermięgę, z obowiązem niedzmem, tak ubogo i odarto, że go o żebranie posadzić było można, bo od pierwszych drzwi porzuwszy, kroczył z kolei od sieni do sieni zaglądając wszędzie ciekawie, stojąc u drzwi i okien nasłuchując bacznie.

Nikogo tu prawie nie było, okna poodsuwane stały otworem, drzwi na oścież były odmykane. Dwoje czy troje sieni pominąwszy, od mieszkań których ludność wybiegła była na wały, przypatrywać się królewskiej uroczystości, zatrzymał się nagle i drgnął Mścisław. Tu przez okno widać było wywieszoną odzież niewieścią, którą chciwemi zmierzyszy oczyma, dokoła się obejrzał i wśliznąwszy w ciemne przedsienie, zniknął.

Nikt nań nie zważał, nikt nie widział, jak się gdzieś ukrył w kącie.

W chwilę potem niewiasty czy znużone widokiem jednostajnym, czy dla słońca i wiatru, który się zrywał, poczęły z wałów schodzić i po jednej, po dwie do dworców powracać.

Ukazała się wśród nich i pańska Krysta, cała białą zasłoną obwinięta, biegnąc właśnie ku tej sieni, w której się mąż jej ukrywał. Była sama jedna, a choć ją od stóp do głowy okrywały cienkie rąbki, poznać mógł ją łatwo każdy po kibici zręcznej i ruchach pieszczonych... Żadna inna, ani tak biega, ni tak stanąć, ni się tak wdzięcznie przegiąć i główki pochylić nie umiała.

Z wałów, szepcząc coś między sobą, odwróciły się patrząc na nią wszystkie niewiasty i ścigały ciągle

oczyma. I śmiały się, ruszały ramionami, palcami ją sobie nkazywały, a zazdrość i gniewy wybuchały w ich głosach.

Zaledwie Krysta wbiegła do dworca, po chwili krzyk się dał słyszeć, krótki, urwany, ale pełen trwogi i przerażenia.

Za tem nagle ucichło. Nikt tego rozpaczliwego nie pochwycił głosu. Izba Krysty, w której teraz nikogo nie było, bo się służba jej rozbiegła, tak złocisto i bogato przybrana świeciła, jak wszystko co króla otaczało i co mu służyło.

Krysta blada, z rękami załamanemi, z głową spuszczoną, stała w pośrodku. Opadła z niej na ziemię zasłona biała, pozostała w jednej sukience opiętej, jakby do ciała przylegającej, która śliczną jej kibić obejmowała i do stóp spadała fałdami gęstemi.

Przed nią w progu stał Mściśław w brudnej sukmanie, czapkę trzymając w ręku i oczyma gorącemi, załzawionemi pożerał żonę. Patrzył na nią, drżał, mówić nie mógł, płakał jak nie mężczyzna, jak matka co dziecię straciwszy, nagle je odzyskuje. Kryście, widok męża, od którego król ją porwał, odjął przytomność na chwilę, lękała się, aby ją nie zabił. A Mściśław stał oczarowany nią oniemiały, bezsilny, tak że choć tu życia swojego nie był pewnym, gdyby go pochwyciono, choć rozmówić się z żoną pilno mu było, zapomniał o wszystkim... patrzył tylko... Spoglądali tak na siebie, czytając w swych twarzach, ona szukała w nim co przyniósł z sobą, zemstę czy przebaczenie, on patrzył czy w niej ta miłość znajdzie jeszcze, dla której życie ważył. Niewiasta prędzej zrozumiała go i ochłoneła z przeststrachu. Swawolna była jak dziecię, ale bystra i pojętna, przez czarne jej źrenice błysk jakiś przeleciał.

— Krysto moja! Krysto!—zawołał mąż ręce ku niej wyciągając.—Nie! tyś o mnie zapomnieć nie mogła, ty taki tęsknisz za mną... ty do mnie powrócisz. Mów Krysto moja...

Spuściła oczy niewiasta i usta się jej zacięły; z pod brwi rzuciła oczyma wylękłemi, jakby go chciała badać jeszcze i żywo rzekła.

— A! tak! tak! Zrobię co chcesz, pójdę, ale teraz... gdyby cię tu kto zastał, gdyby sługi uadeszły! A! nieszczęścieby się stało! Król tak zazdrosny! ludzie tacy źli... Schowaj się, ukryj gdzie do nocy...

— A nocą uciekniemy!—krzyknął Mścisław ręce ku niej wyciągając.

— A! tak! uciekniemy! — prędko powtórzyła Krysta.

— Gdzież się nam skryć! mów, pokaż!—wołał Mścisław.

— Gdzie? ale nie ja wiem! — niespokojnie się poruszając odpowiedziała kobieta, głowę zwracając to ku oknu, to na drzwi komory.

— Skryć się! trzeba się skryć gdziekolwiek! Gdy nadejdą dziewczki moje, domyslą się, pobiegną, wydadzą. Schowaj się co prędzej, gdzie chcesz, ale prędzej! a! prędzej!

To mówiąc Krysta zaczęła obiegać po izbie, parę razy znów oknem wyjrzała, chwyciła się za serce, za głowę... nie wiedziała co począć z sobą. Gdyby Mścisław nie miłował jej tak bardzo, możeby był mógł poznać, iż więcej było trwogi w niej i gniewu, niepokoju o siebie, niż obawy o niego.

On sobie tłumaczył bojaźń tę jako oznakę miłości żony. Uradowany, zapomniawszy o wszystkim, powtarzał tylko pytanie, gdzie i jak ukryć się może?

Krysta miała się czas namyśleć, stanęła i palce na zbłądłych położyła ustach.

— Idź na wyżki! w sieniach stoi drabina, nikt tam prawie nie chodzi, nie znajdując cię tam.

Mścisław chciał natychmiast usłuchać, lecz porzucić ją żal mu się zrobiło. Stał krok i zawałał się.

— Mów jeszcze—zawołał—powiedz kiedy mam przyjść do ciebie... Wymknę się z zamku i powrócę...

Krysta nogą uderzyła w ziemię z' niecierpliwości.

— Uciekaj — zawołała — ja nie wiem nic, ja ze strachu szaleję! jam biedna i nieszczęśliwa.

Zakryła oczy i płakać zaczęła.

Potem nagle widząc, że to nie skutkuje, jakby oczy jej oschły, odsłoniła je i zaczęła mówić pospiesznie, na drzwi ręką wskazując.

— Powracaj, ja nie wiem, o mroku. Stanę w progu, odzieję się w chusty proste, gdy będzie można, ujdziemy.

Chciał Mścisław pytać jeszcze, gdy Krysta pobiegła do okna, wychyliła się niem, sparła i wyjrzawszy daleko, wołać poczęła żywo.

— Uchodźże, a to ci życie niemiłe! Uciekaj, z wałów wracają dziewczki moje! a! uchodź co prędzej, póki czas!

— Więc o mroku! dziś! — zawołał Mścisław.

— A tak! tak! dziś! o mroku! ale idź! idź! idź!

I rękami białemi na drzwi ukazując, miotając nagliła, aby wychodził co prędzej.

Mścisław ociągał się patrząc jej w oczy, wyszedł nareszcie. Ujrzawszy drzwi zamykające się za nim, Krysta pędem wpadła do sąsiedniej komory i drzwi ogromną zasuwą zarygłowała za sobą.

Mścisław jak pijany z izby się wytoczył, zachwiał, o ścianę sparł, musiał stać tak dobrą chwilę, dopóki nie oprzytomniał i nie przyszedł do siebie. bo drogi zapomniał, drzwi nie widział i nierychło ostygłszy, czapkę na oczy nacisnął, kołnierz podniósł, zwoła na się wytaczając na podwórze.

Co się w komorze działo?

Tam słychać było oddech ciężki; potem chód szybki, jęczenie, płacz... i wszystko zamilkło.

Odsunęła się zasuwa ostrożnie, powoli, przez szparę wyjrzała Krysta czarnemi oczyma.

Nikogo w izbie nie było, odetchnęła wsuwając się do niej ostrożnie, na palcach.

Podeszła cicho ku drzwiom od sieni, uchyliła je bacznie, rzuciła wejrzenie w ciemną głąb, ku drabinie, nie się nie poruszało nigdzie, nie było nikogo.

Odetchnęła nieco z przerażenia. Zdawała widać było kroczącego wolno ku wrotom Mściława, więcej nikogo, mógł ujść bezpieczny jak przyszedł. Lżej się Kryście zrobiło. Na bladą jej twarz wróciło trochę rumieńca.

Lecz stała w progu niespokojna jeszcze, zadumana, z palcem na ustach. Oczy jej biegały zdając się ścian pytać i stropu: co pocniemy!

Pobiegła wewnątrz, zarzuciła białą płachtę na siebie, wyszła szybko z dworca ku wałom i rozmyśliła się inaczej. Wróciła niespokojna do izby, zrzuciła zasłone, stanęła ręce łamiąc, kręcąc się, przysiadając, podrażniona, prawie gniewna.

Brwi się jej ściągnęły, usta ścięły, piękna niewiasta stała się straszna, oczy jej ciskały pioruny. Nogą biła o podłogę, ręce wyciągała ku drzwiom, kręciła się jakby w skocznem wirując kole, potem stawała skamieniona, a wzrok topiła w ziemię.

Z tych ruchów głowy, rąk i oczu, czytać było można wyrazy, które w duchu mówiła do siebie.

— A! tak źle, tak nie można! potrzeba inaczej. Co począć! I tak straszno, i tak nie dobrze! i milczeć nie mogę i mówić się boję. A! jakżem ja nieszczęśliwa!

Gniew w niej wzbierał, gniewała się na niego, na siebie, na króla, na swą dolę, najwięcej pono na upartego co ją tak kochał, że gotów był swe życie i jej życie poświęcić.

Pobiegła ku drzwiom, u drzwi stała srebrna konna z wodą i kubek wisiał przy niej. Napila się wody, aby orzeźwić, paliły się usta, serce biło, w oczach to czarne płatki.

— A! wodo moja! wodo! — wołała — wodo powiedz mi co czynić mam nieszczęśliwa!! Czy iść się utopić w tobie, czy za tym iść, któremu przysięgała,

czy za tamtym co mi jak słońko świeci! jak słońko pali! To król, to pan, a ja jego królowa, ja tu pani, nie ta stara co w kącie płacze!! I wszystko porzucić, a iść gdzie smutek, gdzie żałoba. Dogonią, krew się poleje! krew! A! ja widoku jej znieść nie mogę! Mnie zabić mogą. Jego przezemnie! krew na głowę mi spadnie! krew!

Pomysłała nieco.

— Powiem wszystko, powiem lepiej? Cóż mu się stanie? Ja mu życie wyproszę, oczy mu wyproszę... posiedzi w ciemnicy. Pocałuję to wypuścić go każe... Uciekać? a nie, nie. Nie chcę! nie mogę!

Rozmyślała tak po izbie biegając, gdy za drzwiami ktos chrząknął, nastawiła ucha i pobiadła, stała milcząca, potem na palcach biegła ku komorze, kaszlnął ktos raz drugi.

Na drzwi komory patrzyła Krysta, jakby sobie dając do wyboru uciekać czy czekać, zostać czy uchościć, palec przycisnęła do nst, jakby z niego wyssać chciała, jak sobie radzić?

Już wchodziła po cichu do komory, stanęła w progu, zawróciła się niepewna.

Wtem i drzwi się nchyliły od sieni, w szparze ich widać było Borzywoja Boleszezycy, który śmiał się i mrugał ku pięknej niewieście. Krysta się zarumieniła. Wszedł. Obejrzał się dokoła, ona do okna pobiegła i wychyliła niem rozglądając po podwórzu, a podniósłszy się pogroziła zuchwałemu.

Niby mówiła, jak śmiał przychodzić tak poufale? ale widać było, że się wcale nie gniewała. Borzywój dnia tego nie pojechał z braćmi w orszaku, uczynił się chorym, może umyślnie, dlatego, aby chwilę upatrzysz bezpieczną, zejść Krystę samą jedną.

I on i Zbilut i wielu innych się w niej zdala rozmiłowywało. A ona? wszystkim hołdom rada była, oczyną wabiła, ustami łajała, nie odstręczając żadnego. Była tak zalotną, że się i gołębiom na strzesze wdzięczyć była gotowa, tak ją nieszczęśliwą stworzył

Bóg, na własne i ludzi utrapienie. Nie czuła się winną, zdawało się jej, że nie mogło być inaczej. Była tak piękną, juści wszyscy się w niej kochać musieli a jej, ot tak, biedaków żal było.

— E! ty, ty! — szepnęła niby gniewnie — po co bo ty tu? po co!

— Złoto moje, królowo moja! aby ciebie zobaczyć...

Chciał się Borzywój zbliżyć trochę, furknęła.

— Stój zdaleka, a nie to zawołam na dziewczęta...

— To co? powiem, że pańskiego dobra pilnuję! — odezwał się Borzywój wesoło — a dziewczki żadnej też niema, bo wszystkie na wałach.

Zarumieniła się Krysta i parsknęła.

— A no! stój zdala, bo oknem zakrzyczę!

Lecz mówiąc tak groźnie, rozśmiała się dziwnie, głos jej dźwięczał pychą, dumą, zalotnością i niepokojem, oczy to w niego topiła, to gniewnie odwracała...

Borzywój ciągle starał się przybliżyć.

— Dajże ty mi pokój, ty jakiś! — wołała nań przestawszy się śmiać. — Doprawdy wydam cię przed panem, zobaczysz co będzie!

Rączką na gardło pokazała.

— Nie wydasz i nie powiesz, boś ty dobra i litościwa — rzekł Borzywój — zresztą niema co i gadać przed panem. Albo to on nie wie, że się wszyscy do jego Krysty palą jak pochodnie, a Krysta strzela oczyma i śmieje się ze wszystkich.

Krysta się nieco obraziła, dumną minkę zrobiła.

— Albo co? — podchwyciła — strzelam oczyma? Na to je mam, abym niemi strzelała... no, i śmieję się!! bo wszyscy sobie coś myślicie, a to nieprawda! nieprawda! Patrzcie go! jakiś!

Tej wielkiej grozy Borzywój się nie uląkł wcale.

— No. jeśli na to masz oczy, abys niemi strzelała, to i usta na to są, abys całowała. Dajże mi choć raz gęby!

Posunął się zuchwale, Krysta srogą, groźną, straszliwą twarz nastroiła, tupiąc nogą.

— Stój u progu lub źle będzie!

Westchnął Borzywój. ale mu z oczów patrzyło.

— Przyjdzie chwila, że ty do mnie zagadasz inaczej.

Krysta główką potrzęsając, zamysliła się, nie mogła jeszcze swojej biedy zapomnieć.

— Ot, sińchajno — rzekła podnosząc nań oczy — wdziej snknie i zaraz odemnie idź do pana.

— Do pana? król siedzi na tronie i króluje, to nie pora!

— Co mi tam!

— Alboś się tak za nim zatęsknił! — spytał żartobliwie Borzywój.

— Pewnie! czyż niema za kim! — odparła Krysta dumną.

— Z czemże mam iść do niego?

Na to pytanie, odpowiedź była trudną, Krysta na palcu zawijała i rozwijała chustynkę.

— Powiesz mn — rzekła — tylko tyle, że Krysta chce, aby do niej co najprędzej powracał, bo, bo jej pilno, bo, ma wielkie słowo na ustach, straszne słowo, a słowa tego przez nikogo mu posłać nie może, tylko mn je sama musi powiedzieć do ucha.

Mięszała się i jąkała mówiąc, a Borzywój głową potrzęsał, żartobliwie się uśmiechając ze straszego słowa, jak gdyby w nie wierzyć nie chciał.

— Gdybyście mnie do ucha dali to straszne słowo, wiernie bym mu je zaniósł i nie zgubił po drodze.

— O nie! nie! To słowo ja sama mu powiedzieć muszę.

— Abyś się mnie pozbyła, bo może czekasz na innego! — szepnął Borzywój.

Krysta się obrzyła naprawdę.

— Brzydki człowiecze! — rzekła — kiedy się kłnę na matusię moją, że w tem słowie śmierć lub życie być może.

— O ho!—przerwał Borzywój.

— A tak! — potwierdziła Krysta — śmierć lub życie!

— Czyje?—spytał dworak.

— I czyjes i moje! — odparła Krysta brwi marszcząc.

Borzywój u drzwi stał nie ruszając się jeszcze, ciężko odejść mu było.

— No, to pójdę — rzekł — ale mi choć co dajcie na drogę, jak mam iść za waszą sprawą bez gościńca? Nie pójdę!

Krysta się rozśmiała zimnym śmiechem zalotnicy, która rozumieć niby nie chce tego, o czem wie doskonale, i główką pokręciła.

— Jeszcze czego!!

Ale stała w miejscu i choć niby pierzchnąć się zabierała, nie uciekała. Dopiero gdy Borzywój przyskoczył chcąc ją pocałować, popchnęła go silnie od siebie pędem wpadłszy do komory, nim ją zarygłowała za sobą, główkę mu jeszcze pokazując, krzyknęła.

— Idźże mi zaraz... wszakżeś zapłacony! idź!

Borzywój odetchnął ciężko, popatrzał groźnie, zawrócił się niechętnie i wyszedł nareszcie.

Zamkniętej w komorze niesposób było usiedzieć długo, odsunęła zasuwę, wysadziła głowę, obejrzała się i wyszła. Sama się sobie uśmiechała, aby jej było bardzo smutno. Siadła na ławie, sparała się na rękę, dumiała potrząsając głową.

— Co mi tam wszyscy oni! — mówiła sobie. — Król mnie porzucić nie może, o nie! Ile razy mnie zobaczy, zasmieja mu się oczy, choćby z gniewu krwią zapłynęły. Królowa postarzała i wciąż płacze. Łza mi ich nie przytrzymać, odpędzić chyba, wszyscy oni łez nie lubią. Im trzeba ust co się śmieją, choćby dusza płakała. o! ja to wiem co im trzeba!! Ja wszystko wiem, wszystko... choć nie wiem jak? kto mi to mówi?

Ruszyła ramionami.

— Co tam! dosyć że wiem. Mały palec mi powiada.

I śmiała się do siebie sama, dumna tą niewieścią przenikliwością.

W tem dziewcząt dwoje wpadło śpiewając do sieni, śpiew ich ustał na progu i wsunęły się do izby sznurując usta.

Były to pani dziewczki służebne. Spojrzały na nią. Ona na nie. Złękły się może brwi zinarszczonej, ust groźnie wydętych i cicho przesunęły się do komory.

Tam znów słychać było chichotanie i szepty. Namysliła się Krysta, popatrzawszy na suknię swoją.

— Ciarka! — zawołała.

Starsza z dziewcząt stawiała się z uśmiechem przed panią.

— Mów, cobym ja włożyła, abym piękną była?

— A! — ręką usta zatulając rzekło dziewczę — a! choćbyście i gźła nie mieli, toby wam było chyba piękniej jeszcze.

I z za dłoni, którą się zasłaniała, śmiała się figlarnie poufała dziewczyna.

— Mów jaką ja mam wdziać? — poczęła Krysta — czy niebieską suknię, czy krasną, czy złotą? Mój pan przyjdzie do mnie.. Popraw mi włosy, zasłona mi je popsuka...

Ciarka się zbliżyła i pani a sługa poufale z sobą gwarzyć i śmiać się zaczęły. Niesiono suknię jedną i drugą i trzecią. aż Krysta rzucając, przebierając, na szkarłat się namysliła. czarnobrewie było w nim najkрасniej, wyglądała jak królowa.

— Będę jak królowa! — szepnęła do Ciarki.

— Boś ty królowa! — przypochlebiając się mówiło dziewczę.

We dwie aż przyszły na nią wdziewać i opinać na niej suknię obcisłą, gdy w podwórzu wrzawa wielka powstała, tenteut koni, rogów granie.

Król powracał. Krysta biegła do okna, wychyliła się ku niemu i zdążyła zobaczyć, ręką znak mu dawała.

— Bywaj, do mnie!

Dostrzegł król czy nie, lecz nagle stanął wśród podwórza, z konia zsiadał. Siwą klacz jego wiedli do stajni uroczyście, i król naprzód poszedł za nią.

Dwór rozpełzł się po podwórzu. kilku tylko na zawołanie przy panu zostało, a i ci zobaczywszy, że ze stajni do Krysty idzie, powoli, ociągając się, zostali w podwórzu i przedsieniach.

Król wszedł sam, zasepiony, zmęczony, taki, którego długo trzeba było nosić jak ptaka łowami podrażnionego, aż oczy przymknął i usnął na ręku.

Krysta strojna, z włosami na ramiona rozpuszczonemi, siedziała z chustynką w ręku, jakby się jej na łzy zbierało.

Spojrzał Bolesław na nią.

— A co ci to, czarnobrewo, co się jak księżyc mienisz? Trzpiotałaś się jak wróbel rano, juści pod wieczór łzy przyszły?

Krysta jakby nie słyszała. nie spojrzawszy nań siedziała nadasana, chmurna, milcząca, głowy nawet nie zwróciła ku niemu, głos usłyszawszy. Król zbliżył się i uderzył ją ręką zwolna po białych ramionach aż zadrgnęła.

— Co tobie? mów — rzekł rubaszenie, ty wiesz Krysto, że ja ni łoż, ni zagadek nie lubię.

Wtem nagle oczy odsłoniwszy, ręce rozpostarłszy, Krysta powstała i do nóg mu upadła.

— Panie miłościwy, panie mój, jeśli mnie nie poratujesz, jestem zgubioną.

Król się zmarszczył i rozgniewał, nogą tępiał aż ostroga brzękła złota.

Wstała z ziemi Krysta, uwiesiła się królowi na szyi i szeptać poczęła.

— Królu panie! daj mi słowo, że mu nie weźmiesz życia!

— Komu?—krzyknął Bolesław.

— Daj mi słowo!

Bolesław zlekka ją od siebie odtrącił.

— Mów komu! mów co zawinił!

— Daj słowo!

Nagniewał się pan, ale mu pilno było.

— Życ będzie, mów co dalej?

Krysta wróciła do królewskiego ucha.

— Mścisław tu był, tu...

Bolesław aż się cofnął i za mieczyk pochwycił.

— On? tu? gdzie i jak? kiedy?

Skinęła nań Krysta, aby usiadł przy niej na ławie, objęła go ręką za szyję, czoło położyła na ramieniu i poczęła cicho szeptać mu coś do ucha. Po twarzy króla przelatywały burze i pioruny. Nie mówił nic tylko mu białka w oczach krwią zapływały, usta zbladły i zęby się ścięły.

Słuchał tego ust jej szmeru długo, zadumany, potem wstał od niej nie mówiąc nic i przechadzać się począł. Krysta biegła za nim niespokojna, знаła go już, że strasznym był gdy głos podnosił gniewny, ale straszniejszym gdy milczał. Nie odpowiadał jej wcale, stanął w oknie, patrzył w nie długo i nierychło ku niej się obrócił.

— Bądź spokojna, jam nieładny dusić robaka, choć sam mi lezie pod stopy! Życia nie wezmę, ale rozumu uczyć go potrzeba! Mścisław chce się z królem mierzyć! ze mną!

Bolko rozśmiał się, a w śmiechu zębami zgrzytał i straszny był. Krysta przestraszona spoglądała nań jeszcze, gdy, gwałtownie cisknąwszy drzwiami, król wyszedł od niej i na dworcu swoje pociągnął.

O kroków kilkanaście spotkali go i otoczyli Boleszczyce, on im mimochodem kilka słów rzucił i szedł dalej.

Widać było, że im dał jakieś rozkazy. Kupką stanęła drużyna naradzać się z sobą. Było ich kilkunastu, zwawo, pochylając się ku sobie, rozprawiając,

szepecząc, poczęli się umawiać o coś Boleszczyce. Z ruchów i twarzy znać było sprawę ważną i pilną, której wykonanie gorąco ich obchodziło. Jedni się wyrywali, wstrzymywali drudzy, sprzecjali.

Tajemnicą musiało być co im powierzył król, bo gdy się kto z dworzan do nich przybliżał, milkli, pozbywali się go, odsyłali, sami potem znowu wracając do narad i cichych szeptów między sobą. Niektórzy rozglądali się dokoła w podwórcach, wskazując miejsca, jakby stanowiska sobie wyznaczali. W tem we wrotach orszak się jakiś powoli wjeżdżający ukazał. Na przedzie widać było konno pomiędzy kilku duchownymi jadącego biskupa Stanisława ze Szczepanowa, za nim czeladź jego i domowników, skromny dwór składających. Od wrót wszyscy się skierowali ku dworcowi królewskiemu, gdzie u wuijścia głównego zsiadł biskup, a jeden z kapelanów poszedł o nim podkomorzym króla oznajmić.

IV.

Król Bolesław gdy zmęczony był, spoczywał zwykle na posłaniu niskiem, miękkimi skórami wyłożonem. Psy myśliwskie ulubione mu, które rzadko go odstępowały. w izbie tej z nim i przy nim legiwać miały prawo. Tak samo jak konie swe, które król nad miarę miłował, często je przenosząc nad ludzi, kochał też psy swoje, dając im swobodę wielką, lubował się też w sokoły, raroży i białozorami, których izby pełne były.

Wojak był mężny i zapamiętały, i nie mniej namiętnie myśliwstwo lubił, co najczęściej z sobą cho-

dzi. Gdy brakło wojny, łowy ją zastępowały, a z nich mu był najmilszy ten, z którym walka najsroższą i najniebezpieczniejszą była. Najchętniej jeździł na jelenie, łosie, wieprze dzikie, żubry i tury, co nieraz jeżdźca z koniem na rogi wzięwszy, w powietrze go wyrzucały, racicami i rogami mordując mściwie ludzi.

Z oszczepem na żubra samemu się rzucić, z mieczykiem na dzika, z toporkiem na niedźwiedzia nie było dlań nowiną.

Próżno go naówczas chcieć było powstrzymać, bo i człowieka coby go hamował ubić był gotów.

Ogromne psy królewskie, stróże najwierniejsze, nie bardzo się komu do sypialni zbliżyć dawały, a na skinienie jego człekaby rozszarpać były gotowe. Miał z nich straż czujną i straszną, we dnie i w nocy, lepszą od tych, jaką ludzie sprawiali.

Byle się co w przyległej ruszyło komorze, podnosiły głowy i warczały na drzwi patrząc, jakby poskoczyć chciały, aż je król głosem groźnym hamować musiał.

Sprawiano tym ulubieńcom czasem w podwórcach łowy, gdy żywcem dzika, jelenia lub niedźwiedzia ujęto. Zamykano naówczas bramy, stawali ludzie z oszczepami, wypuszczano zwierza z kleci i król się sam za nim tuż uganiał. Nieraz się trafiało, że gnany i ścigany zwierz, dopadłszy do wałów, ostrokoły przesadzał, skakał z góry, a nawet uchodził, czasem za słabszego parobka wpadłszy rozdarł go i zdusił nim dobieżono.

Te krwawe zabawy ulubione były panu.

Dnia tego król i zmęczony był i gniewny, patrzył w powalę, brwi marszczył, pięścią bił o posłanie i psy się doń nawet zbliżać nie śmiały, bo je bił i odpędzał.

Wtem zaskrobano do drzwi.

Zawarczała psów gromada zrywając się i nasłuchując, król patrzył milcząc, ukazała się głowa siwa starego podkomorzego królewskiego Janka Huźli.

— Miłościwy panie!—rzekł.

— Czego się ciśniesz! widzisz że spoczywam!—
zawołał król.

— Miłościwy panie — dodał niezmiészany tem
starzec.—Jego Miłość ksiądz Stanko biskup, czeka na
miłość waszą i domaga się posłuchania.

Usłyszawszy to imię, król się zerwał na równe
nogi, tak nagle, że psy przełękłe pozrywały się też
i skoczyły.

— On? tutaj?—zakrzyczał król.

— Tak, miłościwy panie, doprasza się rozmowy
z miłością waszą.

— A no! w sam czas! — rozśmiał się król —
w sam czas, bom i ja rad się rozmówić z tym kłechą.
Dobrze przeczuł godzinę! Idź mu powiedz, iż króla
widzieć będzie. Niech czeka. Prowadź go do izby
królewskiej...

Podkomorzy drzwi przymknął powoli i cofnął się
zaraz, a Bolesław stanął w myślach zatopiony.

Rzekł, że chciał widzieć biskupa, ale z twarzy
patrzało, jakby się iść wahał, nie bardzo rad spotka-
niu, któreby chętnie na czas inny odłożył.

Podszedł raz ku drzwiom już samym i zawrócił
się od nich, postąpił ku nim raz drugi i za zasuwę
ująwszy cofnął się jeszcze, szedł raz trzeci zmusiwszy
się, dumnie głowę podniósł, i jak stał na pół odziany,
pospieszył do izby królewskiej.

Komnata to była niewielka, ale wielce ozdobna
i na to przeznaczona, aby w niej król niewielu dostoj-
niejszych gości mógł przyjmować.

Było w niej siedzenie pańskie, ponad którym
tarcz i miecz wisiały i ławy do koła z poduszkami
sukiennymi i oparciem; podłoga kobiercami wysłana,
okno rybiemi błonami zaciągnięto, przez które żółta-
wy blask dnia przechodził.

Tu rozmowa była bezpieczną, gdyż dwie puste
izby dzieliły ją od tych, w których dwór, Boleszczyce
i komornicy stawali.

Król wszedłszy krokiem szybkim, zastał już tu biskupa stojącego w pośrodku. Dwu swych towarzyszków duchownych zostawiwszy w pierwszych izbach, ks. Stanisław ze Szczepanowa sam był tylko. Stał poważny, surowy, z twarzą posępną kapłan, odziany jak do chóru, z pierścieniem na palcu i krzyżem na szyi.

Król i on zmierzyli się oczyma, jakby niemi sił swoich próbowali, ale biskup nie strwożył się królewskim wejrzeniem, a król nie wytrzymał jego wzroku i zasepiiony szedł dalej.

Skłonił się biskup.

Nie mówiąc słowa, nie oddawszy pozdrowienia, Bolesław zajął swe siedzenie królewskie i nie wskazując biskupowi ławy obok siebie, jak należało, zapytał go szorstko:

— Czego chcecie odemnie?

Biskup długo wprzód oczyma króla mierzył, jakby się namyslał albo modlił w duchu, postąpił krok naprzód i począł zwolna a spokojnie:

— Miłościwy paniel nie ja do ciebie przychodzę, ale we mnie i ze mną kościół, matka nasza. Nie zważajcie na mnie, pomnijcie, że ja nie z siebie mówię, ale z jej rozkazania, nie po mej ale po jej woli...

Tu poczekał trochę, a gdy król milczał gryząc usta, po chwili mówił dalej.

— Miłościwy królu! milczała matka ta długo i płakała, dziś przez usta moje do dziecka przemówić musi, nadszedł czas.

Płacze ta matka, płaczą bracia twoi, królu, patrząc na to co się dzieje.

— A cóż się dzieje? — zapytał król szydersko i wyzywająco.

— Dzieje się źle—ciągnął biskup dalej — jeżeli wy królu nie wiecie nawet, iż się źle dzieje. Przecież z wysokości tronu waszego jęki kraju słyszeć-

byście powinni, a staliście się mu katem, gdy ojcem być powinniście,

Król poruszył się i rzucił na siedzeniu, lecz nie rzekł nic jeszcze.

— Ziemianie, rycerstwo, starszyzna, wszystko cię odstępuje, — mówił biskup, głos podnosząc — boś srogi dla nich i bez miłosierdzia.

W tem wybuchnął nagle król, nderzając pięścią w poręcz siedzenia.

— Na to władzę mam! a jak ją sprawiam, za to odpowiem Bogu. nikomu więcej. Ziemianie są krnąbrni, rycerstwo zdrajcy, bo mnie odbieżało w Kijowie samowolnie, a do domów przybywszy znęcało się nad ludem okrutnie. Ja nie samych ziemian i rycerstwa królem jestem postanowiony, ale ludu całego... Nad narodem ubogim mścić się i tępić go nie dam! Króla niema bez ludu, a z gminu rycerstwo i ziemian zrobić łatwo... Karzę samowolę, bo tu nikt nie ma władzy i sądu tylko ja!!

— Lud ten — rzekł biskup — podniósł się przeciw panom swoim, lud ten gwałty popełniał, domy bezcześcił, własność zagrabił, lud to wpół jeszcze pogański, którego przeciw chrześcianom bronić się nie godzi...

— Oskarżacie lud.—zakrzyczał król — co sługi winne, że niewiasty rozpustne! Ziemianki to wasze, zony własne rycerzy, pociągnęły do łóżnic sługi i pokalały domy. Dla nich nie ma litości i nie ma jej dla zdrajców a zbiegów.

Mówił król w uniesieniu wielkiem, powstając i padając na siedzenie, oczyma rzucając rozpalonemi na biskupa, jakby się nań miał porwać.

Stanisław ze Szczepanowa stał, słuchał i milczał nieporuszony.

Dawszy dopiero ochłonać nieco królowi, począł głosem tym samym jak wprzód.

— Pomnijcie, miłościwy panie, że gdy za Mieszka zrażeni opuścili go ziemianie i władcy, gdy

królowa Ryksa zniechęciła ich ku sobie, wkrótce i całej krwi a rodowi pańskiemu uchodzić było potrzeba i rzec się panowania...

Pomnijcie, że bez nich ostać się nie możecie.

— O! to opuszczenie i wygnanie ojcowskie, pomnę ja im po dziś dzień — przerwał król — pomnę i nie zabędę i nie przebaczę go im nigdy! Dlatego głowy ich krnąbrne padają i spadać będą aż ich nie stanie. Nowych sobie ziemian nczynię i rycerstwo, które mi będzie posłuszne. Królem jestem i panem a nie słomianym strachem, który na wróble stawiają, dzierżę władzę i nie puszczę jej. Ani władzyki, ani wy biskupi i duchowni sprzeciwić mi się nie śmiecie, bo miecz mam i prawo w ręku!

Biskup zwolna na krok się cofnął.

— Miłościwy panie — rzekł z dumą — my biskupi nie stoimy pod twą władzą królewską, my mamy jednego króla a pana w niebiesiech, a drugiego zastępcę jego w Rzymie, więcej nikogo nad sobą. Nikogol nie my wam, wy nam jesteście podlegli, bo podlegacie kościołowi... i posłuszni mu być musicie!

— Ja? wam podlegać! — wykrzyknął król zrywając się i podnosząc pięście do góry. — Ja! Ja nie znam ani cesarza. ani papieża, nikogo krom Boga nad sobą. Słyszyciel! Nie myślcie, że jak ów cesarz pójdę głowę moją położyć pod nogi papieża czy biskupa, rychłej stracę ją i koronę!

— Baczcież króla, abyście nie stracili obojga — rzekł biskup spokojnie. — Słów waszych w gorącości wyrzeczonych nie biorę do serca, ani ich ważę, ale powtarzam wam, miłościwy panie, kościołowi jesteście podlegli, a kościół więcej siły ma niż wszyscy ziemscy mocarze.

Śmiejąc się dziko król po rękojeści miecza nderzył.

— Zobaczmy kto silniejszy, gdy się z wami lub kościołem próbować przyjdzie! — zawołał.

Biskup smutnie zwiesił na piersi głowę.

— Miłościwy panie!—rzekł cicho, głosem w którym boleść nie trwogę czuć było — raz jeszcze mówić chcę do was jako brat *), który miłuje.

(Zahnął się król posłyszawszy, iż go śmiał bratem nazywać biskup).

— Jeszcze raz na duszy waszej zbawienie zaklinam was, upamiętajcie się, upokorcie, poprawcie. Wszystko co czynicie. do zguby was wiedzie. Życie wasze i dworu złe i grzeszne jest, sprośne, rozpasane. Z góry przykład na naród płynie i on się psuje zepsuciem waszem. Na sumieniu nietylko własne, mieć będziecie grzechy tych co króla naśladują.

— Milcz! klecho! — krzyknął Bolesław.

— Milczeć uie będę i nie mogę, — rzekł biskup poruszony — mówić mi każe wierność przykazaniom Bożym, kościołowi miłość dla rodu waszego. Żyjecie jawno grzesznikiem z żoną cudzą, gwałtem wziętą rycerzowi Mściśławowi z Bużenina.

— A tobie co do tego?—zakrzyczał król gwałtownie, nogami bijąc o podnózek, który roztrzaskał— z kim ja żyję do tego nic nikomu! To moja sprawa! Ja grzeszę i pokutować będę. Jak wy mi to wyrzynać śmiecie! wy, wy!

— Powinienem. muszę i będę —rzekł biskup. — Nie sądźcie. miłościwy panie, abym się miał was ulęknąć. Ja także jak wy, nie lękam się nikogo prócz Boga, nie boję śmierci i nie trwożę gniewu twojego.

Czynię co sumienie każe...

— Żonę Mściśławowi powrócić powinniście, a za zgorszenie publiczną odbyć pokutę! Tak! Świat patrzył na grzech. musi widzieć kajanie się.

Wrzał król słuchając i oburącz cisnął poręczę z gniewu...

— Klecho! — zawołał — dawaleś mi przestrogi, i ja ci dać muszę jedną. Strzeż ty się mnie i gniewu

*) Tym wyrazem w liście swym zowie biskupa Wratysław.

mojego, bo straszny jest jak piorun i jak on bije w kościół. Spaść może głowa twoja, choć namaszczona, a w Rzymie, gdy będzie potrzeba, dam okup za nią. Zamknę ci ja te usta, gdy zanadto mówić się waży.

— Miłościwy panie — odparł biskup — uczynić możecie co zechcecie, ale ustraszyć mnie nie potraficie. Widzicie, oto stoję przed wami bezbronny, jakem już nie jeden raz stał, mówię a błagam, czynicie pokutę i wynijdźcie z grzechu. Ilekroć przypuszczony będę, tylekroć powtórzę ci to, błagać będę i karcić. Kajaj się! kajaj się grzechów twych...

Biskup podniósł głos uroczyście, wtem król bijąc w siedzenie, zawołał przeraźliwym krzykiem.

— Milcz, klecho!! Nadto rachniesz na swój Rzym i do zbytku język rozpuszczasz. Milcz...

Westchnął biskup z politowaniem. Nie widąc na nim było gniewu ni poruszenia, znękany, pot tylko otarł z czoła.

— Kościół, królu, ma przeciw krnąbrnym dzieciom siłę. On cię namaścił na panowanie, on ci namaszczenie twoje odjąć może. Nie zmuszaj go, aby ci drzwi swe zamknął, i od społeczności swej jak owcę parszywą odłączył. Naówczas na nic ci się nie przyda ani krew twoja, ani twoje imię, ani władza, opuszczą cię wszyscy i wypowiedzą posłuszeństwo. Siła twa skruszy się w twej dłoni. Ulituj się sobie, ulituj królowej i jednemu dziecku twojemu. Upamiętaj się!

Kościół zna ludzkie słabości i rozgrzesza je, gdy skrucę widzi, ale zuchwałym i krnąbrnym przebaczyć nie może.

Słuchał król burząc się zrazu, potem najgrawając i próbując się śmiać z biskupa, który równie gniewem jak szyderstwem nieporuszony, nienękły, mówił z powagą, głosem boleścią przejętym... Zrywał się kilkakroć jakby chciał przerwać i w końcu obojętnego udawał, choć złość w nim coraz większa wrzała.

Stanisław ze Szczepanowa ciągnął dalej, nie zważając na królewskie gniewy.

— Po tom przyszedł tu,—rzekł — abym dwojga żądał od was: oddania żony Mściśławowi i ojcowskiego serca dla ziemian i rycerstwa. Zaklinam was, usłuchajcie mnie, a nie zmuszajcie, abym w obrobie przykazań Boskich dobył miecza jaki mi kościół daje...

Bolesław nie mogąc już dłużej utrzymać gniewu, czerwony od złości, trzęsący się, powstał i rękę wyciągając ku drzwiom, wołać począł.

— Idź ztąd! idź! uchodź! ręce mi drżą, nie pohamuję się, targnę! uchodź klecho. Nikt jeszcze nie śmiał jak ty stanąć przeciwko mnie, ażeby życiem nie przyłacił, uchodź!!

Powtarzał to coraz żywszym i sroższym głosem, ręka mu dygotała.

Biskup popatrzał nań, podniósł prawicę i przeżegnawszy nią króla, jakby odżegnywał złego ducha, krokiem umyślnie zwolnionym, ustąpił nie oglądając się już za siebie.

Gdy mu znikł z oczów, król na siedzenie padłszy, długo uspokoić się nie mógł, podparty na rękę, zgrzytając zębami, rzucając się, półsłowy klnąc poganskimi, przesiedział tu sam jeden do zmroku. Dwór, który zdala słyszał podniesione głosy, a poznał iż król był w gniewie strasznym, nie śmiał do niego się zbliżyć. Nie wchodził nikt, czekano aż uspokoiwszy się, sam zawoła albo wynijdzie.

Mrok już był, gdy nareszcie wstał Bolesław z siedzenia i szybko biegnąc, nasrożony wypadł z izby. Czekali nań w zwykłym miejscu stojący Boleszczyce.

Król podbiegł ku Borzywojowi.

— Ujęto Mściśława?—zapytał.

— Czatuja nań, dotąd się nie ukazał pono.

Król nie mówiąc więcej, poszedł do izby swojej i psów, które skomlać i wyścigując się go witały.

Na Mściśława czatowano, lecz Krysta, co go

wydała sama, choć miała poręczenie, że mu nie wezmą życia, uległa się już własnej zdrady.

Krysta płochą była, zepsutą ale słabą istotą. Wiatr nią miotał różny, skłaniała się w tę stronę, w którą powiał.

Zaledwie królowi męża wydała, ledwie król wyszedł, gdy Krysta opamiętała się i płakać zaczęła.

— A! jeśli go zamordują, ja krew jego mieć będę na duszy mojej. On mnie przeklnie konając. Bronić się będzie gdy go pochwycą. i zabiją go, zabiją, com ja uczyniła! com uczyniła!

Już chciała biedz do króla, rzucić mu się do nóg, prosić za nim, wybiegła do progu sieni, zawstydziła się i zawahała. Chciała Bolesława do siebie zwać, ogarnął ją strach, by nie myślał iż męża kocha i żałuje. Płakała i ręce łamała.

Niewiasta płocha jednej godziny złą i dobrą, kochającą i niewierną, skruszoną i występłą być mogła, tak zmienne w niej było wszystko. Żyła na świecie jak jakieś stworzonko biedne co po kwiatach lata, samo nie wiedząc co robi; tem samem żądłem miód dobywa i kasa jadowito, a gdzie przysiądzie tam mu na chwilę dobrze, choć drugi raz nie wróci, bo nie zatęskni.

Mścislawa żał się jej zrobiło, własnej zdrady strach. Choć sama go wydała, ratować już chciała. A jakże wydać go nie miała, gdy od króla wydrzeć ją pragnął, z królowej czyniąc biedną wygnanką?

Na dworze było tak wesoło, tak huczno i codziennie inaczej, za dworem w lasach, na pustyni, zdawało się jej, że umieraćby musiała, a śmierci bała się strasznie! Broniła się więc biedna.

Tak mówiła jej płochosć, a zabobonny strach szeptał z drugiej strony.

— Zabiją go, on umierając cię przeklnie i rzuci swą krew na głowę twoją! krew! straszną krew umarłego, której niczem zmyć nie można.

Przelekła Krysta biegła już szukać ratunku u swej ulubienicy Ciarki.

— Słuchaj Ciarko, słuchaj dobra moja, oto masz bursztynu sznur! Co ci powiem uczyni, proszę! Dam co zechcesz sama. Uczyni a zbawisz duszę moją!

— A! uczynię wszystko co każecie — odezwała się zdziwiona i uradowana dziewczyna, przypatrując się bursztynom świecącym. — Czegóż by dla takiego sznura, biedne dziewczę nie uczyniło?

— Nim mrok zapadnie idź w bramę — mówiła Krysta. — Uważaj dobrze. Wnijdzie tam człowiek w prostej sukmanie, z czapką na oczy nasuniętą, czarny, duży, straszny! A! to ten mój stary mąż, który się za mną rozbija i zakrada się do mnie.

Ciarka zdziwiona w ręce uderzyła.

— Mąż! o Boże miły! mąż!

— Ale ja męża tego nie chcę! a nie chcę, a żał mi, żeby go nie zabito, bo tam czatują na niego... powiedz mu, szepnij że król o nim wie, a jak go ujmą, nic nie pomoże, głowę da. Niech ucieka! Powiedz mu że ja ciebie przysłała, że ja tobie kazała, niech ucieka i mnie nie przeklina... Ludzie podsłuchali, wygadali, zdradzili... niech ucieka... Ciarko! ty to zrobisz dla mnie?

Ciarka, która w ręku sznur bursztynów trzymała, zawołała żywo.

— A no, jeśli go poznam. klnę się uczynię jak każecie... powiem mu wszystko... Niech uchodzi, nawet pójdę za wrota...

Krysta ją ku drzwiom popchnęła.

— A idź, a prędzej!

Ledwie czas mając sznur swój do serca przytulić, dziewczę się chustą okryło białą i pobiegło w podwórze ku bramie.

Wieczór już był, ale ludzi mnóstwo jeszcze z zamku i do zamku przepływało. Król ze swą drużyną wieczerzać miał na grodzie we dworcu, na łące pod Wawelem dla gości stały stoły, ale do nich,

oprócz ubogiego gminu, nikt z ziemian się nie zbliżył nawet. Złożywszy dań, natychmiast precz odjeżdżali wszyscy, nie chcąc tknąć ni jadła ni napitku królewskiego.

Oskarżono ich o to przed królem, jako o dowód niechęci przeciwko niemu. Król ramieniem ruszwszy, łazał najuboższą gawieź najwykwintniejszym karmić jadłem i najlepszym przyjmować napojem.

Stała się pod namioty królewskimi prawdziwa uczta ewangeliczna, obsiadło stoły żebractwo i co najbiedniejszy lud zgłodniały.

Boleszczyce i dwór pański przypatrywał się tej biesiadzie głodnych, śmiejąc się do rozpuku z chciwości jaką okazywali, rozbijając się o mięsiwo, chleb i miody.

Niektórzy dopadłszy beczek, czerpali tak chciwie, iż padali tu bez zmysłów i bez życia. Pacholkomie trupy odciągali za nogi i rzucali do Wisły...

Ciarka wysłana ku bramie spotykała jadących na to widowisko i powracających z niego. Starła się oczyma bystremi pochwycić opisanego jej człowieka, długo napróżno. Nareszcie zdala ukazała się postać całkiem podobna do tej, o której pani mówiła.

Już biegła, aby zbliżającemu się zanieść przestrogę, gdy czterej jezdni kręcący się około wrót, opadli nagle wchodzącego i dwu z nich ręce mu położyły na ramionach. Nim Ciarka dobiegła czas miała, pochwycono wchodzącego i pomiędzy konie wzięwszy, szybko go ku zamkowi pociągnięto.

Mscisław — on to był bowiem — nie miał się nawet bronić czasu, ani próbował wyrwać, dał się wziąć i poprowadzić milczący.

Wnet jeden pobiegł o nim dać znać królowi, i z rozkazu pańskiego poprowadzono go zaraz do ciemnych izb, w których więźniów trzymano. Stały one nieopodal za dworcem, a na teraz puste były. Król więzić nie lubił, wołał wieszać i ścinać. Izby zbudowane z ogromnych drzewa kłoców obitych jesz-

cze wewnątrz deskami grubemi, nie miały światła żadnego, jedne drzwi tylko okute przystęp do nich dawały. We drzwiach tych okienko, z zasuwą drewnianą, służyło do podawania jadła więźniom wewnątrz zamkniętym.

Borzywój, któremu zlecono zamknąć kazać Mścislawa, sam go tu odprowadził. Miał widać jakieś królewskie zlecenie, bo zamiast odejść odstawivszy go do ciemnicy, zatrzymał się, pacholcowi nakazując zdala przyświecać pochodnią.

Wnętrze izby nad wszelki wyraz było okropne. Śmiecie, brudy i słoma zgniła zalegały ją całą, jednym stała obrzydłym barłogiem, a powietrzem jej wilgotnem i skażonem zaledwie oddychać było można. Mścislaw, którego pacholcowie za barki njąwszy, wtręcili do wnętrza, dał się cisnąć na przegniłą słomę słowa nie rzekłszy, obejrzał się ledwie, i padłszy leżał jak martwy, nie patrząc nawet na stojącego u drzwi Borzywoja.

Ten nie odchodził i mierzył go oczyma.

— Mścislawie, słuchaj—rzekł—żał mi cię.

— A mnie ciebie żał—odparł pan z Bużemina—ja jestem więzień, tyś niewolnik.

Boleszczyc, jakby nie słyszał tego, ciągnął dalej:

— Żał mi cię, Mścislawie, aleś ty sobie winien sam.

Śmiechem ostrym i dzikim odpowiedział na to Mścislaw.

— Tom ja winien! prawda!—syknął.

— Albo to jednemu się żona sprzeniewierzyła! czy dlatego się ma obwiesić! — ciągnął Borzywój dalej. — Czy ty masz dla niej ginąć kiedy ona ciebie nie chce? Sama przecież o tobie królowi znać dała...

Mścislaw się odwrócił gniewny.

— Kłamiesz! — zawołał — kłamiesz... Ona! to nie może być!

Borzywój się teraz śmiać począł.

— Ja ją codzień widuję—mówił — my z nią do-

brzy druhowie, ona króla kocha a ciebie się boi, wzdryga się na samo wspomnienie twoje. Co ty się będziesz dla niej marnował! Czy to ona jedna na świecie!!

Mściśław leżąc burczał coś tylko niewyraźnie.

— Słyszysz ty! drabie jakiś! — rzekł — czy ona mnie kocha czy nienawidzi, wszystko mi jedno. Co mi tam, a no ja ją chcę mieć, bom ją wziął, bo moja, i ja ją miłuję, to dość.

— Król choć srogi, zlitowałby się nad tobą — mówił Borzywój — jestem pewny, puściłbym cię wolno, jabym ci przebaczenie wyrobił.

— Przebaczenie? — przerwał Mściśław — mnie, on? Pytaj ty czy ja jemu przebaczę?

— Szalejesz, Mściśławie — ciągnął spokojnie Borzywój. — On pan, on król, ty ziemianin prosty! Ja ci rzeknę jedno, daj ino klątwę, że się nie pokażesz więcej, a Krysty się wyrzekasz, pójdę do króla, da ci wolność i jeszcze co w dodatku. Co ci po babie!

— Ja? jej się wyrzekać? ja? a nigdy w świecie — krzyknął więzień. — Puśćcie mnie, będę szukał sposobu, aby wam ją odebrać. Na to wam słowo daję. Przyjdę sam, zbiorę ludzi, ściągnę kupy, podburzę wrogów jego, pójdę do Czech, do Niemiec, podpale zamek... nie dam spokoju... Zamknijcież mnie, niechaj wszyscy wiedzą, co u króla ziemianin wart, któremu i żonę wziąć i majątność i głowę wolno... Nie macie mnie co puszczać!

Borzywój nie wiedział już co mówić, uczynił krok jakby odchodzić miał.

— E! żal bo mi cię! — powtórzył.

— A mnie żal ciebie i twojej braci — odparł jak wprzód Mściśław. — Służycie pannę, który źle czyni, którego Bóg skarże, a was razem z nim. Co mi tam, że ja zginę w ciemnicy? zginę albo nie. to Bóg wie, ale że wy z nim czczeźnicie marnie, prędzej, później, to wiem pewno...

Będziecie tułaczami, żebrakami, bez czci i wiary... aż się Bóg ulituje nędzy waszej...

Odwrócił się Mściśław ku ścianie i zamykając rozmowę, połą okrył głowę.

Borzywój postawszy nad nim chwilę, widząc że już nic nie zyszcze, odszedł. Pochodnię wyniesiono, zasunięto i założono drzwi drągiem, zaducha smrodliwa i ciemność objęły więźnia.

Gdy się to działo, dziewczyna zadyszana powracała do pani, wołając od progu.

— Pojmali go! pojмали! nieszczęsna dola moja!

I z płaczem dobyła sznur bursztynów, trzymając go w rękach, patrząc nań smutnie, strapiona, że jej pani odbierze niezасłużoną nagrodę.

Kryście bursztyny nie były w głowie, ręce krzyżując załamała.

— A! ja nieszczęsna! a! ja przekłeta! co ja pocznę! gdzie się skryję! krew jego padnie na mnie.

Rzuciła się na ławę, głowę w rękach tuląc i płacząc.

Wśród tego jęku i płaczu drzwi się otwarły, wszedł król.

Dziewczę z bursztynami w ręku, zobaczywszy go uciekło skryć się do komory, a Krysta posłyszawszy kroki, zwróciła głowę i blada podbiegła ku niemu.

— A! panie mój, królu mój — zawołała obejmując mu nogi — życie mu nie każcie brać! bom ja go wydała i krew jego spadnie na mnie, krew! krew!

Chmurno król popatrzał na nią.

— Ej! ty! — rzekł — nie ścięto go, ani zadławiono! oczów mu nawet nie kazałem wyhupić i mnie go żal! Człek szalony co się ze mną, z panem swym chce porywać do walki! On, ze mną!! Robak ten mizerny jakiś, którego zdusić mogę nogą. Tak jak ten klecha co się za jego sprawę bierze! Ej! Krysta, czarne oczy twoje drogo króla kosztują.

Ona stojąc płakała. chustką ocierała oczy i westchnienia z piersi się jej wyrывały.

— Króleczku mój. paneczku mój, Krysta cię będzie kochała, tylko życia mu nie bierz. Klątwę rzuci na moją głowę, krwi się boję!

— Wyprosisz mu życie, niech tylko w ciemnicy przesiedzi, rozumu się nanczy. Biskupabym z nim wsadził razem, a uo! poczekawszy, wpadnie mi i on w ręce.

Z oczyma w ziemię utopionemi, spokojniejsza nieco, słuchała nie rozumiejąc Krysta, łzy ciągle z oczów jej płynęły, król zbliżył się do niej i pogładził po twarzy. Kazał jej sięść, kazał śpiewać sobie, ale Krysta łzy miała w głosie, a i on rozchmurzyć się nie mógł. Ciężyla na nim z biskupem rozmowa, chciał ją zapomnieć a nie mógł. Ostre wyrazy duchownego w uchu mu brzmiały jeszcze. Siadł przy Kryście, pieścąc ją i uspokajając, sądząc, że widok pięknego lica poure myśli rozpędzi, a wśród pieśczętliwej rozmowy, wracały mu ciągle na pamięć surowe wyrazy i groźby straszne. Tak samo Kryście pieśni półgłosem nucone przerywał mąż i przekleństwo, którego się lękała. Oboje roztargnieni, myślami byli gdzieindziej. Wszystkoby może zniósł Bolesław rychlej od biskupa nad to jedno, że on śmiał się z nim stawieć na równi, wyżej nawet nad niego i klecha jeden rozkazywać swojemu panu.

Przesiedziawszy chwilę z Krystą, wstał król i zostawił ją samą. W królewskich izbach wieczerały drużyny, szedł do nich w gwar ten, chcąc wśród drużyny swej, otoczony siłą na rozkazy i skiuienia gotową, zapomnieć biskupa.

Miejsce jego stało opróżnione... Drużyna pańska, wszyscy ci Boleszczyce, dwór i goście, których teraz rzadko gród oglądał, jak za Chrobrego mieli na zamku zastawione dla siebie stoły. Po kijowskiej wyprawie i rozbiegnięciu się rycerstwa, często też

król na srom zbiegoin tym, których karał, najprostszy gmin do swych stołów przypuszczał.

Szedł do nich kto chciał, bo hojność króla miary nie miała.

Dnia tego liczniejszych spodziewano się gości, ale jak do stołów pod namiotami, tak i tu nikt się prawie nie zjawił.

Znajomi i krewni, na dworze króla będący, ciągnęli ich napróżno.

Leliwa, którego bratankowie niemal gwałtem wziąć na zamek chcieli, wiedząc jak królowi te pustki przykre będą i do gniewu go pobudzą, odparł im wyrwawszy się i na koń siadając.

— Niech sobie miłościwy pau z tymi je, których kocha. Pokochał czerń, niech się nią cieszy, my mu tam niepotrzebni. A no zeszloby się może tak, że u stołu bym siedział z tym, którego bym rad na gałęzi posadził.

Wielu wprost od daniny pociągnęli do biskupa, aby okazać, że z nim trzymają.

Gdy król do izby wszedł, w której już dworskich jego wielu zgromadzonych było, rzucił tylko okiem po ludziach i twarzach, a nie zoczywszy nikogo innego, zrozumiał co to znaczyć miało. Brwi mu się ściągnęły w jeden pas czarny nad oczyma, poszedł na swe siedzenie i nie ozwał się do niego.

Dopiero gdy Borzywój, który mu często i za cześnika służył, na skinienie kubek nalawszy, przyuiósł, król zmierzwszy go oczyma spróbował żartować.

— Gości macie dużo!—rzekł.

Borzywój ruszył ramiony; król się uśmiechał.

— Tak lepiej, znajdę ja kogo chlebem karmić moim, a nie wiem czy oni długo chleb mieć będą, i gęby do niego! Weselcie wy się za wszystkich... Do domów pojechali?—spytał król.

— Wielu pono u biskupa gościło na Skalce—rzekł z boku stojący Zbilut.—Kupa ludzi koło dworu była...

Król zaciął usta, kubek duszkiem wypił i drugi nalać kazał.

— A no!—zawołał—weselciez się, bądźciez dobrej myśli, tam też u biskupa musi być wesoło. Pewnie i niewiasty mu zaprowadzili, aby go piosenkami rozrywały. Klechy to lubią, choć drugim zakazują.

Śmiać się niektórzy zaczęli. inni widocznie zakłopotali, król jakby chciał o tem zapomnieć, krzyknął zaraz aby mu pieśni śpiewano, aby zdala słychać było, że na zamku i bez gości wesoło. Usłudni zawsze młodzi, natychmiast jedną z najswawolniejszych piosenek rozpoczęli, a gdy jeden podniósł głos, wnet mu zewsząd zaczęto pomagać i wrzawa się stała ogromna. Przy każdej zwrotce wesołej, śmiech i kłaskanie się rozlegały, a król? siedział sparty na ręku i gniewny.

Na Skalce około domu biskupa, który czasowo mu służył za schronienie, gdyż na zamku pod strażą królewską siedzieć nie chciał, koni i czeladzi cała gromada stała tego wieczora.

Ciasnych izb kilka zapełniło rycerstwo i ziemianie, od króla odepehnięci, szukając tu rady i wodza ku obronie. Biskup po powrocie z zamku przyjmował przybywających, łagodząc ich i nie dopuszczając by zbyt szeroko skargi rozwodzili. W gromadzie jeden drugiemu dodaje żalu, rośnie ból, gniewy się rozpalają i nie łatwo je potem nśmierzyć. Biskup zamykał im usta polecając przyszłość Boskiej Opatrzności, nadzieję kazać mieć w łasce Bożej. Gdy który z nich wybuchnął krwawym żalem kładł mu ręce na ramieniu i kołł go chrześciańskiemu rady.

Izby, w których się gromadzili ziemianie, ciasne były. nizkie. i jak klasztorne ubogo a skromnie wyglądały. Zaledwie stoły, ławy, krucyfix na ścianie wielki i miedziane naczynia u drzwi do święconej wody ubierały je nieco. Zamiast kobierców służyły maty, złota i srebra nikt tu nie zobaczył. Majętność swą biskup obracał na kościoły, na księgi. na ubo-

gich i sieroty, który do szkólek gromadzić kazał. Dla siebie nie potrzebował więcej nad to co mnichowi prostemu starczy.

Kilku duchownych stanowiło dwór biskupa, czeladzi było mało. Ziemianie cisnęli się dnia tego gromadnie, z kolei przychodzili do pocałowania ręki, wzdychając patrzali w oczy, azali nie posłyszają słowa jakiego nadziei i pociechy. Błogosławił ich biskup, pytał i odprawiał wyrazami niewielą.

Ponieważ izby ciasne były i wszystkich przychodzących zmieścić nie mogły w sobie, ci co uzyskali przystęp i błogosławieństwo odchodzili natychmiast, miejsce czyniąc nowym przybyszom. Trwało to zbiegowisko do nocy niemal, gdyż każdy chciał posłyszeć coś z ust biskupa. Kilku tylko starszych zatrzymał w końcu biskup u siebie i do dalszych izb wprowadził.

Gdy nareszcie tłum ten niemal cały rozszedł się, albo nocą jeszcze rozjeżdżając do domów lub gospód szukając po przedmieściach, a niektórzy w niedostatku miejsca i obozem się a namiotami na polach porozkładali, na Skalce nie pozostało nad trzech starszych władyków, Leliwa, Mestko Kruk i Brzechwa.

Druga izba, do której ich biskup wprowadził, mniejsza jeszcze od pierwszej, była domową kapliczką. Tu stał mały, skromny ołtarzyk przy ścianie, przy którym niekiedy odprawiał ofiarę, częściej modlił się godziny odprawując, księga na nim leżała otwarta przed krucyfiksem, między lichtarzami dwoma. Małe okienko na pół ciemną ją nawet we dnie czyniło, lecz na kominie skałki gorzały dla światła.

Oprócz trzech ziemian i biskupa, podeszły mężczyzna w sukni duchownej także się tu znajdował, w przyciemnionym kątku siedząc milczący.

Podano naprzód skromną strawę wieczorną na glinianych misach, do której zasiedli biskup tylko z milczącym swym towarzyszem... Leliwa, Kruk i Brzechwa już wieczerzać nie potrzebowali.

Wszystkim im ciężło długo trwające milczenie posępne, którego nikt przerywać nie chciał. Trzej ziemianie zdawali się oczekiwać na to co im powie ks. Stanisław ze Szczepanowa; w ostatku Leliwa, który najbliżej stał, mąż letni i poważny, odezwał się:

— Miłościwy ojcie, pocieszcie nas, bo na słowo wasze rodzicielskie czekamy w ntrapieniu naszym. Co czynić? czego się spodziewać? jak i czym ratować się mamy? Patrzycie co się z nami dzieje. Giniemy znowu. Jeszcze pamięć pierwszych nieszczęść nie zatarta się, a oto burza nowa nadchodzi... Panu naszemu ani męztwa. ani sławy, ani szczęścia zaprzeczyć nie można. Wydzwignął ziemię z upadku, moc zdobył wielką i potęgę. lecz potęgą tą nas biednych gniecie i oto mało co brak, abysmy z rodami naszymi poszli na łup czerni. Policzyć rycerstwo które nałożyło głowę. trudno, a co się stało z Mściławem z Bużenina wie świat cały. Żonę mu zabrano, dziś jego samego na zamku ujęto i jako złodzieja do ciemnicy rzucono, za to, że się ważył na podwórze...

— Panie — mówił Brzechwa — a syna mojego, który z królem do Kijowa chodził, włodarz opanował wszystko, żonę mu zabrał, dostatek sobie przywłaszczył. Syn przybiegł na głos ten, stracono go za to. że się upominał o swoje, włodarzowi żona i majątność dotąd została. W co się my obróciemy? Czerń nas wyrzeże gdy zechce. Król i słowa nie rzecze.

Aż i Kruk począł:

— Jeśli do króla skargi niema. do kogoż iść, jeśli nie do was ojcie... Radźcie, pomóżcie. ratujcie, bo oto pogany wszystko ogarnął

— Dzieci mojej — odezwał się biskup — wiecie iż siebie nie żałuję. Chodziłem, błagałem. napominałem go nadaremnie, a! poprawy po nim przestałem się spodziewać. Pijany jest siłą swą. zatwardziały w grzechach, a hałastrą się otoczył co mu pochlebia i pomaga. Namaszczony jest. porywać się nań nie godzi, a i sam się zgubi i pożre nas złością swoją.

— O nieszczęśliwe te ziemie nasz! — rzekł Leliwa. — Małośmy to przecierpeli po ucieczce Kazimirza, a co dziś czeka? Wszystko się rozprzega, niewolnik i parobek czując powolność w górze, urągają się nam niemal!

Wywodzili tak żale swe, coraz nowe przykłady stawiając. Biskup słuchał smutnie.

Niekiedy wśród mowy tej, oczyma siedzącym przy stole duchownemu dawał znaki, jakby chciał nawagę jego zwrócić na znaczenie skarg ziemiańskich. Kilka razy Leliwie i Krukowi sam biskup poddał zapytaniami zręczność rozszerzenia się uad klęskami krajn i nędzą jaka mu groziła.

Stary mówił:

— Albośmy to tego pana kiedy u siebie widzieli, mieli czas poznać go, zbliżyć się, a on nas wysłuchać? Nie miał dwudziestu lat, gdy objął rządy, a nie było potem i jednego roku, żeby u siebie doma pogospodarzył, po Węgrzech i Rusi bijąc się i wojując. Z rycerstwa co go otaczało drudzy po lat siedem żon, dzieci, ani strzechy swej nie widzieli.

— Gdy nastąpiła swawola — mówił Kruk — nie kto tylko czeladź była winna... Słabe niewiasty ani mogły ani śmiały się bronić. Król je wini, snkami je nazywa, że się mężom sprzeniewierzyły. Nie prawda jest, myśmy starzy na to patrzali. Nieszczęśliwe żony i córki jako mogły się opędzały parobkom i czeladzi, niekiedy po lasach, uiejedna głodem zmarła i wołała śmierć niż sromotę. Wy ojciec znacie, boście tam niegdy proboszczem bywali, co uczyniła Małgorzata w Zębocinie z siostrami swemi, na wieży kościelnej mrąc głodem zamknięta, niż by się czerni poddać miała i zbezczeszczyć. A było więcej jej podobnych. Nie wszystkie wrzas ratować się mogły, niewiasty słabe, przemoc straszna, gwałt okrutny. Cóż winny one!

— A jak on ma czerń karać za gwałt na cudzych żonach — ozwał się Brzechwa, kiedy sam tak

czyni, nie wstydząc się Krysty trzymać na zamku podle królowej?

Milczeli trochę, biskup też nie chcąc im bólu dodawać, krótkimi słowy pocieszał, a gdy trzej ziemianie żale swe i skargi opowiedzieli, pobłogosławił ich i pożegnał.

— Dzieci moje — rzekł — Bóg się ulituje nad nami...

Pozostali sam na sam z duchownym, który czasu rozmowy niemym, ale uważnym był jej świadkiem.

Gdy się drzwi za ziemianinami zamknęły, a kroki odcobodzących w dali już tylko słyszać było, biskup zbliżył się do milczącego prałata. Siadł przy nim i ująwszy go za rękę, począł powolnie.

— Chciałem ojcze mój, abyście sami oczyma własnymi widzieli, na własne uszy słyszeli, nie z moich ust, ale od obcych ludzi — jak się tu u nas dzieje, abyście to odnieśli królowi Wratysławowi i królowej Swiatawie. — O poprawie, o upamiętaniu króla. o zgodzie, już pomysleć nie można — radzić potrzeba ziemi tej, aby się nie pokalała i nie gineła.

Niechaj opiekę nad nami weźmie lepiej król pobratym i pokrewny, niż obcy.

— A cóż z królem uczynicie? — zapytał duchowny po cichu, mówą, w której się cheszczyszna przebijają. — Wojnę mu wytaczać? — on w niej najsilniejszy, nie łatwo go pożyć przyjdzie.

— Sam on się zabije nieprawością swoją — odparł biskup wzdychając. — Nie potrzeba ziemskiej siły, aby go obalić, piorun Boży spadnie na jawno-grzesznika.

Kościół ścierpieć nie może tego, co się dzieje. Czekałem, byłem i jestem cierpliwy, ale miara się przebiera... Jeszcze chwila a z czary nieprawości wyleje się ciecz za brzegi.

Dziś on, mnie, namaszczonego pasterzowi tej owczarni, której on jest najpierwszą owieczką, on mnie, napominającemu go władzą, od Boga mi daną,

precz iść kazał, jak podwładnemu pachołkowi i precz mnie za drzwi słowem wyrzucił.

Duchowny wzdrygnął się słuchając i ręce zalał.

— Nie o mnie idzie — mówił biskup — Jako człowiek zniósłbym z pokorą zniewagę, ale we mnie (uderzył się w piersi) we mnie kościół sponiewiera i jest i znieważony. On chce nadeń wyższym być, a nas w sługi swe i niewolniki obrócić.

Kościelnym orężem bronić się muszę.

— Cóż czynić myślicie? — zapytał duchowny z trwogą i ciekawością.

Biskup wstał i przeszedł się po izbie razy parę, stanął naprzeciw ołtarza i popatrzał nań, potem oczyma się zwrócił ku oczekującemu odpowiedzi i odparł głosem silnym, stanowczym, zmienionym, powagi pełnym:

— Wyklnę go! *Anathema sit!*

Po słowach tych panowało długie milczenie. Duchowny oczy spuściwszy, zdawał się wahać, czy miał przyzwolić na to co słyszał i potwierdzić, lub starać się złagodzić słuszny gniew pasterza.

Ks. Stanisław ze Szczepanowa stał i czekał odpowiedzi, badając go oczyma.

— Ojciec mój — odezwał się głosem cichym duchowny — nie należy do mnie, obcego tu, a nieświadomego okoliczności, ani się wstawiać, ni sądzić, ni łagodzić; zważcie jednak, błagam, na jakie sami narazicie się niebezpieczeństwo. Jeżeli człowiek ten kościołem pomiata, cóż uczynić gotów z kapłanem? Szalonym jest, pijanym siłą swą, jakoście rzekli, lecz szłał taki przechodzi i pijaństwo ono się rozprasza.

Biskup stał zamyślony, spokojny, słuchając ciekawie, a gdy dokończył, rzekł:

— Nie tylko moc kościoła całego chrześcijańskiego za mną jest, ale co najprzedniejszego w kraju, zieranie i rycerstwo ze mną a przeciwko niemu.

Garsć ledwie słuzalców mieć będzie z sobą, a i ci go odstąpią, gdy uan padnie piorun z góry.

Pomnijcie czem jest kościelua kłatwa! Śmierć to jest i gorzej niżeli ona. Wyklętego człowieka nie zna rodzina, nie zna go żona i dzieci, wszystkie węzły, co go łączyły ze światem żyjących w Chrystusie pękają. Konającemu kropli wody, umierającemu strzechy i progu musi odmówić każdy; odwróć się odeń wszyscy jak od zapowietrzonego i trędowatego... Nikt mu nie winien posłuszeństwa. nikt nad nim litować się nie może. Wyklęty człowiekiem być przestaje, a staje się zwierzęciem dzikiem.

Duchowny słuchał w milczeniu posępnem.

— Lecz niżeli to straszne rzeczenie słowo, czyli nie pozostaje nic? nie godziż się próbować jeszcze?

— Nic nie skutkuje! Urągowskiem odpowiada i groźbą. To ostatni, jedyny oręż, wszystkie inne o żelazną tę duszą się skruszyły, odtrącił, wyszydził, odepchnął wszystko. Nie zna kościoła, kościół go znać nie może.

To mówiąc, biskup razy kilka przeszedł się po izdebce, głowę na piersi zwiesiwszy, westchnienie mu się ciężkie wyrwało.

— Ojcie mój! — rzekł stając przed nim — nie obwiniajcie mnie w duszy waszej o brak miłosierdzia, lepiej jest, ażeby jeden zły zginął, niżby przezeń kraj ten i ziemie przepadać miały, w pogański obyczaj się zanurzyły, do dziczy wróciły przez rozkiełznaną rozpustę. Tak chce Bóg, tak chce nad narodem litość. Słyszałeś ich skargi, jam patrzył na czyny. Tarza się w rozpucie i okrucieństwach, aby okazał, iż nikomu nie jest winien posłuszeństwa, ani Bogu ni kościołowi.

Wiecie co uczynił dziś, aby zohydził suknię kapłańską i stan nasz?

Duchowny dał głowę znak przeczący.

— Składano mu daniny — mówił biskup. — Wezwał skarbnego kleryka do pomocy, aby mu czytał zie-

mie i powiaty. Król z oczów biedaka widząc iż się mnogim skarbowi przypatrywał chciwie, dozwolił mu ich wziąć ile uniesie. Padł kleryk pod ciężarem złota złamany, na pośmiewisko czerni ze stanu duchownego. Ciało jego bez pogrzebu ohydnie do Wisły rzucić kazano. Dlaczego to uczynił? oto, aby ludziom na oczy okazał, iż niepomierne chciwi i łakomi jesteśmy, wydziercy i łupieżcy, gdy on o skarby nie dba, wspaniałym jest i dobroczynnym. W kleryku tym nas spoliczkował bezbożnik. a sąd i wyrok dał niesłuszny, gdyż ubogi człek nie dla siebie a dla rodziny złota łaknął.

— *Anathema sit!*—powtórzył biskup unosząc się oburzeniem—*anathema sit!* Niech on będzie wyklęty, jeżeli niema być wyklętą, pustynią bezpłodną cała ta ziemia za grzechy jego.

Trwało milczenie chwilę, biskup uspokoiwszy się. przystąpił do duchownego, który słowa już rzecz nie śmiał.

— Jedźcie, ojczyzny mój— rzekł—wracajcie do Pragi, opowiedzcie tam. coście tu widzieli i słyszeli, ani tajcie co mam czynić i co postanowiłem. Uczynię to. jakem rzekł nie lękajcie się go. Rzym i kościół cały i duchowieństwo całego świata mam za sobą. silnym się czuję, mocen jestem! Uczynię to, bom powinien, uczynię, bo kto przebacza winnemu, ten występki uznaje cnotą, a sam staje się winnym zgorszenia. Uczynię bo mi to nakazuje sumienie kapłana, obowiązkiem pasterza.

— Rzucę nań klątwę! *Anathema sit!* Zamknę przed nim kościoły, ogłoszę go wywołancom. Natenczas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmie Wratysław i panuje nam, aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni; niech panuje pomnąc, że na berle krzyż nosi, a tylko w imię kościoła i razem z nim panować może!!

Umilkł. Duchowny słuchał z pewnem ukorzeniem i trwogą, nie śmiejąc mu przerywać.

— Jedźcie do Pragi—powtórzył biskup.—Nieście odemnie te słowa: korona nasza bez głowy, berło świętego Maurycego bez ręki, tron Piastów bez króla, kraj bez ojca zostaje, czeka na Wratysława, aby go objął.

Ziemianie przyjmą go, rycerstwo rade będzie. Dwa potężne królestwa się zjednoczą!

— A cóż się z wywołańcem stanie?—spytał duchowny.

Ks. Stanisław ruszył ramionami pogardliwie.

— Bóg postanowi. Piorun go może razić w polu, wilcy rozszarpać w lesie, głód zamorzyć w ucieczce, srom udusić, zgryzota pożreć, azali wiemy co mu przeznaczono i jaką karą chłostać go zechce ten co nie przebacza??

— Jedź, ojczy mój — dodał — mów, skłaniaj aby byli w pogotowiu, tu im bramy otworzą jak zbawcom.

— Król ma braci, ma syna — osmilił się cicho szepnąć duchowny.

Biskup pomyślał nieco.

— Ród to jest — rzekł — który już raz ziemianie precz wygnali, którego nie chcą. Gdyby oni znowu na tron weszli, co z sobą przyniosą! Szaleństwo Mieszka, okrucieństwo Bolesława? Zemstę i żal — nie, dosyć ich mieliśmy, innej nam krwi na tronie potrzeba. Syn, brat, mieliby nieprzyjaciół w ziemianach samych, lękaliby się ich wszyscy. Zresztą w potomstwie Wratysława płynie krew siostry jego Swiatawy.

Gwałtownym ruchem ręki biskup zdał się precz usuwać co mu na drodze staowało, i zakończył nim rozmowę, którą był znużony.

— Jedź, ojczy mój — dodał głosem osłabłym — niech cię Bóg prowadzi. Mów coś widział i słyszałeś.

To mówiąc uściskał go, pobłogosławił, a gdy się za nim drzwi zamknęły, padł na kolana przy ołtarzyku, sparł ręce na nim, głowę skrył w dłoniach, modlił •

się i w psalmie Dawidowym dla uciśnionej duszy szukał pocieszenia.

— „Smutną jest dusza moja...”

V.

Stary gródek w Jakuszowicach, który z dawnych wieków do Jastrzębców należał, za Bolesława jeszcze pozostał, jakim go wieki te ulepiły. Położony nad stromym rzeki brzegiem, u ujścia do niej małego strumienia, który się po błotach rozlewał szeroko, stał na dosyć wysokim kopcu, tak wałami osłonięty, iż go za niemi widać prawie nie było. Na wałach prastarych czas miały porosnąć od strony grodu drzewa i krzewy, gęstą je zielonością okrywające. Jedna ścieżyna tylko stroma prowadziła pod górę ku wałom i bramie, a wrota osłonięte były przekopami tak, że ich zrazu nikt nie mógł dojrzeć, bo zawróciwszy się dopiero między niemi, dochodziło się do ostrokołów i wrót zczerniałych...

Nie śmiał nikt od dawna na gródek się rzucić, ani pokusić o jego zdobycie, tak za warowny nchodził. Przetrwał on największe w kraju burze, nie potrzebując się ani przerabiać ni zmieniać. Za Ziemomysła pono starym go już zwano, a mieszkali tu zawsze ludzie z rodu Jastrzębców, jako w gnieździe swoim.

Z tego gniazda jednego potoczyło się Jastrzębich gniazd mnóstwo po wszystkich ziemiach, gdyż plemię było rozrodzone bardzo i płodne, tak że nieraz ztąd po dwunastu braci, synów jednego ojca, w świat wędrowało.

A zwali się Jastrzębiami, Kaniowami, Kudbrzynami, Kobuzami. różnie, jak gdzie ptak się ów nazywał co im dał miano, i od posiadłości też pobrali nazwy mnogie, choć zawołanie ich najpospolitsze było, Kaniowa, gdy na wojnę wici szły i ludzie się ściągali. Żył tu jeszcze teraz dziad tych Boleszczyców Jastrzębców, którycheśmy na dworze królewskim widzieli, sta lat pono dochodząc. Pamiętał on pierwszych królów, przeżył wszystko co te ziemie widziały i, dziad oslepy, z ręki sobie jeszcze władzy wydrzeć nie dawał. Synowie jego, wnuki, prawnuki, z gródka tego się rozbiegali po świecie, szukając szczęścia z orężem w rękę, rozsiadając się nad brzegami Wisły, Warty, Odry, Bugu; odumierały go żony, których miał kilka, córki powyprawiał, krom jednej owdowiałej a bezdzietnej, co mu nazad pod dach wróciła; i tak dożywał wieku swojego, nie dając się życiu złamać, choć mu ono oczy odjęło i sił nadszarpało.

Slepego starca po za Jakuszowicami nikt nie widywał, bo za wały swe nigdy ani wyjeżdżał ani wychodził, ale kto go raz tu zobaczył, ten pamiętał zawsze. Mąż był silny i rozrosły, acz nie tak wielki i barczysty, jak tamtego wieku inni ludzie bywali, chudy, grubokościsty, z głową dużą i twarzą długą, na snczej osadzoną szyi, z rękami wielkimi i silnemi, choć nogi miał małe i garbate.

Twarz mu już była oddawna trupio pobladła, może od gniewów częstych, gdyż, jak wszyscy Jastrzębce, gniewał się łatwo i rozdrażniony do szalu się dał dowieść.

Twarz tę żółtkłą posiekły mu marszczki i fałdy, jakby jedną siatką powłókłszy. Duże oczy siwe, zgasłe, zbielałe, trzymał otwarte jakby patrzył niemi, a były tak groźne i straszne, że ich wzroku, choć je wieczna noc oblokła, nikt wytrzymać nie mógł. Siwo-żółty włos obfity spadał mu na ramiona, a broda do pasa sięgała. Więc ją na dwa pasma rozgarniał, tak

że jedno na lewo, drugie na prawo, zarzucał na ramię, gdy mu zawadzały.

Gdy szedł, choć nie widział nic, głowę i straszne oczy podnosił do góry, usta mu już się rozwierały mimowoli, marszczył się ciągle i postawę miał jakby z trumny wywołanego upióra.

Nosił się z prosta, latem i zimą w sukni z grubej tkaniny, z szyją obnażoną. a koszuli nie znał nigdy, wedle prastarego obyczaju. Głos miał jeszcze potężny, choć piersi już zakłęśte, a słuch taki że muchy brzęczenie chwytał zdaleka. Wzrok mu się tem opłacił, bo utraciwszy go uszy sobie zaprawiał, aby mu zań starczyły. Z pod owej sukmany starej, gdy się rozpięła. widać było ciało porośłe jak u niedźwiedzia, włosy grubemi, gęstemi, które i ręce i twarz nawet niemal całą okrywały.

Lękali się starca wszyscy w domu, bo gniewny był, w gniewie zapamiętały, choć pod inny czas i dobrym być umiał bez miary. Gniewu zaś potrzebował jak chleba, a gdy doń powodu nie miał. to i jeść nie mógł. Gdy się rozżarł, nałajał, nasrożył, wykrzyczał, dopiero mu życie wracało.

Wzrok ntraciwszy, miał zawsze pod ręką, gdyby oczy drugie, chłopca lat dziesięciu, który go wodził, patrzył zań, a mówił co mu kazano. Stary, rękę wyciągnąwszy, za długi, spuszcisty kołnierz go trzymał, w drugim ręku kij mając. Tak zamek obchodził, gdzie mu oczów chłopca nie starczyło, sam ręką macając. A palce jego dotykając rozpoznawały nawet twarze, tak że człeka milczącego, dłonią mu powiódłszy po obliczu, nazywał. Pamięć miał zaś taką, że kogo raz widział, czyj głos posłyszał, zawsze sobie go przypomniał.

Cztery żony pochował stary Jastrząb, (a miał imię wspólne innym wielu z tego rodu, Odolaj). Czwartą bezdzietną stracił lat już mając siedemdziesiąt, i byłby się pewno z piątą ożenił jeszcze, gdyby go wkrótce nie raziała ślepotą.

— Ślepemu się żenić — rzekł — szal jest, gdy i z czworgiem oczów baby upilnować trudno.

Naówczas to, córkę już niemłodą, owdowiałą Tytę wezwał do siebie, ażeby mu gospodarstwo trzymała. A choć ta lat przeszło pięćdziesiąt miała, jak dzieckiem nią pomiatał.

Mówiono o nim, że skarby wielkie trzymał po komorach, do których i teraz nikt oprócz niego nie chodził, ale skąpy był i dzieciom mało lub nic nie dawał. Najczęściej wyprawę na drogę i oręż, aby sobie sami na życie i byt pracowali. Szerokie ziemie do Jakuszowic należące dużo mu dawały, on zaś sam żył jako parobcy jego, nie wiele potrzebując dla siebie, i gości też rzadkich przyjmował tak jak sam był nawykł pić i jadać. Mimo śiepoty, w ręku u niego było wszystko, ludzie i klucze a woda, bezeń tu nikt kroku nie śmiał uczynić.

Za trzech żon. potomstwo Odolaja już może jakie sto głów liczyło z prawnukami i dziećmi prawnuków. Wszystko to było rozpieczętowane po świecie. Gdy na wielką jaką uroczystość zjechało z czołobitnością do starca całe to rodzeństwo, pomimo dobrej pamięci musiał mu się każdy wywodzić czyim był synem albo wnukiem, bo jej gromady już i stary policzyć nie mógł. A że imion w rodzie dużo podobnych się znajdowało, nie łatwo było dojść którego Odolaja syn do pradziada Odolaja przybywał.

Na gródku u niego, choć czasu największego w kraju spokoju. taka była czujność, ład, straż jak gdyby wojna stała u progu. Załoga z wiosek się mieszała, chodziły stróże, wrota na dany znak z rogu zamknięto, a rano otwierały się dopiero, gdy pastusi bydło na pole wypędzać mieli. U wrót zawsze ludzie stali i czuwali z oszczepami.

A że stary już sypiać dobrze nie mógł. dniem i nocą po zamczysku się włóczył, zwłaszcza, że dla niego noc wieczną była. Swój gród znał tak iż i bez chłopca, z kijem tylko mógł go obejść o każdej porze,

a trafił gdzie mu było potrzeba. Kudłate psisko, ogromne, bure, z oczyma żółtymi, strasznymi, nigdy go nie opuszczało. Stary ten przyjaciel zwał się Hyż, a Odolaj już cztery ich przeżył pokolenia. Nie szczekał Hyż ani warczał, gdy mu się co niepodobało, rzucał się odrazu nie puściwszy głosu, szarpał i dusił. Tylko gdy niepewnym był co ma czynić, zaburczał, aby wywołać rozkaz starego pana. Zbliżyć się znienacka do Odolaja było niepodobieństwem.

Stare dworce na zamku, lepiące i podpierane od wieków, do szop były podobniejsze niż do ludzkich domostw. Odolaj budować się nie lubił i miał przesąd słowiański względem nowych domów, które zawsze ktoś musi życiem przyplacić, wedle podania. Stało więc co tam niegdyś wzniesiono i trzymało się jak mogło, a gdy wichur co obalił, podnoszono tylko zwałiska i klecono na nowo. Oprócz jednego kawała z bierwion grubych mocno pobudowanego przed laty, który się zwał Izbicą, reszta komor z gliny i chrustu połatana, niska była i licha. Dużo też dla starości w ziemię wsiadło, i zdala wyglądały zabudowania jak kupa grzybów co po deszczu wyrosnie, bo wysokie omszone dachy z dranic i słomy, do grzybowych czapek były podobne.

Nawet do Izbicy wchodzić było potrzeba jak do jamy, w głąb', tak i ona zapadła się w ziemię.

Odolaj był już chrześcianinem, a nawet bardzo gorliwym i surowym, posty obchodził ściśle, duchownych szanował i obdarzał, ale z młodych czasów pozostało mu dużo pogańskich wspomnień i zwyczajów, których on od nowych nauk rozróżnić nie umiając, dziwacznie mieszał z niemi.

Wiara więc jego z dwojga niemal wiar połączonych się składała, a szczególnież czarów i złych duchów obawiał się mocno, czego mu nie broniono, wierzył też w zamawiania i uroki. Bajek o czarownikach, wiedźmach, latawicach, wilkołakach, lichu, psocie, plusze słuchać lubił i sam miał ich uzbierany

zapas wielki. Znał się nawet na tem jak czar bywał rzucony i jak mógł być zdjęty. Stare baby posądzane o uroki niemilosierdzie chłostać kazał, szczególnie gdy krowy mleko traciły, po czem zawsze udoje wracały obficie.

Czeladź trzymał w strasznej surowości, i za przewinienia karał bez miłosierdzia, ale gdy się do kogo przywiązał, niepomierne dlań był łaskaw i wiarę dawał do zbytku. Człek był, mimo zbliżającej się lat setki (liku właściwie dobrze nikt nie wiedział), dosyć jeszcze krzepki, na umyśle rzeźwy i stare rzeźczy pamiętający doskonale. Trzymał się pono tem, że się ciągle ruszał, bo we dnie rzadko się kiedy zdrzemnął, a nocą zbudziwszy się przytomność natychmiast miał całą i wiedział co się z nim działo. Gdy spał, Hyż i chłopiec siedzieli przy nim nieodstępnie i czuwali.

Wiosennego poranku właśnie Odolaj z chłopcem i Hyżem swój gród obchodził wedle zwyczaju, a słońce przygrzewać zaczynało, gdy, zatrzymawszy się na wałach, stary ncha nastawił.

Wiatr wiał od dalekich borów, nic prócz niego słychać nie było, ale starego uszy dalej jakoś sięgały, bo ręką wskazując chłopcu w stronę, w którą się gościć daleko ciągnął przez pola, kręcąc między łączkami i rolami, zapytał:

— Ty, słysz! co tam widać?

— Nic, miłościwy panie — rzekł chłopak.

— Ślepyś i ty, czy co! patrz na gościńiec, trutniu, wyrap oczy!

Chłopak podniósł się na palcach, oczy szeroko otworzył i dojrzał kłębka kurzawy.

— Nie widać nic, miły panie, ino się pył zwija po gościńcu od wiatru, albo bydło lub owce pędzą.

— Głupis! — rzekł Odolaj — patrzno lepiej, zobaczysz więcej.

Hyż jakby też mowę pańską rozumiał, stał zwrócony w tę stronę, uszy nastawił i nosem powietrze pociągał.

Nagle chłopię krzyknęło :

— Miłościwy panie, jezdni!

— Ilu ich?

Znowu tedy mizzał dzieciak, a stary spuściwszy głowę, ucha nastawiał.

— Słepiec z ciebie—rzekł—pięciu ich być musi, trutniu jakiś, mówię pięciu! Licz!

W istocie w dali już teraz rozeznąć było można jeźdźców, z których dwu przodem jechało a trzech za niemi. Panowie i czeladź.

— Mów! — rzekł starzec. Tym słowem zwykł był puszczać wodze oczom swoim i chłopak powinien był zacząć opowiadać co widział. Chłopię poczęło.

— Przodem dwu na koniach, w zbroiczkach i hełmach. od których się świeci, czysto poodziewani, za niemi troje czeladzi. Konie u wszystkich tęgie, klusują szybko, wprost na zamek.

Chłopak w ręce plasnął.

— A! panie — dodał — jeden z czeladzi na rękę sokoła trzyma.

— To nasi — mruknął stary — Jastrzęby jechać muszą.

W istocie garstka ta zbliżała się ku staremu zamczysku i coraz ją lepiej rozeznąć było można. Na dwu jadących przodem błyszczały zbroje, na koniach też widać było świecideł dużo, wyglądali z pańska i czeladź odziana była dostatnio.

Gdy stary Odolaj przekonał się iż na zamek zawracali, zszedł z wałów i pospieszenie do izbicy powrócił, nie chcąc w podwórcu gościom zabiegać drogi.

Izba, w której siadywał, mało się różniła od wieśniaczej. choć od zwykłej świetlicy była większą. Od dymu ściany jej drewniane całe się oblokły świecąca brunatną powłoką. W górze na belkach wisiały ziola różne, odpędzające uroki. służące dla zdrowia lub przyniesione dla woni. Bystrzejsze oko mogłoby było w ciemnych zakątkach za belkami dostrzedz po-

chowanych bałwanków, niezgrabnych, drewnianych, których wyrzucić precz nie miano odwagi.

W okół przy ścianach biegły wąskie i twarde ławy, a przy drzwiach tuż stało wiadro z wodą świeżą i czerpakiem. Półki grube po nad ławami poczepione u góry, zastawione były całe naczyniem różnem, w większej części glinianem i drobnem sprzętem, tak aby stary mógł ręką sięgnąwszy, dostać czego mu było potrzeba. W jednym rogu izby, gdzie ława nie sięgała, miał barłóg swój Hyż, u samych drzwi sypialni pańskiej.

Spał on po jednej ich stronie, z drugiej chłopiec, którego we dworze nazywano „Okciem“. Podłogi w izbie nie było, tylko tok gdzieniegdzie matą słomianą okryty.

Gdy stary usiadł na ławie za stołem, weszła za nim córka jego, ubrana w sukno sine, z białym namiotem na głowie, niewiasta krzepka jeszcze, ale raczej na służbę niż na panią wyglądająca i pokorna bardzo...

— Goście słyszę jadą — odezwał się posłyszawszy ją idącą i po chodzie poznając stary. — U nas strawa codzienna jaka tam?

— Kluski, kasza, kawał mięsa dla was, dla gości by co przyrzucić? — spytała Tyta.

— A oni co lepszego od nas! — zawołał stary. — Mogą jeść co i my, albo i nie jeść.

— Ha no! — stęknęła niewiasta — powiedzą, że nie mamy nic, dom obrzydzą...

— A! niech sobie gadają co chcą! — rzekł stary nakazująco — dla ludzi ja wolę być ubogim niż bogatym, dla krewnych jeszcze bardziej. Każdyby darł z każdego...

Tyta nic już nie mówiąc, starła stół, obejrzała się dokoła i wyszła powoli; z Odolajem nie można się było sprzeczać. Gdy rozkazał sprzeciwienia się nie ścierpiał.

Nastawił ucha bacznie Odolaj, twarz mu się sta-

ła posępną, widocznie gościom a swoim nie zbyt był rad, bo posądzał zawsze synów i wnuki, że od niego pożądać czegoś mogli.

— Przywieźć żaden nie przywiezie—mówił zawsze— a wziąć u starego radby każdy.

Od wrót, z koni zsiadłszy przybywali właśnie dwaj młodzi Boleszczyce, wnuki Odolajowe, Dobrogost i Ziema. Oba postroili się w odwiedziny, jak było we zwyczaju na dworze i rozglądali się ciekawie po gnieździe starem. Tyta czekała na nich u drzwi przed Izbicą.

Pokłonili się jej, bo choć dobrze nie pamiętali, wiedzieli o niej i domyślali się kto była. zapytali czy wolno dziadowi do nóg się pokłonić oznajmując, że byli Mszczuja synowie, któremu ojcem był Mieszko syn Odolaja.

Popatrzywszy z ciekawością i radością, która się na jej licu malowała. na pięknych chłopaków stara Tyta, dała im znak głową, aby szli za nią.

Odolaj już kroki ich usłyszał, zawczasu Hyża na barłóg wyprawił leżeć i nie ruszać się. sam czekał.

Weszli tedy na próg, chrześcijańskim obyczajem chwalać Chrystusa. Stary im odpowiedział, jak należało. Po chwili zapytał:

— Któż tam?

Tyta wzięła na siebie, aby ich wyręczyć w odpowiedzi.

— Dobrogost i Ziema,

— A którzy?

— Synowie Mszczuja.

— Którego?

— Mieszkowego—rzekł Dobrogost.

— No, Bóg z wami!— odezwał się stary chmurno i na rękę się podparł.

Przystąpili więc do nóg mu się skłonić i pocałować go w kolana.

— Jedziemy za rozkazaniem pańskim mimo Jakuszowic — odezwał się Dobrogost — chcielibyśmy

miłości waszej też przypomnieć się i pokłonić. Rząd-ko służba pozwoli wczasu.

Staremu na wspomnienie króla czoło się namarszczyło straszliwie, a brwi siwe aż nawisły, drgnął i mrknął jakby łajał. ale nie można było zrozumieć co rzekł.

Młodzi przed nim stali.

— Was tam słyszę lik duży na dworze przy panu—rzekł—sześciu czy dziewięciu czy więcej Jastrzebi. Was tam jak niewolników zwą Boleszczycami. Cóżescie się to mu z kośćmi i mięsem zaprzędali!

Spoglądając po sobie milczeli przybyli. Ziema jako młodszy, nie myślał nawet odpowiadać.

— Jest nas na dworze pańskim — rzekł Dobrogost—naszego zawołania i rodu kilkunastu. A cośmy my winni, że nas przezwano Boleszczycami! Nie jednych nas tak zwą, jest i Śreniawów dosyć i Drużynów kilku. Ludzie zazdrośni zwą nas tak, bo wiernie panu służymy i miłość królewską mamy. Nie przetośmy niewolnikami.

Stary znowu coś mrknął jakby sam do siebie gniewnie, sparł się na rękę, siedział i usta mu się rnszały.

Podniósł potem rękę zwolna, grożąc i począł:

— Ej, źle z wami młokosy, ej! źle! Do wojny królowi służyć, to powinność ziemiańska, a koło mis i kubków nie nasza sprawa.

Mruczał sam do siebie niewyraźnie, a ze szmern tego zwolna dobywały się wyrazy i głośniejsz już ciągnął dalej, jakby zaponiawszy, że ich miał przed sobą.

— He! co! Boleszczycami was zwą! Boleszczycami! Wiernie panny służycie, ha? nawet gdy waszym braciom łby ucina? he? Jak uie ma kochać i odziewać i karmić! A co będzie jak tego pana nie stanie i do swoich przyjdzie powracać? he? co poczniecie! Boleszczycy?

Zuown mowa wyraźna zmieniła się w szeptanie

gniewne, do którego stary w samotności był nawykłym.

— Przystąpić tu!—zawołał do nich.

Zbliżył się starszy Dobrogost.

Starzec podniósł do góry ręce obie i zwolna powiodł niemi naprzód po twarzy, potem po zbroi, po pasie, aż do nóg, na ostatek dość silnie popchnął go precz od siebie.

— E! zgagi!—zawołał.— A zkądże to wam nbo-gim, te drogie zbroje, te sadzone pasy i te suknie miękkie i łańcuchy? Ojciec w siermiedze chodzi, z domu wam nie dał nic, chyba kawał zardzewiałej blachy i mieczyk lichy? Na wojnę małoście chodzili, zkądże te ubiory?

Dobrogost się namyslał trochę, lecz rzekł odważnie.

— Król pan nasz miłościwy darzy nas, od pana przyjąć ani grzech ani wstyd.

Starzec się rozśmiał szydersko i splunął.

— Bo wy mu do rozpusty słuźycie! trtnie jakieś!—krzyknął—słuźycie mu jak psy, to wam obróże sprawia.

Zmieszali się oba młodzi Boleszczyce, a Odolaj siedział mrucząc po swojem i ręką w stół czasem uderzając. Za każdą razą Hyż głowę podnosił.

— Ej! wy!—rzekł nagle—śmierdźcie mi! zdala odemnie stać!

Oba się tedy do progu musieli oddalić posłuszni, ale krew się w nich burzyła. patrzali na się, pytając oczyma po co się im do Jakuszowic zachciało. Preczby byli szli i jechali zaraz nazad, ale szannjąc głowę rodn, oddalić się tak nie mogli, bez rozkazania.

Stary wyczekawszy z mruczenia do siebie począł znów głośniejsz:

— Cóż tam ten miłościwy pan? co? króluje, panuje nad żonkami endzemi! z rycerstwem się zadarł. ziemiany gardzi, biskupem pomiata, a z hołotą i czer-

nią w wielkiej miłości żyje! Miłościwy pan... a komu miłościw? nie nam!

Dobrogost zebrał się na odwagę, by króla swego bronić, choć dobrze wiedział, iż stary się zagniewa.

— Miłościwy panie a ojciec — rzekł — ja tam nie znam wiele, ale z rycerstwem tem inaczej nie mogło być, gdy mu ono posłuszeństwo wypowiedziawszy zbiegło z Kijowa, samego pana niemal zostawiając. Ziemianie też mu nie życzliwsi jak byli Mieszkowi i Kaźmierzowi, którego wygnali. Król na nich za dziada się mści i za ojca. Biskup z niemi trzyma. Ludu ubogiego król miłościwy broni, bo bez niegoby panować komu nie miał, a głódby nastał na te ziemie.

— A milczże ty, gołowasio jakiś! — krzyknął stary Odolaj kijem bijąc o ziemię — a milczże! Ty mnie tu będziesz uczył rozumu! Dobry pan, a żonę Mścisławowi jak wziął? Mało mu swojej?

Oba stojący u drzwi zamilkli.

— Nie nam go sądzić! — rzekł Dobrogost.

— Ale ja stary sądzić go mam prawo! — zawołał Odolaj — ja i Mieszka pierwszego i Bolka Wielkiego, co jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę, żadnego takiego nie było jak ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przyjdzie słać, jak smokowi pod Wawelem? a wy mu do tego służycie, sromotnicy!!

— Warczał tak starzec długo, młodzi stali słuchając i nie wiedząc co z sobą poczynąć mieli. Tyta się dawno wysunęła, widząc na co się zanosi. Widać ją było, jak po za drzwiami przysłuchując się, niespokojnie chodziła. Odolaj lajał i srożył się. Nagle zamilkł, ucha nastawił, jak gdyby odpowiedzi czekał, ale już nawet Dobrogost nie śmiał się odzywać.

— Dobrze, żeście do Jakuszowic zajechali — rzekł w końcu — dawnom ja za którymi z was słać chciał... Wróciwszy na dwór powiecie swoim wszystkim Jastrzębiom ile ich tam jest, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, póki w tym kale zostaną.

Na wojnę idźcie, niech was i pozabijają, jest dzieci dość, narodzi się ich jeszcze więcej, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich się wylegać, wara!

Potrząś swoją siermięgą.

— Jak ja grube sukno nosić, blawatów nie tykać, gruby chleb żreć, to wasza powinność i służba. Postroili was na pośmiewisko, jak królewską kobylę, która słyszę też w złotogłowie chodzi. Zrobili z was czeladź nie drużynę. Ej! Śmierdźcie mi, śmierdźcie, Boleszczyce!

Dobrogost widząc go tak niełaskawym i miarkując, że już nic do stracenia nie mieli, znów się osmieleli odezwać.

— Miłościwy ojcie, króla opuścić gdy mocen i szczęśliwy, toć się godzi na rozkazanie ojca, a no, gdy go wszyscy odchodzą.

— Chłystek mnie rozznu nie będzie uczył! — warknął stary. — Trutniu jakiś, zgago przekłeta! Twoja sprawa słuchać starszego, nie z ojcem iść za ząb...

Rzucił się aż Odolaj; młodzi oba usta zawarłszy, stali.

— Mówię wam! do domu wszyscy! na cztery wiatry... ażeby was tam nie było. Nie, to ja was nie znam. Śmierdźcie mi Boleszczyce, Boleszczyce nie moja krew. Com rzekł to musi być, a nie posłuchacie, toście jego nie moi. prawi Boleszczyce a nie Jastrzębie. Sukmany włożyć, zbroję prostą, i na rubieże gdzie się tłuką, nie na zamku gdzie z cudzemi żonkami skaczą...

Gniewał się stary, lecz że już odpowiedzi nie było, powoli uspakając się zaczął. Mruczenie zeszło na szept, marszczki zwolna się rozciągnęły, posiedział milczący, westchnął i już głosem innym zapytał:

— Po co i dokąd was posłano?

Naturę miał taką iż gdy mu nie odpowiadano i nie przeciwiono się a dano wysierdzić, stawał się co-

raz łaskawszym i niekiedy nawet za gniew słodkiem słowem płacił.

Dobrogost i Ziema, którym z tyłu Tyta szepnęła słowo, stali teraz pokorni i niemi. Na ostatnie pytanie odpowiedział starszy, że daniny zaległe kazano im tu i owdzie zakazywać, bo ich wiele do skarbu nie podwożono, a król obficie rzucając złotem, (użo też go potrzebował. Posługa ta nic w sobie nie miała upokarzającego. Stary też nie rzekł już nic, pomruczał coś sam do siebie i spytał:

— Głodniście może?

Dali na to odpowiedź obojętną.

— A juści was Tyta ztąd nie puści nienakarmionych — rzekł łagodniej, a chłopca posłał też aby konie napasiono.

Natychmiast Tyta strawę podawać kazała, prostą, taką jaką dla wszystkich zgotowaną mieli. Przyniosły ją dziewczki na misach glinianych, z łyżkami drewnianymi i na stole postawiły.

Kazano chłopcom siadać i jeść, co też dopełnili z ochotą, radzi, że się łajanie i guiewy skończyły. Stary o ten sam stół oparty, głosem już znacznie zmienionym, spokojniejszym. rozpoczął wypytywać o dwór i króla.

Dobrogost, który jak wszyscy Boleszczyce, przywiązany doń był, źle mówić nie mógł.

— Pan dla nas jest dobry — odezwał się — o lepszego trudno, dla swej drużyny nic nie żałuje, ale nieposłuszeństwa w nikim nie ścierpi, buty nie zniesie od nikogo, choćby jak on królem był.

— Takim ci on był od początku — zawołał Odolaj. — Pamiętają jak owemu kniaziowi co go prosił żeby naprzeciw niego wyjechał, za każdy krok koński płacić sobie kazał. a potem na śmiech za brodę go wzięwszy. jak na urągowisko w twarz całował.

Młodzi co o tej przygodzie nie raz słyszeli, śmiać się zaczęli.

— Nie lepiej się i z Węgrzynem obchodził, mó-

wił Odolaj — bo go na tronie posadziwszy, jak we własnym domu chciał się rządzić w jego królestwie

— To nie, to nie — dodał stary — a no mu od duchownych wara! Królowie zniosą, oni nie!

Milczeli młodzi.

— Już się z biskupem zadziera! — mówił ciągle Odolaj — z biskupem? Biskup Stanko tu u nas ojcem jest w Krakowskim, pójdą za nim wszyscy! Człowiek to od króla pewnie mądrzejszy, umarłych z grobu wywodzi! Niechno patrzy, aby mu słowem śmierci nie zadał. Biskup to taki co gdyby czarnej sukni nie nosił, do pancerzaby się zdał. Nie zleknie się go i nie ustąpi kroku.

Mówiąc to starzec coraz się uspokajał, łagodniał i już nawet uśmiechać się poczynił, sierzdystość mu przeszła, jeść zapragnął, chleb łamał i chciwie go pożerał w soli maczając.

Potem miodu kubek podać sobie kazał i popijał powoli.

Młodzi zjadłszy i pokłoniwszy się chcieli korzystając z dobrej chwili, do odjazdu się zabierać gdy Tyta wbiegła do izby i znać dała Odolajowi, że kilku jakichś ziemian na zamek jechało. Ktoby był powiedzieć nie umiała.

— Ty, młodszy, jak cię zową! Ziema? — zawołał stary — ty, słuźko królewski, posłuszno dziadowi, a żywo. Idź mi zobacz co za jedni i daj wiedzieć tu wprzód nim zsiądą.

Oczy masz, a ludzi znać musisz, choć ci co do mnie jeżdżą, na dworze bywać nie zwykli.

Natychmiast Ziema, słuchając rozkazu, poskoczył ku drzwiom i zniknął. Ruchem jego zaniepokojony stary Hyż, rzucił się na barłogu, jakby chciał za nim pogonić. Stary usłyszawszy poruszenie jego, odgadł co pies myślał, znając jego naturę, krzyknął nań i leżeć mu przykazał. Psisko z niechęcią na posciel wróciło, zakręciło się na niej razy parę i legło skarżąc się i stękając.

Po chwili, skoro się nwinąwszy, Ziemia wrócił oznajmując Leliwę, Kruka i Brzechwę.

Usłyszawszy o nich, stary się poglądził po głowie i czekał. Tnż za nim i oznajmieni na próg weszli, lecz dwu Boleszczyców zobaczywszy, których i z twarzy i po stroju poznali zaraz jako królewską drużynę, nachmnrzyli się, popatrzeni na się i przystąpili z wita-
niem chłodno jakoś a milcząco.

Stary Jastrząb wiedział dobrze, iż do niego nikt w gościnę nie przybywał nadaremnie, dla zabawy. Przyjeżdżali tylko ci co albo obowiązek mieli lub potrzebę.

Wysłuchawszy pozdrowienia, posłał po miód, gości posadził, czekając co mu też powiedzą.

Ci spoglądając z ukosa na Dobrogosta i Ziemię milczeli długo, prawili rzeczy obojętne, jako na łąkach trawa rosła i zboże się podnosiło; gdzie zwierza było więcej, a zkad go wypłoszyły wilki.

Stary czekał, zgadł czy nie co im usta zamykało, a po chwili Dobrogostowi rzekł, aby z bratem szedł opatrzyć stadninę i tegoroczną młodzież.

Badzi wielce wysunęli się dwaj Boleszczycy.

Nasłuchiwał Odolaj za krokami odchodzących, aż gdy posłyszał że odeszli za węgiel Izbicy, odezwał się:

— A co was, miłościwi moi, sprowadza? Jać to wiem dobrze, że do mnie ani moje kluski proste, ani miód twardy, gościa nie ściagną. Chcecie pewno czego odemnie, a przy tych gołowasach mówić nie rażno było, bo to królewskie służki.

— A no, tak — rzekł Leliwa — przy młodych o to zagadnąć nie można było. Wy jesteście głową rodu, waszych tam Jastrzembi przy królu mnogo, wszyscy ci Boleszczycy u boku mu stoją, podpierają go, służą... Przez nich on silny. Przyszedł ten czas, że go wszystkim odstąpić będzie trzeba, niechajże i wasi idą precz, niech go porzucą... Macie prawo im rzec, żeby tam ich noga nie powstała. Nie trzeba

wam mówić co się dzieje, król z biskupem wojuje i z kościołem, kto z nim będzie trzymał. ten ani na próg do kościoła, ani do kapłana przystępu mieć nie będzie. Czas żeby wasze wnuki pamiętali z kąd wyszli i odstąpili go wraz z nami...

Odolaj brodę gładził.

— Jak po to jechaliście, to nie było z czem jechać — rzekł spokojnie — ja właśnie im głowę zmyłem i dałem rozkazanie. aby mi wszyscy natychmiast precz ze dwora szli...

— Sprawiedliwie! — pochwalił Leliwa. — Król się nam sprzeniewierzył, ani obyczaju już znać nie chce, ani miary w niczem. Dziewki i żony ziemianom porywa, a mężów i ojców do ciemnicy sadzi. Biskupom grozi, rycerstwo swe katnje, czerń mu tylko miła... Niech mu ci służą, których kocha, a my jako jeden idźmy precz... idźmy precz!

— Idźmy! idźmy! — powtórzyli za nim drudzy. Kruk dodał.

— Kiedy o nas nie myślą, trzeba nam myśleć o sobie.

A Brzechwa rzekł.

— Łatwiej nam będzie o pana, niż jemu o królestwo. Szanowała go Ruś i Węgry, bośmy my za nim stali. nie stanie nas, zobaczy czy mu kto da w pomoc by jednego człeka. Niech probuje.

Odolaj milczał, wąsami potrząsając, gładząc głowę.

— Tylkom co jak psów łajał wnuki, że z nim trzymają. Kazałem im ze dworn precz iść. Teraz wam, miłościwi moi, pora prawdę rzec. O pana też nie łączno! Z orężem rzuć, palić i lud nam wyprowadzać przyjdą i Czechy i Ruś i Ugry i Niemcy. jak zobaczą, że gospodarza niema, a ziemie stoją otworem. Szarpać po kawałku będą radzi! Czemu nie! O króla nowego coby z nami wyrósł i do nas przyrósł nie łatwol he! he! Choćby on jaki był, swój jest.

Leliwa, Brzechwa i Kruk głowami potrząsając

milczeli, jakoś im to w smak nie szło, a nie wiedzieli czem zbijać starego, bo i to prawdą było. Pamiętali wszyscy wygnanie Kaźmirzowe, Masławowskie czasy i co naówczas wszystkie ucierpiałły ziemie, a wiara chrześcijańska.

Starzec milczał też jakiś czas odpowiedzi czekając, a potem począł zwolna:

— Co mnie staremu grzybowi do was i do spraw waszych, blisko mi setki. Nie widać ino jak sowa przyleci, na dachu usiedzie i zawoła: Do mogiły! do mogiły! Tymczasem moje Jakuszowice nie z brzegu, zamek się i w burzę ostoi. Mnie zawierucha nie straszna, a no innym!!

Ważcie dobrze, w palce trącajcie, co lepiej.

— I to prawda — mówił Leliwa — uchowaj nas Boże od tego byśmy bez pana zostali! A tak jak jest też nie może być. Dopóki duchowieństwa nie tknął, choć nam głowę z karku zdejmował, co poczynąć było! Cierpielismy, milczeli. Nie dość mu nas, z panem Bogiem i sługami jego wojny mu się zachciało. Biskupi mu są równi, tak namaszczeni jako on, a Rzym nad nim, przeciw nich się nie ostoi.

Drudzy też potwierdzali: Nie ostoi się.

Odolaj nic nie odpowiedział. po długiej chwili oczekiwania dopiero począł sparłszy się na dłoni jakby sam do siebie:

— Krew ci to nasza! bujna! Wojak jest! Jak nie wojuje za domem, doma mu wojny trzeba. Gdyby się z kim miał tłuc zarazby to wszystko ustało. Cała bieda, wojny niema; znajdziście mu swar jaki, zadrzyjcie się na granicy, nie, to wam baby pozabiera, a biskupom czapki z głowy pozdiera. Taka krew! taka krew! I zaraz mu swawola w głowie, a no i Bolko stary, na kobiety był łasy... Ten od mężów, a tamten i z klasztorów Panu Bogu odbierał! Taka krew...

— Co bo mówicie! bronicie go! — począł zgorzony Brzechwa. — Wy stary, a czy to się godzi?

Patrzcie co się dzieje. Mściławowi nie dosyć, że żonkę porwał, jego jeszcze do ciemnicy posadził, że się na zamku śmiał pokazać. Mówią że go stracić mają.

— Do takich spraw — dodał Leliwa — Jastrzębiom służyć się nie godzi. Każcie im iść precz. Kto wie? Gdy i oni i drudzy, a wszyscy go rzuci służbę mu wypowiadając, opamiętać się może.

— Albo chłopów zwoławszy lby im poucina — rzekł stary Odolaj — zawsze to lepiej, niż opaskudzone nosić na karku... A! no!

Przyniesiono miód ów, o którym zapowiedź była. że twardy miał być, w istocie chmielem był mocno zaprawny, gęsty i czarny jak smoła, pili go jednak wszyscy, rozprawiali znówu, a stary przypomniawszy wnuki. które do stała wyprowadził chłopcu ich do siebie pozwać kazał.

Stali już oni, czekając na to pode drzwiami i stawili się natychmiast.

Wobec Leliwy, Kruka i Brzechwy, innym już głosem, starzec im rzekł poważnie a surowo:

— Czas wam w drogę, jedźcie z Bogiem... Mówiłem czego po was żądam. Precz ze dworu ustąpieć macie, albo mi się w Jakuszwowicach ani pokazać więcej, ani nawet na pogrzeb mój.

— A teraz w drogę.

Dobrogost i Ziema przyszli do kolan i do ręki, stary ich pobłogosławił i powtórzył:

— Wszystkim Jastrzębiom to zanieście, taka wola moja.

Wyszedszy z Izbicy, młodzi Boleszczyce, do Tyty jeszcze się szli żegnać, która ich w milczeniu uściskała. Cały dwór żeński, mężczyźni też, parobków i czeladzi dużo, wybiegli na tych wnuków starego pana, tak pięknych, młodych, ślicznie strojnych i zbrojnych popatrzeć. Z czeladzi zamkniętej na

smutnem zamieszysku, nie jedenby był chętnie się do nich przyłączył, bo na ich pacholkach widać było dostatek i swobodę jakiej zażywali. Odprowadzono ich tłumnie do bramy, patrzano za nimi długo, tęsknie, gdy się oddalali.

Milczący jechali czas jakiś, spoglądając na się a głowami potrząsając. Dopiero gdy w las wjechali rzekł Dobrogost:

— Cóż poczniemy? Złe się z panem naszym dzieje! Wszyscy już przeciwko niemu. Choćbyśmy ja i ty starego posłuchali, czyby nam dali wiarę: Bo-
rzywój, Zbilut, Odolaj, Andrek? albo i drudzy? Zechce się to im iść ode dworu? Dokąd? Na ojcowiznie niema co robić, nas dużo, co my poczniemy?

Ziema na to rzekł:

— Albo ja wiem! Co stary mówił, to im odnieść musimy, a radzić będą wszyscy, i co wszyscy zrobią to i my...

— Pan dobry!—dokończył Ziema.

— Dobry on dla nas — westchnąwszy rzekł Dobrogost—a no dla siebie zły... Mało i tak wrogów miał, żeby ich jeszcze robić sobie? Teraz kto popędliwego pana z biskupem pogodzi? Zawre wojna w domu... zawre. Bieda jemu, bieda nam, bieda!

Posmutnieli Boleszczyce.

— E! — mówił dalej pierwszy — zażyliśmy dobrego czasu z nim, musimy i złe przetrwać. Jak go tu rzucić i jemu się sprzeniewierzyć, gdy wszyscy odstępował I pies przecie rannego na polu bitwy nie odstąpi...

Ziema potwierdzał skinieniem.

Złe jest bardzo z nami — rzekł cicho — gorzej niż wy myślicie. Mam na zamku starego księdza który łaskaw jest na mnie, straszne rzeczy mówi.

— Co? — zapytał przysuwając się Dobrogost.

Ziema zadrżał, oczy spuścił, jakby się obawiał nawet wyjawić co usłyszał.

— Król niedawno rozgniewawszy się. biskupowi z zamku precz iść kazał, z ks. Stankiem nie dobra sprawiał odgraża się nań słyszę, że go w kościele kłąć będzie i na próg domu Bożego nie wpuści. Starszszak ksiądz, gdy mówi o tem, łzami się zalewa... Ścisnął mnie zaklinając, abym i ja i moi precz od króla szli, bo z nim dusze pogubiemy. Gdy go wyklną, ktokolwiek z nim trzymać będzie, wyklęty zostanie, na próg go do kościoła nie puszczą, wolno zabić kto zechce... Za to kary niema.

Dobrogost wstrząsł się cały.

— To nie może być, aby się ważył na króla!

— Biskup? — odparł Ziema — ależ on nad sobą nikogo niema tylko papieża w Rzymie i nie lęka się nikogo.

— Nie może być! — wołał Dobrogost.

— Gdy króla wyklną, innego na tronie posadzą — mówił Ziema. Pewnie go już biskup i ziemianie opatrzyli.

— Niel niel — gwałtownie dodał starszy — nie może to być! Król onby śmiał porwać się na niego! Nie znają króla.

— Ale wyklętego wszyscy opuścić muszą — rzekł Ziema — tak mi mówił ksiądz... Cóż poradzi sam?

Zadumał się Dobrogost, a młodszy ciągnął dalej.

— Gdy go wyklną, na głowie wyklętej już korony nosić nie będzie mógł, słuchać go nie zechce nikt. Wezmą Swiatawy syna lub męża, bo się słyszę już i na to zmagają.

Dobrogostowi brwi się ściągnęły.

— I toś już słyszał! Dobrze dzieją się rzeczy, a no i nasz pan nie śpi! Ale trzeba aby o tem wiedział.

Ułakł się Ziema i przyskoczył do brata.

— Czyń sobie jako chcesz. a'le mnie w to nie ciągnij! Ja na nikogo świadczyć nie chcę!

Ruszył na to Dobrogost ramionami.

— Prawdę rzec — dodał — nie nasza to sprawa, ja też palców między drzwi kłaść nie myślę; ale z sobą się naradzić trzeba co poczynąć, bo już nie igraszki to są. O króla idzie i o naszą skórę. Z ziemiany i rycerstwem jeszczeby się pan połagodził, a z bisknpem trudno. Człek to jest żelazny. Wiecie jako do Brzeźnicy raz jechał, aby tam kościół święcił, a w progu domu u Janka z Brzeźnicy co Panu Bogu wystawił kościół, znalazłszy go nie wedle prawa żyjącego z niewiastą, z którą ślubu nie brał przed księdzem, pod jego dachem nawet nocować nie chciał. W słotę na łące bez namiotu całą noc spędził, aż Jan-ko go musiał nazajutrz w nogi całując przeproszać, o ślub prosić i pokutę; dopiero się dał przebłagać i kościół mu poświęcił. Wszyscy owi ze Szczepanova i ojciec jego Wielisław i dziad Ludzie twardzi byli jako on. Król też kamienny jest, gdy się z sobą zetną Bóg jeden wie co będzie. A stanie kto między niemi, najpewniej go zgniotą.

Rozmawiali tak całą drogę aż do noclegu, oba zasmuceni i chmurni: ciążyło im dziadowskie przykazanie i groźby, a miłość dla króla łatwo się go wyrzec nie pozwalała. Ze starym Odolajem nie było żartu, króla też obraziwszy, nie można się było spodziewać przebaczenia. Sami nie wiedzieli jak radzić i co czynić, lecz na to był brat starszy i drudzy Boleszczyce, by coś postanowili. Nazajutrz, trapiąc się myślami całą drogę, do Krakowa się zbliżyli.

Gdy się Wisła i Wawel ukazał z dala, westchnął Dobrogost wspominając na dobre i wesole dni jakiego tu przeżyli i na to co się gotowało dla grodu tego i ziemi. Wjechali na zamek smutni, a czeladzi konie zdawszy. Dobrogost, który długo nic w sobie trzymać

nie lubił, pospieszył do izb które zajmowała drużyna, chcąc zaraz swoich zwołać i niezwłocznie radzić nad tem, co wieźli z sobą.

Zobaczywszy ich z powrotem, bracia i bratanki, wszystek ród, którego przy królu było wiele, gdyż jeden cześnikiem, drugi przy komorze, trzeci przy skarbcu był postawiony, a w drużynie też znajdowało się nie mało; poczęli się gromadzić do przybyłych. chcąc się dowiedzieć czy gdzie u swoich nie byli, i co z sobą niesli. Było bowiem zwyczajem Jastrzębi, że na swobodę się wyrwawszy, zawsze do gwiazd swych, do Jakuszwic, Zborowa i innych dworów zaglądali.

Otaczać ich wszyscy poczęli kołem i pytaniami zarzucać wesoło, ale spostrzegli wnet po Dobrogosta twarzy, iż z niedobłą jakąś wieścią powracał. Do nadchodzącego Zbiluta zawołał niecierpliwie.

— W Jakuszwicach byliśmy, u starego Odolaja, mamy od niego nakaz i polecenie, niechaj się wszyscy nasi zejdą.

Na ten głos natychmiast gromadzić się zaczęli gdzie jeszcze który był, aby dziadowskie usłyszeć słowo. Tymczasem napierano daremnie Ziemię i jego aby mówili, młodszy to na starszego zdawał, a Dobrogost póty się odzywać nie chciał, ażby wszyscy swoi się ściągnęli.

— A cóż ze starym się dzieje? — poczęli żartować niektórzy, czy się jeszcze raz nie ożenił? Zawszeli z Hyżem chodzi i Okiem, a laje i beczceści?

— Toć was musiał obficie obdarzyć! — zaśmiał się inny, bo to wiadoma rzecz, iż szczodry jest wielce, gdy w skórę bić każe...

— Dałże wam choć jeść? — spytał trzeci.

Na te żarciki młodzieży Dobrogost głosem silnym odpowiedział.

— Stulcieno gęby, nie nam na głowę domu wygadywać! Zobaczycie jak postarzejecie czy będziecie go warci! Milczelibyscie lepiej.

Zmiarkowała młodzież, że nie wczas przedrwie-
wać się wzięła i zamilkli wszyscy.

Gdy już izba tak pełną była, że prawie nikogo
z Jastrzębi nie brakło, a na najmłodszych co się
gdzieś w kąty pozaszywali czekać nie myślano, ode-
zwał się Dobrogost, obracając do Ziemy, którego przy
sobie postawił.

— Poświadczy on co ze mną razem był i słuchał,
jako prawdę mówię. Stary Odolaj nałajał nas za to,
że przy królu stojemy, i nakazał aby wszystek ród je-
go precz szedł ze dworu, albo nie to nas za swoich
znać nie chce! Nie posłuchają, — rzekł — to i na po-
grzebie moim, żeby ich noga postać nie śmiała.

Naprzód milczenie długie, a potem krzyk po-
wstał i wrzawa, pierwszy Borzywój przypadł doń
bliżej.

— Toż co jest? — krzyknął — co się staremu sta-
ło? Jakże to może być?

— Ze starości mu się w głowie pomieszało — do-
dał drugi.

— Przez cóż i dlaczego precz iść mamy? — pytał
trzeci.

— Toć to pono odgadnąć nie trudno — rzekł Do-
brogost. — Widzicie co się dzieje, króla wszyscy od-
stępują, ziemian sobie naraził. Biskupa wypchnął
precz i pogroził mu, wszyscy na niego. Chcieliby aby-
śmy i my opuścili pana. Łajają nas, że my mu do swa-
woli pomagamy.

— Myśmy nie kapelani, nie spowiednicy, abyśmy
mu nauki dawali — ozwał się jeden z gromady. Dru-
żyna pańska za naszą głowę idziemy, to nasza po-
winność.

— Mybyśmy go mieli teraz rzucić? — przerwał
inny — dobrego czasu zażywszy z nim, gdy zły nad-
szedł uciekać!!

— Pewnie! — zawołał gwałtownie Borzywój. —
Kiedy nas w złotogłowy odziewał i sypał nam złotem,

kiedy nam z nim dobrze było, mieliśmy służyć, a w złej doli do nory. A co byśmy naówczas byli warci? Stary z Jakuszowic oczy stracił, świata nie widzi, co mu ludzie prawią wierzy, i chce byśmy go słuchali!

Zamilkli wszyscy, szmer tylko słychać było w gromadce.

Odolaj w kącie stojący, spojrział na Borzywoja złośliwie i szepnął półgłosem do ncha sąsiadowi.

— E! e! Borzywojowi bodaj od Krysty ciężiej-by było precz iść niż od króla.

Rozśmiali się niektórzy, Borzywój zdala mu tylko pięść pokazał.

— Będziesz ty mi przekąsywał gołowąsie!

— Prawcieno nie na śmiech a co należy — przerwiał Dobrogost. — Przyniosłem wam wiernie przykazanie dziadowskie. Nie posłuchamy go? wiecie jaki człowiek z niego i co nas czeka... A cośmy wówczas warci gdy nas od pnia jak suche gałęzie odetną? chyba jak susz do pieca.

— Ja mówię tak — z kąta siedzący na ławie daleko ozwał się Bohdaszko Kaniowa — ja mówię tak. Gdybym żonie przysięgał, dochowam wiary, przysięgałbym panu wiary mu nie złamię. gdybym wróblowi na strzesze słowo dał to je strzymam, i koniec.

Drudzy szmerem to potwierdzali, część milczała, zafrasowanie widać było na wszystkich twarzach.

— Kto chce, czyja wola, niech idzie od króla za parobka od Jakuszowic — rzekł Borzywój — ja nie pójdę. Dziada szamuję, ale gdybym dziś do niego wrócił i garści słomy mi nie da, a trzeciego dnia i od miski odpędzi; jam tu ojca znalazł i z nim trwam. Były dobre dni, żyło się z nim, nastaną złe, i te przeżyć trzeba, kto śmietanę zbierał, niech i kwaśne mleko wypije.

Dobrogost targał młodą bródkę milczący.

— Ja wam powtarzam to co mi kazano, stary wszystkim ze dworn precz iść każe.

— Co ty uczynisz?—spytał Andrek.

— No, a ty?—odparł Dobrogost.

Wszyscy się wachali, jeden Borzywój powtarzał śmiało.

— Co będzie to będzie—ja z nim.

— A jak się nas wyprą swoi? — spytał Zbilut po cichu spoglądając ku niemu.

Nikt nie odpowiedział; w tem Bohdaszko z ławy począł znowu.

— Kłaniali się i prosili, aby nas do drżyny przyjęto, król łaskaw, przygarnął, teraz inny wiatr zawiał—każą iść precz. Kto w państwie gospodarz! ja nie wiem, mnie się zdaje że król, i jego słuchać trzeba.

Nie chcąc wszystkiego głośno wypowiedzieć, Dobrogost Borzywoja wziął do kąta i dopiero mu na ucho szepnął, co od księdza doszło, że na króla klątwę rzucać miano, kogo innego na tron pozywać i t. d.

Starszy choć się namarszczył słuchając, nie wiele to sobie znać ważył, bo wciąż głowę, niedowierzając potrząsał. Dał Dobrogostowi wypowiedzieć wszystko, ale go to nie tknęło.

— Albośmy mu drnhami i družyną—rzekł—albo najemnikami. Gdy pan tonie najmit siebie ratuje nie jego, druh się rzuca w wodę za nim, choćby sam miał utonąć. Najemnikami chcecie być?—ja nie.

Moja rada, wszystko mu wyznać, nic nie taić, co on każe uczynić. Im większa groza nań, tem na nas sromota cięższa, gdy go opuścimy ze strachu. Toć jak w bitwie! Zajęczych skórek byśmy warci byli, gdybyśmy uszli.

— Tyś tu starszy—ozwali się inni do Borzywoja, ty nad nami stoisz; co rzekniesz, uczynimy.—Rozkazuj, spełnim...

— Rozkazuj! — powtórzyli inni tłumnie — rozkazuj!

— W miejscu stać! to rozkazanie moje — rzekł Borzywój. Pouciekali od niego z Kijowa, jedni ze strachu parobków i czeladzi, drndzy ze strachu biskupa preczby isćby mieli—a no srom na nas wszystkich—by padł.

Nie — nie — ani ja ani wy tego nie zrobicie!! Niech stary Odolaj burczy na nas, dobrze mu zdala rozkazywać—posłuchać nie możemy. Niechby nas byli na dwór nieoddawali.

A teraz — dodał Borzywój — oglądając się dokoła—każdy w swoją drogę, nie mamy się tu co zmawiać ani nad czem stękać. Na rady mamy czas, jestli tu o czem jeszcze radzić? Nic w szyję nie pędzi. I parobek od gospodarza nie odchodzi nocą bez opowiedzi.

Na tem się skończyło. Zaczęto się w kupki zbierać gwarząc już o czem innem, szczególnie o Jakuszowice i o dziada dopytując, bo choć z niego żartowali, każdego z nich do starego gniazda coś ciągnęło.

Wiązały ich z tym kątem tajemnicze nici co każdą istotę łączą z ziemią, która ją zrodziła i młode wypiastrowała lata. Ci co tam częściej bywali, dowiadywali się o starca, o Tytę, nawet o Hyżę i Oko; o izbicę jak teraz wyglądała, stare wały, szopy i wszystkie zakamarki starej rodzinnej siedziby. Ci co zabyli Jakuszowice, przysłuchiwali się też uważniej, ciekawi jak to tam było, i jak stuletni dziad ślepy rządził się na swem śmieciisku... Życby może z nich żaden tam nie potrafił, ale zajrzeć chciało się każdemu.

VI.

Chociaż wszystko dokoła srożyło się nań i wrzało niechęcią ku niemu, król wcale się nie zdawał widzieć tego, ani zważać na to. Życia na włos nie zmieniał, obyczajowi się swego powszedniego nie wyrzekł, i naprawdę czy dla oczów ludzkich wesół się zdawał. Jakby sobie lekcewazył wszystko.

Nawet po rozmowie z biskupem, która go zrazn we wściekłość wprowadziła, wprędce chmurę spędził z czoła, dworowi kazał się zabawiać huczno, tak, by i na zamku i poza wałami wesele słychać było, i żeby wszyscy wiedzieli, że około króla troski nie siedzą. Czesnicy i komornicy mieli przykazanie, aby dostarczali dworowi, czeladzi, drużynie, gościom, czegokolwiek zapragną.

Czasem mu się nsta zcięły i czoło namarszczyło, gdy sam jeden pozostał, ale sam nie chciał być prawie nigdy, dwornię swą liczną i młodzież gromadząc około siebie. Tym kazał to się bić, to biegać, to konie ujeżdżać, to łuków próbować, i nagrody rozdawał. Gości obcych na zamku i teraz do stołów Bolesławowskich mało się zjawiało, chyba ziemianie z odleglejszych krajów, do których jeszcze o sprawach króla słuchy nie doszły.

Miejsca gości wypełniali ludzie wojenni, a z Rusi też i Węgier dosyć napływało różnego zgiełku, takich zwłaszcza co znając szczodroblivość królewską, więcej do skarbcza niż do niego ciągnęli.

Najwięcej takich bywało, co niby dary mu osobliwe przynosili, konie niebywalej szersci, zwierzęta różne, oręż misterny, za który Bolesław w dziesięciopro zawsze obdarzał, choć mu się to na nic nie zdało. Dla tych przybyszów rano już zastawiano stoły, a wie-

czorem drugie, które podczas i do późnej się nocy przeciągały, bo król szczególnież owe nocne uctowania lubił i przy nich najlepsze był myśli.

Dnia tego gdy Dobrogost z Ziemią wrócili, Borzywój przed wieczorem wszedł do izby królewskiej. Zastał pana ze psy swymi się zabawiającego, jakby mu wcale nic nie ciążyło na myśli.

Że pora była niezwykła, popatrzał nań król, i z twarzy coś wyczytawszy odezwał się:

— Czego ci tam brak? mów, pewnie o co prosić przyszedłeś?

— Miłościwy panie — do nóg mu się skłaniając odparł Boleszczyc — z łaski waszej mamy dosyć wszystkiego — nie potrzeba mi nic.

— A cóż cię tu przygnało?

— Może jakie rozkazanie mi dacie? — odezwał się Borzywój.

— Żadnego — rzekł król. — Bracia twoi powrócili?

— Wrócili, miłościwy panie.

— Co z sobą przywieźli?

Borzywój się zawahał.

— Kędyż bywali? pewnie i o jaki dwór zaczępili? co mówią?

— Albo to tam słuchać co prawią ludzie — rzekł Boleszczyc. — Zajeżdżali do starego dziada naszego. to zgryźliwy człek.

Rzucił król okiem bystrem.

— Praw — rzekł krótko — nie trzymaj co masz za pazuchą.

— Nic innego tam nie mówią nad to, co po Krakowie chodzi, miłościwy panie. Ludzie stękają, burczą, nigdy temu co jest nie radzi. Ziemianie skarżą, że łaski u was nie mają; a co ksiądz biskup tu szepcze po cichu, tam się głośno rozlega.

— Wszystko ja to wiem — odezwał się król — i więcej może niż wy. Pewnie już tam biskupia kłą-

twoja i odgróзки poszły między ludzi: i że Czecha na mnie chcą sprowadzić!!

Założył ręce na piersiach i uśmiechał się obojętnie.

— Prawda?—spytał milczącego Borzywója.

— Tak ci jest—potwierdził przybyły.—Trwoga nas obejmuje, szczególnie od biskupa i kościoła...

— A ja — rzekł król — ani kościoła, ni waszego biskupa się nie boję.

Rozśmiał się pogardliwie.

— Niechże mi otwartą wojnę wypowiedzą, zobaczą, co mogę. Ale po kątach szepczą, odgrają się, zawiązają, a wystąpić nie śmieją, bo wiedzą, że gdy mnie w gniew wprawiają, nie będą patrzył kto przeciw mnie stoi!

— Oni już tę wojnę wkrótce zapowiadają—szepnął Borzywój. — Biskup się z kłutwą nosi. A! miłościwy panie—dodał, do nóg się skłaniając—z biskupem jednym gdybyście zgodę chcieli uczynić, reszta nam nie będzie straszna.

Król go z niechęcią odrzucił.

— Co ty rozumiesz, młokosie!—zawołał.—Patrzże na mnie czy ja się go lękam. Biskup ten poddanym mi jest jak inni ludzie tej ziemi. Ojciec jego Wielisław ziemianin był tuteczny, ojczycem jest jak wy, a nie Włochem i Francuzem. Choć i Włochy biskupi, gdy na mej ziemi siedzą, słuchać mnie muszą. Wiem, że z pod mej władzy wybićby się chcieli i nademną panować!! Ale nie! nie dam im tego.

— Koło biskupa i ziemian też dosyć—rzekł Borzywój nieśmiało...

Król rozśmiał się, ramionami rzuciwszy.

— Więcej mam ludu co jest ze mną, niż tych rąrogów co przeciw mnie... Żołnierzy i was stanie mi na ich poskromienie.

— Z rycerstwa dużo odpadło — odezwał się Borzywój.

— Znajdą się drudzy na ich miejsce — zawołał król dumnie.

Borzywój zamilkł, a Bolesław, którego oczy czasu rozmowy rozgorzały. popatrzał nań i śmiejąc się po ramieniu go poklepał.

— Idź i bądź spokojny — króla twojego nie łatwo kto zmoże. Niech komary bieżą, opędzimy się im, byleśmy chcieli.

Bolesław odwrócił się, na psy swe zaświstał i zabawiając się z niemi, zdał zapominać o rozmowie.

Lecz dzień to był, w którym spoczynku mu nie dawano. Zaledwie Borzywój odszedł, gdy rusin stary podkomorzy królowej wszedł z pokłonem, opowiadając, że królowa matka i królowa pani jego, czołem były panu, a prosiły go, aby im miłościwie dał widzieć swe oblicze.

Dosyć posępnie wysłuchawszy wezwania tego, król ręką tylko staremu dał znak żeby szedł, nie dając nawet odpowiedzi. Odwrócił się od niego i ze psy zabawiał znowu, aż nierychło przypomniawszy poselstwo matki i żony, z niechęcią jakąś ociągając się ku terenom, które obie królowe zajmowały, pociągnął opieszalym krokiem.

W drugiem oddzielonem podwórzu stara Dobrogniewa, obok żony króla, wiodła życie odosobnione i ciche. W tej części zamku na pierwszy rzut oka poznać było można różnice dwu dworów i otoczenia, gdyż sami niemal Rusini i rusianki, służbę obu pań składali.

Dwie królowe, z których jedna była wdową, obie niemal wdowie prowadziły życie. Rzadko się mogąc synem pocieszyć, bo ten się w terenach niewieścich mało ukazywał. Dobrogniewa wnukiem się cieszyła i synową, z którą razem Ruś swą mogła wspominać.

Królowa, żona Bolesława, ani młodą już bardzo nie była, ani piękną. Wzrostu wyniosłego, jasnych włosów, oczy zdawała się mieć jakby wypłakane,

twarz jakby zateśknioną. Smutek wielki wiał z całego jej oblicza. Chodziła zawsze prawie ubrana jednako, milcząca, w szacie jedwabiem pokrytej, z głową zawiązaną, rąbkami białymi — jakby nieprzytomna, duchem goszcząc gdzieindziej. Całą pociechę, całym jej życiem był synek jedyny, którego od boku swojego nie opuszczała na chwilę — albo ona, albo stara Dobrogniewa były z nim ciągle, otaczając go troskliwością nieustanną. Dziecię chowało się tak pieszczotliwie, osłaniane od wszelkiego wpływu męskiego, tak, że mu na ojcowskie zabawy, dwór, biesiady patrzeć prawie nie dopuszczano. Gdy się czasem Bolesław upomniął o Mieszka, stawiała w obronie słabego wychowanka babka Dobrogniewa, padała do nóg panu Wielisławowi, błagając, aby go im jeszcze rok tylko, jeszcze pół roku, jeszcze choć krótko zostawił, bo dziecię słabe było, bojaźliwe i nieśmiałe.

Chłopak też w istocie w obec ojca szczególnie trwożliwie się stawił; z twarzy piękny był, blady, tęskny od matki i babki przejętymi smutkami, a na twarzy jakaś przedwczesna dojrzałość roztropna, wczesny skon zdawała się zapowiadać, w ciepłe macierzyńskich uścisków rozwiniętemu kwiatkowi.

Tu w tych „teremach“ dwóch królowych, ciche tylko słychać było śpiewy, pobożne pieśni, stare basnie o dalekich krajach, życie płynęło jednostajnie, spokojnie. Jak u króla luczno zawsze bywało i hałaśliwie, tak tu milcząco a cicho.

Z chmurą na czole pomarszczonem i wejrzeniem wstrętu i odrazy wkroczył król do dworca żony, która, jak go tylko zobaczyła idącego zdaleka w podwórce swoim, wyszła z izby, wiedąc syna za rękę i stanęła w sieni pokornie, aby go powitać. Bolesław szedł milczący, a zbliżywszy się i ujrzawszy ją kłaniającą mu się do nóg, a dziecię cisnące się po ukłonie do ręki, ledwie okiem roztargnionem rzucił na oboje i wszedł do świetlicy.

Tu w progu nań z pokłonem oczekiwała matka stara, ku której zbliżył się z poszanowaniem. Dobrogniewa niespokojnem obejmowała go wejrzeniem, chciała wyczytać z twarzy jego troski, wywołać słowo, lecz król ledwie ciche pozdrowienie wyszepnął. Stara pytać go inaczej jak oczyma nie śmiała.

Niewieścia pokora nie dopuszczała naówczas nawet matkom, zbytniej z dziećmi ponalości.

Izba, do której wszedł król, a za nim żona i syn, pachniała kwieciami, i ziołami rozsypanymi po podłogach, przyozdobiona była bogato, obraz grecki złożony wisiał w rogu jej, z lampą przed nim zawieszoną. W mieszkaniu tem odbijało się życie i obyczaj tej co je zajmowała. Wszystko tu stało w wzorowym porządku, w miejscu oznaczonem, nic nie zamącało ładu, jaki spokojowi żywota niemal klasztornego, był potrzebny. Nawet jedwabne kłębuszki na krosnach rzędami poukładane, nie śmiały się na bok odroczyć. Naczynia, sprzęty, opony, miały postać skromną, posłuszną i zamarłą. Nic potarganego, rzucanego, zapomnianego nie wabiło oka, wszystko było w zgodzie z sobą i jak dla siebie stworzone. Twarz też i postać królowej zdała się wyrosłą z tego tła ciszey, na którym się malowała. z bladym swojego smutku wyrazem.

W izbie tej tylko modlić się. pracować i tęsknić było można, wesoły śmiech byłby w niej świętokradzkim, jak w kościele.

Gdy weszli, królowa matka ujęła Mieszka, ucałowała go, szepnęła mu coś i wywiodła go za oponę do bocznej komory. Chłopak posłuszny, choć wejrzeniem bojaźliwym a ciekawym zwracał się ku ojcu, dał się skryć i zniknął. Babka w pewnem oddaleniu pozostała jakby na straży, z oka nie spuszcżając Bolesława. Oblicze miała strwożone i ręce się jej mimowolnie jak do modlitwy składały.

W chwili, gdy Mieszko wyszedł, królowa Wieli-

sława z trwogą spojrzawszy w oczy paau swemu, upadła mu do nóg — Bolesław jakby zniecierpliwiony cofnął się krok. Ręce białe, wychudłe wyciągnęła ku niemu królowa, usiłując objąć stopy, i podniosłszy głowę, mówiła cicho:

— Miłościwy panie a królu — choć słabą jestem niewiastą, racz mnie posłuchać: Tyś panem mocnym, wszystkowiednym—ja ubogą sługą twoją...

Stara Dobrogniewa słuchała z twarzą zwróconą ku synowi.

— Co chcecie? — przerwał król głosem dosyć ostrym—mówcie...

— Mam was, miłościwy panie, prosić o łaskę wielką — ciągnęła dalej Wielisława, podnosząc się zwolna i stając przed nim w postaci pokornej, z rękami złożonemi na piersiach. — Al królu, trwoga aż tu doszła do cichego teremu! Bojemy się o ciebie! Biskupi i kapłani zagniewani są, rycerstwo odstępuje, pogroźki się rozlegają—strach ogarnia serce nasze; płacze matka twoja, ja lży leję, bojemy się o głowę twą i o losy dziecka twojego... Królu z kościołem pokój uczynicie.

W tem przystąpiła stara Dobrogniewa i po ramieniu zlekka głaszcząc syna, złamanym, płaczliwym głosem dodała:

— Bolku, panie mój, dziecko moje... Boga bój się—sługi jego szanuj, nie gub duszy i ciała!

Król ramionami dźwignął niecierpliwie i śmiał się, ale dziko i straszno.

— Co wy baśni babskich w teremie słuchacie?—rzekł — czyż nie wiecie, że siłę miałem i mam, że mi żaden nieprzyjaciół nie był straszny i nikogo się nie lękam. Spijcie, módlcie się i śpiewajcie sobie spokojnie, kołyszcie synaczka, zabawiajcie go, a mnie zostawcie troskę o naszą dolę. Popów i ziemian. gdy będzie trzeba, rozumu nauczę...

Stara Dobrogniewa ze strachu piasnęła w ręce

i załamała je, spojrzała na obraz Bogarodzicy w kącie, jakby jej opieki na pomoc wzywała, lecz synowi się już sprzeciwiać nie śmiała.

Wielisława okazała się mężniej — czuła, że stała w obronie losów dziecka swojego.

— Miłościwy królu! Z biskupem wojna, to wojna z Bogiem. Ulituj się nad sobą i nami! Gdzie wojska potrzeba i męztwa. tam wy silniejsi nad wszystkich mocarzy, tam wy niezwyciężeni — a przeciw nim...

Dobrogniewa położyła mu znów rękę na ramieniu i szepnęła jedno słowo tylko po rusku:

— Zmiłuj się! zmiłuj!

Król się poruszyć wcale nie dał, usta mu drgały przymuszonym śmiechem. a czoło się fałdowało.

— Ej. matuszko kochana — odezwał się naprzód do starej Dobrogniewy niby wesoło — coby na was dziś przyszły za strachy!! Każcie sobie dziewczkom stare pieśni spiewać, aby wam serce urosło!

Zwrócił się do Wielisławy:

— Nie trujcie sobie spokoju marnemi baśniami, a chowajcie zdrowo syna, aby mi mężniej rósł na wojaka nie na babę. Szyjcie w krosnach złotem. a o mnie się nie troskajcie! Pomnijcie, że jakom żyw, nikt mnie nie zmógł nigdy, a ja zmogłem wielu, i boją się mnie wszyscy. Kto się mnie nie lęka dziś, ten się zleknie jutro...

Królowa spojrzała nań oczyma błagającemi, lecz surowy wzrok jego zamknął jej usta. Dobrogniewa też głowę spusciwszy, stała jakby z rozpaczywszy zadumana głęboko.

Król począł się po izbie przechadzać milczący, oczy obu niewiast goniły za nim, ale odezwać się żadna z nich nie śmiała. Z głową pochyloną, poprawiwszy swoich rąbków, tak, aby jej oczy, a może lzy co z nich biegły, zakryły — stała Wielisława pokorna jak pierwsza służebnica swego pana; stara Dobrognie-

wa śmielej nieco spoglądała ku niemu, lecz i dla niej był on więcej królem niż dziećciem.

Bolesław zbliżył się ku niej z zapytaniem czy nie potrzebowała czego, czy ludzie byli posłuszni, czy posługi nie brakło, czy miała pozdrowienie od swoich? Z czułością ręce ku niemu wyciągnąwszy dziękowała staruszką i poczęła go błogosławić, ale łzy jej przerwały mowę. W tej chwili przez uchyloną nieco zasłoniętą wyjrzał Mieszek, na którego babka skinęła i wbiegł chłopak, stając przy niej na oczach ojca.

Bolesław spojrział nań, rękę, po którą dziecko sięgnęło, dał do pocałowania i zabrał się do wyjścia. U drzwi żegnała go pokłonami królowa i przeprowadzała długo oczyma smutnemi.

Szybkim krokiem wybiegł Bolesław z niewieskich teremów, w których mu ciężko było oddychać; lecz dzień to był, co mu nie dawał chwili spokoju. Na drugim podwórku, do którego furte pacholę mu otwarło, ujrzał orszak przybyłych. na widok którego zatrzymał się, nie okazując wcale, by mu był miłym.

Skromnie odziany dwór otaczał właśnie z konia zsiadającego mężczyznę młodego jeszcze, którego twarz, acz braterskie z królewską miała podobieństwo, różniła się od niej wyrazem skromności, łagodności i pokory niemal lękliwej.

Gościem tym był Władysław Herman, młodszy brat Bolesława. Poznał go zdala król i nie mógł się wstrzymać od ruchu, który niecierpliwość i prawie niechęć oznaczał.

Rzadko, bo też dwu rodzonych braci mniej z charakteru do siebie bywa podobnych. Na twarzy Bolesława malowała się duma szczęśliwego zwycięzcy, na Władysławie potulna dobroć i bojaźliwość. Władysław nad miarę pobożnym był, rycerskiego ducha mało miał w sobie, spokój miłował, ludzi się lękał, a dla brata miał razem i cześć wielką i obawę nieznmierną, znając gwałtowny jego charakter. Bolesław

brata sobie lekceważył, czasem się z jego trwożliwości i pokory wysmiewał, i niekoniecznie rad mu był na swym dworze, bo Władysław do jego obyczajów i wrzawy co go otaczała nie umiał, a raczej nie mógł się zastosować.

Niespodziewane pojawienie się Władysława, którego król nie oczekiwał, zaniepokoiło go i chmurę widoczniejszą jeszcze na twarz ściągnęło. Wiedział, że nie przybywał z próżnym pokłonem, ale pewnie w jakiejś sprawie, a znając jego pobożność i uległość duchowieństwu, przeczuwał już co mu przynosił. Wszelki doradzca był mu nie miłym, wszelka rada go obrażała i jątrzyła. Gniewny niemal wystąpił na przeciw gościa. Na widok króla zdala zdjąwszy sztyk z głowy, Władysław szedł ku niemu pokornie, jak ku panu a starszemu bratu. Powitali się z sobą w przedsienu, a ze zbliżenia się widać było, iż stosunek co ich łączył, braterskim wcale nie był. Władysław trwożliwie stał przed nim. Bolesław obchodził się z nim po królewsku.

— Rad wam jestem — rzekł król, zmuszając się do wesołości — pustki u mnie na dworze, przynajmniej ty i ludzie twoi trochę mi gwaru przyniesiecie. Przybyłeś w dobrą porę, będziemy dobrej myśli zażywać!

Władysław zdziwiony tą wesołością, której się nie spodziewał, oczy w niego wlepił ciekawe, niedowierzające. Król tymczasem żywo się zawróciwszy prowadził go za sobą nie do sypialni, ale do komnaty, królewskiej (w której biskupa przyjmował) i tu go na poczestnem miejscu posadził. Jawnem dlań było, że Władysław o wszystkim wiedzieć musiał. Nlękł się i jechał z prośbami, aby gniewy i niechęci załagodzić. Wołał więc odrazu sam zagaić sprawę i nie dać się nad nią bratu rozwodzić.

— Widzisz — rzekł — pusto u mnie! Rozpierzchnęło się co było tchórzów i zdrajców, których karcić mu-

siałem, a ci na mnie klechów spuścili z łańcucha, i biskupi ujadają za mną, jak za dzikiem w lesie. Będą łowy nie lada! Rozśmiał się.

— Nie próbowali kłów moich!—dodał.

Władysław milczał, okazując trwogę na twarzy, zmieszano go to nagłe rozpoczęcie rozmowy.

Spojrzał nań król.

— Cóż ty na to? bracie?

— Ja? — spytał cicho Władysław — ja? ty znasz mnie! wolalbym żeby i łowów nie było i kły się nie potrzebowały ostrzeć.

— Ty babą byłeś i jesteś — przerwał Boleśław. — Z ludźmi głaszcząc nic się nie robi, chłostać ich trzeba, żeby niemi orać!

Podniósł pięść do góry i oczy mu zaświeciły.

— Panuje się siłą a nie prośbą!—dodał.

— Duchowieństwo! — westchnął Władysław — to gorzej niż wojsko najpotężniejsze... Sam cesarz musi mu ulegać! Inna rzecz z poddanymi. Jesteś królem koronowanym, masz władzę, możesz karać naj-surowiej tych, co ci przewinili — ale — duchowni! biskupi! a! bracie mój!

To mówiąc, złożył ręce i zamilkł nagle. Boleśław przystąpił doń, po ramieniu go uderzył, usta mu się wydeły pogardliwie — śmiać się począł.

— Duchowni są moimi poddanymi jak inni — zawołał król. — Dwóch panów na jednej ziemi rządzić nie może, jak dwa wilcy się zajedzą.

Władysław umilkł znowu, złożył ręce, wzdychał. Król powiedziawszy te słowa, czekał, aby się odezwał i stał przed nim z wyzywającą, szyderską twarzą.

— Królu mój a bracie kochany — odezwał się w końcu Władysław — mnie o ciebie niewysłowna ogarnia trwoga... Wiesz jaki los spotkał cesarza i jak o przebaczenie błagać musiał, ten sam grozi tobie.

— Przecież ja nie z papieżem, co jest głową chrześcijaństwa mam do czynienia — rzekł Bolesław — ale z jednym kleką, co się tu na tej ziemi urodził i poddanym jest moim jako i drudzy.

— Mylisz się — odparł Władysław łagodnie — księża choćby się rodzili na tej ziemi, nie są poddanymi twoimi, ani ojczykami tutejszymi, są poddanymi papieżowi i Rzymowi. Wprzód wienni posłuszeństwo swemu panu niż tobie. Tkniesz ich tylko, naówczas co jest księży po szerokim świecie, wszyscy powstaną przeciw tobie, przeciw nam. W każdym biskupie papież jest, bo z nich każdy od niego ma daną władzę i poselstwo.

Bolesław roztargniony słuchał, nie wiele bacząc na te słowa.

— Mówiłem ci — dodał silnie — dwu wilków w jednej kniei się nie godzą, zażrec się muszą! Kto na mojej ziemi mieszka, ten mnie słucha, kto mi się oprze — temu łeb spada.

Władysław zadrżał słysząc to i uszy rękami osłonił, jakby się samych uląkł wyrazów.

Król począł chodzić po izbie i mówił jakby sam do siebie.

— Grożą, że mi zamkną drzwi kościoła? Biada temu co to będzie śmiał uczynić, i do walki mnie wyzywać! — Nigdy ja od bitwy żadnej nie uciekał, anim się uląkł, ani pierzchnął — nie cofnę się i teraz, Biskup zdrajcą jest! — Przeciw panu swemu ukoronemu zmawia się z Czechami i wykławszy mnie, na tron ich chce prowadzić — już za to śmierci godzien...

Władysław gwałtowną mową strwożony, przybity, ze spuszczoną głową, jak człowiek przywiedziony do rozpacz, pogrążony siedział, z oczów mu łzy płynęły. Widział że ani on, ani w świecie nikt Bolesława powstrzymać nie potrafi; następstwa tej walki stały mu się w myśli z całą swą okropnością.

Bolesław spojrzawszy nań, jakby litość miał nad słabym, natychmiast zmienił ton mowy, zaczął się śmiać, i za oba biorąc go ramiona, strząsał nim z całej siły.

— Niekwap się ze łzami gdy ja się śmieję! — zawołał. Ani ci o tem myśleć, ni tem sobie serce psować... Lich niech porwie wszystkich klechów i zdrajców!

Nie dbam o nich wszystkich, dopóki żelaza kawałek w dłoni mam, i kupkę druhów koło siebie. —

— Chodźmy wieczerzać i weselić się.

Władysław wstał strwożony.

— Bracie! — Począł za rękę go chwytając.

— Wszystkoś już powiedział co ci trzeba było. zagrmiał król. — Dość tego. chybaś nie chciał mówić o jakiej pięknej niewieście, co by od mojej Krysty, i od twojej Hanny piękniejsza jeszcze była.

Zarumienił się Władysław, a Król dzikim ale hałaśliwym śmiechem się odezwał. Nie można już z nim rozprawiać było.

— Ani mi się waży więcej mówić o tem — dodał Bolesław, ciągnąc bladego i wylękłego do wielkiej izby, w której cały dwór świetny i družyna, przy zastawionych czekała stołach.

Przepych i obyczaj przypominał dwór Bolesława Chrobrego, którego pamięć czcili jego imiennik. Na czość przybyłego królewskiego brata, wszyscy urzędnicy poprzywdziewali szaty swe najpiękniejsze, najkosztowniejsze pasy, łańcuchy, szłyki i szuby. — Błyszczały na niektórych zbroje i u boku każdego miecz. Pięknie dobrana młodzież ze śmiejącemi się twarzami, rażna i wesola, pacholeta w jedwabie strojne, wojacy czeladź nawet poprzybierana wykwintnie, dwór czynili nad wyraz wspaniałym. Ze skarbcza też dobyte naczynia złote zalegały stoły, a dostatek jadła był niezmierny. Wszystko aż do gromady psów tłustych,

z szerszą lśniącą, która też na ucztę czekała, świadczyło o bogactwie i potędze pana.

A że z Rusią, Grecją, z Węgrami i Niemcami stosunki były mnogie, w strojach i uzbrojeniach widać było obyczaj różnych narodów. Dnia tego nie ukazały się wcale niewiasty, bo królowa stara i młoda przychodziła rzadko, a bez nich i inne wstydziły się lub obawiały zasiąść do stołów, gdyż i król i dwór jego, zbyt sobie swobodnie poczynął z nami. Tych tylko kwiatów brakło do ubrania stołów królewskich.

Władysław usiadł przy bracie, pokorny, strwożony, z oczyma spuszczone, wszystkich bić musiała w oczy ta między dwu rodzonemi braćmi różnica.

Siedzieli przy stole prawie milczący, rzadko cichym słowem odzywając. Król o psach, sokołach, łowach i o płochych rzeczach zagadywał, śmiejąc się i rozglądając do koła. Władysław mało co w usta wzięwszy, pochmurny, odpowiadał tylko na pytania.

Po krótkim posiedzeniu, nagle król kazał sobie podać misę, wodę i ręczniki, obmył ręce i pozostawiając brata ze swym dworem, wstał. Wyszedł sam na podwórcę zamkowe.

Mrok już był i cisza panowała wieczorna. — Zobaczywszy że kilku Boleszczyców wyszło za nim, król ich ręką nazad do izby odprawił.

Domyślili się że do Krysty szedł pewnie, i tak było w istocie.

U węgła dworca dwu ludzi czekało na jego skinięcie — król im dał znak a sam krokiem powolnym skierował się do dworca Krystyny.

Gdy król nadchodził, siedziała jeszcze pani z Bużenina w oknie otwartem, kwiatek trzymając w ręku, smutna i zapłakana. Postrzegłszy go krzyknęła jak przebudzona i do drzwi przeciw niemu biegła.

Bolesław wszedł, tak chmurny jak u stołu sie-

dział, podbiegającą ku sobie pochwycił w pól, do góry uniósł w silnych dłoniach, pocałował w schyloną ku sobie głowę, i miejsce wskazał na ławie przy sobie.

Nie była to zwykła ława na której siadali, n drzwi komory. Krysta tam gdzie było miększe i szersze siedzenie prowadzić go chciała, ale się jej oparł, obrał dziś miejsce naprzeciw wniścia do komory; musiała być posłuszną.

— Cóż z tobą królowo moja? zapytał.

— Co z panem: królem moim?

— O! Pan, gniewa się i sroży... Miecz mu w pochwach rdzewieje—bić się czas! Dłoń drętwieje, męztwo słabnie... Wojny trzeba.

— A! a! wojny! westchnęła trwożliwie tuląc się Krysta.

— Bez wojny życia niema! mówił król.—Mysmy wojacy, jak się nie bijem to gnijem.

To mówiąc i szelest słaby usłyszawszy w komorze sąsiedniej, której drzwi nchyliły się nieznacznie—objął Krystę w pól, a białe jej ręce na szyi króla zawisły. Głowę położyła na jego ramieniu i pięknym, śpiewnym głosikiem poczęła.

— Pan mój wzdycha tylko do wojny — co my wówczas bez niego poczniemy! Chyba z królem iść na wojnę. Na wojnie pan nowe sobie kochanki zdobędzie, a o starych zapomni.

— Ej! wy jeszcze prędzej o nas — byleśmy za wrotami byli—począł król. Kto was zna i wie? Albo bym ja ręczył że wy teraz jeszcze nie dumacie o swoim Mścisławie.

— A! królu, panie! krzyknęła Krysta głośno—ja, o nim! toć mnie za jego siłą mocą wydali! a czem on dla mnie był, chyba strachem! Jak go wspomnę jeszcze po mnie dreszcz przechodzi.

— A ludzie wciąż donoszą i gadają, że Krysta za mężem płacze.

— Ja? za nim! bodaj tak świat widzieli! zawołała Krysta—i plunęła gniewnie na podłogę.

Niewidziała że przed chwilą z cicha się drzwi komory otwały, a w nich przez dwóch parobków silnych trzymany i powrozami związany, stał mąż jej, Mściśław wszystko widział, słuchał wszystkiego.

Tak król chciał.

Biedny człek odziany był jeszcze w tę samą prostą sukmanę, w jakiej go wzięto, w brudnej ciemnicy zwała się ona i szarzała.

Włosy miał słomy z barłogu pełne, twarz czarną i osmoloną, oczy w niej tylko świeciły straszne... Słuchał wyroku na siebie nie wydawszy jęku.

Krysta spostrzegłszy go teraz dopiero, domyśliła się, poznała, i przerażona. z krzykiem rzuciła się do króla, obejmując go, jakby u niego szukała opieki.

Bolesław śmiał się z wyrządzonej psoty...

— Patrzże!—krzyknął do Mściśława—nie masz się po co niewiernej żony dobijać. Słyszałeś co mówiła! Kazałem cię tu przywlec abys sam patrzył i słyszał.

Idźże teraz precz, w świat, z moich oczów, a nie musz mnie bym się krwią twoją zmaszał. Słepia ci nawet zostawiam, abys powodyra nie potrzebował.

Mściśław stał jak osłupiały—kilka razy się targnął, jakby ludziom trzymającym go, wyrwać się starał, ale silni pachołkowie z miejsca mu się ruszyć nie dali.

Krysta pobiegła skryć się do kąta. Zakryła oczy i drżąc płakała ze strachu.

Wolnym krokiem król oczyma go mierząc zagniewanemi zbliżył się do więźnia.

— Idź na skręcenie karku—rzekł—idź a nie pokazuj mi się na oczy. Idź! — Wiesz że tu powracać nie masz po co. Życieś mi winien, mogłem ci je wzać, niktby za tobą nie rzekł słowa. — Daruję ci je, bo robaków nie duszę...

Precz!

Skinął na pacholków.

— Za bramę go wywieść i wyrzucić! — Krzyknął. — Stróżom go dobrze pokazać, niech mu w ślepią zajrzą, jeżeli się do zamku na staję zbliżyć ośmieli, niech go jak psa zabiją.

Odwrocił się król. Pacholkowie już go ciągnęli za drzwi, wlekli przez sieni, na podwórze. Gniewem, boleścią, więzieniem i głodem osłabły Mściśław, choć mu usta drżały, słowa wymówić nie mógł, nie miał siły się opierać. — Niewierność Krysty była dlań ciosem śmiertelnym. sam widział, słyszał z ust jej czem był dla niej—widział, słyszał i uwierzyć nie mógł, nie chciał.—

Zaledwie był w dziedzińcu, gdy szła ten co go do płochy niewiasty wiązał, już kłam zadał oczom i uszom. Mściśław mówił sobie iż Krysta umyślnie miłość oświadczała królowi, aby jemu ocalić życie!

Trudno. niepodobna mu się jej wyrzec było. Myśl ta wróciła mu siły...

Nie szczędząc razów i popychania pacholkowie najgrawając się ciągnęli go ku wrotom. Pokrzykiwali, śmieli się, pokazywali go przechodzącym, powtarzali groźby pana, dodając do nich bezkarne, bo Mściśław związane miał ręce, kułaki i kije.

Tłum zbierał się około niego, gromadą wiedli go tak aż do wrót, gdzie wstrzymali się u straży, aby dłużej znęcać się nad pastwą swoją.

Mściśław stał jak martwy, jakby nie czuł nic i nie słyszał — zdrętwiały był na wszystko. Krysta jeszcze stała mu w oczach i król ten bezlitosny, dziki, któremu, choć mu życie był winien, zemstę poprzysięgał. — Nierychło, gdy bezwładnym człkiem, co nie dawał nawet znaku gniewu ni bólu, gawiedź się dość nabawiła, nie rozwiązując mu rąk pchnięto go precz za wrota na drogę.

Mściśław puszczony padł zrazu, nie mając siły ni

woli ruszyć się z miejsca. Ciemna noc już była, zdala od zamku dochodziły jeszcze śpiewy i odgłosy uczniących, gdy Mścisław wreszcie podniósł się z ziemi, zachwiał i z trudem wlec się zaczął ku przedmiesciu. Związane ręce, w które się sznury wjadły, sprawiały mu boleść i ruch utrudniały. więziennne leżenie nogi pokurczyło, wilgoć i powietrze zgniłe osłabiły. Niepознаwał sam siebie. Pijany był bólem i gorączką. — Przed oczyma jego przesuwiał się jeszcze król i Krysta — i straszne ciemności więzienia, w którem był zamknięty jak w grobie.

Na drodze zamkowej pusto było, na przedmiesciach też światła już pogasły i ludzie się po chatach pochowali. Szczekanie psów tylko słychać było zdala, i wycie. Zataczając się, opierając o płoty, wypoczywając zszedł Mścisław aż do stóp góry. Dokąd dalej iść miał sam nie wiedział, nie wiedział nawet czy było po co do Bużenina powracać, bo i tam królewscy ludzie już może gospodarowali.

Sam niewiedząc jak, bezmyślnie, dowlókl się aż do domku u kościołka na Skałce, w którym biskup, królewskiego sąsiedztwa unikając, przebywał. — Świeciło tu w jednym oknie przez szpary okiennicy, do koła panowała cisza.

Do progu się powłókłszy, legł na nim Mścisław, ale padając o drzwi uderzył, które zadrżały i jęknęły. Kroki pospieszne dały się słyszeć ze wnętrza; drzwi odryglowywano.

Młody człowiek w sukni kleryka, ukazał się w nich ze światłem w ręku, i począł przypatrywać się leżącemu, którego wziął za upokojonego włóczęgę. Dopiero ręce związane sznurem ujrzawszy, krzyknął, ukląkł przy nim, i widząc osłabłego, więzy jego co prędzej rozplątywać zaczął.

Mścisław miał zaledwie siłę wymówić — Biskup! — i nazwisko swe, gdy padł omdlały, głową o twarde progu kamienie.

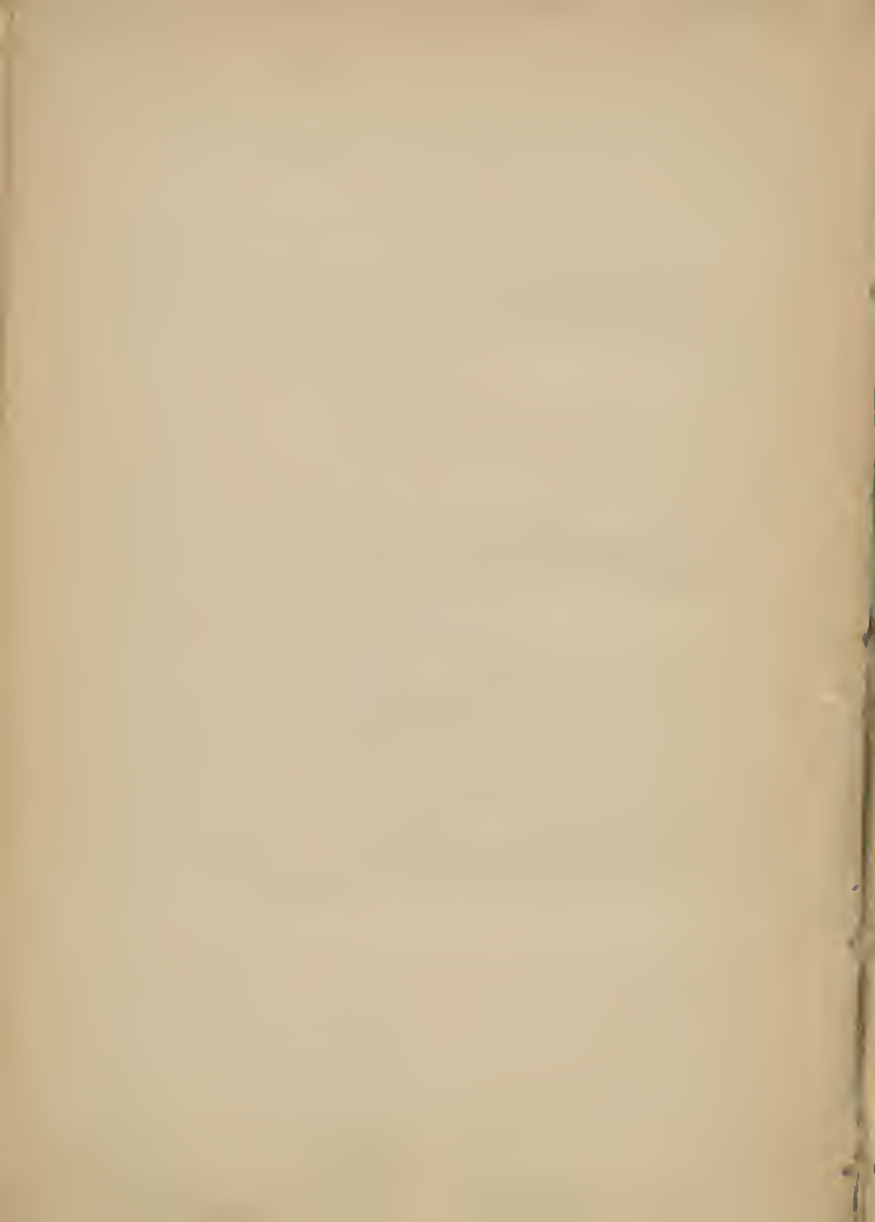
Zbiegła się natychmiast cała służba biskupia, a że nazwisko z ust do ust chodziło, a znanem było wszystkim, wzięto to, podniesiono, oznajmiono o nim biskupowi, który nie spał jeszcze.

Znalazł się kubek wody co go orzeźwił, i Mściśław odzyskawszy przytomność, z pomocą ludzi mógł wniknąć do izby, na której progu stojący oczekiwał nań ręce wyciągając ku nieszczęśliwemu, gospodarz.

— Chodź, dziecko moje, niech cię przytulę i orzeźwię — Bogu niech będzie chwała, iż z życiem uszedłeś!!

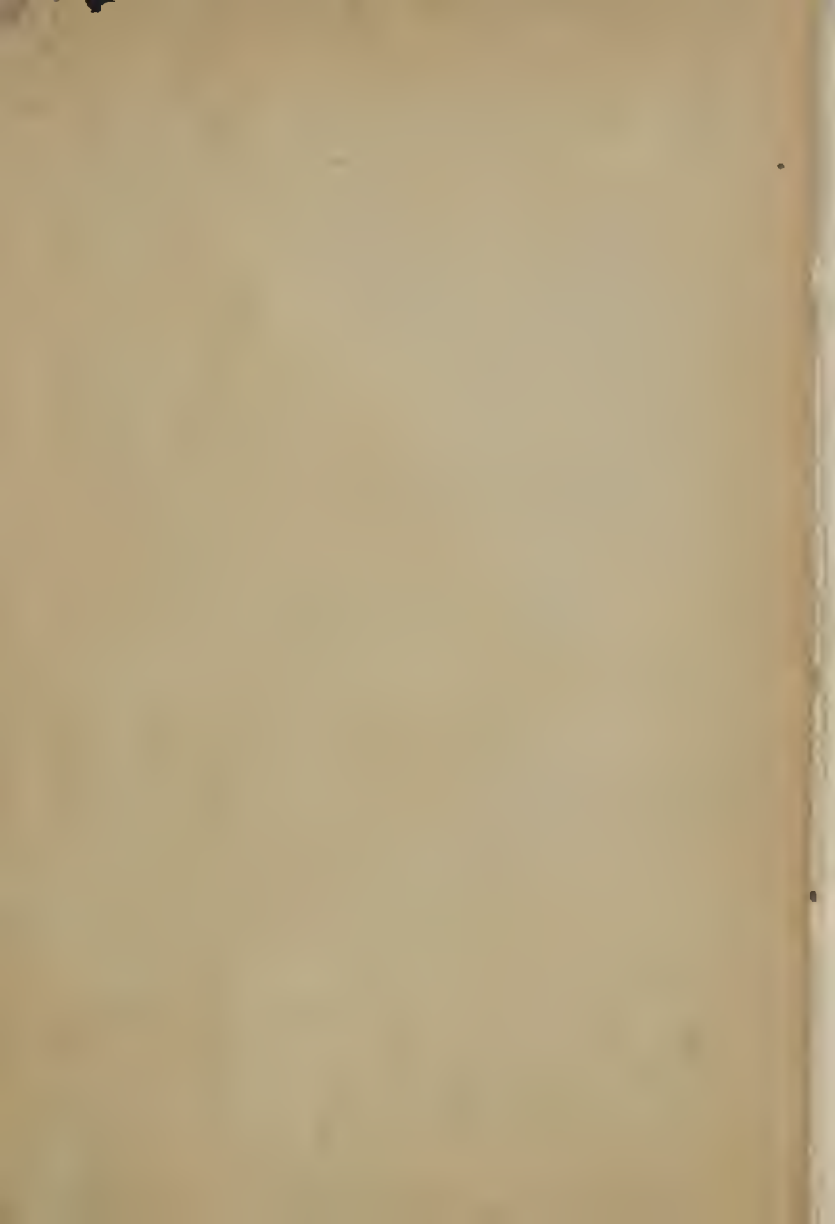
KONIEC TOMU 1-GO.











C * 508949

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



== C 508949 ==
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Biblioteka Raczyńskich

JK 38



JK0038